

Lekarz wiejski



HONORIUSZ BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

Lekarz wiejski

TŁUM. HELENA JANINA PAJZDERSKA

ROZDZIAŁ I. KRAJ I CZŁOWIEK

W piękny wiosenny poranek, roku 1829, człowiek blisko pięćdziesięcioletni jechał konno, górzystą drogą wiodącą do sporego miasteczka niedaleko od Grande-Chartreuse położonego. Miasteczko to jest stolicą ludnego kantonu opasanego długą doliną. Strumień o kamienistym łożysku, najczęściej wyschniętym, a w chwili, o której mowa, napelnionym stopniałymi śniegami, przerzyna tę dolinę, obramowaną dwoma równoległymi pasmami gór, które ze wszech stron wznoszą się po-nad szczyty Sabaudyi i Delfinatu. Pomimo, że prawie wszystkie widoki tamtejsze mają cechę swojskości, kanton, przez który przejeżdżał nieznajomy, obfituje w takie niespodzianki, wywołane już-to spadkami i zagięciami gruntu, już-to fantastyczną grą światła, jakich-by się napróżno gdzie-indziej szukało. W jednym naprzykład miejscu dolina rozszerzając się nagle, ukazuje oczom nierówny kobierzec tej zieloności, która dzięki częstemu odwilżaniu, jakiego jój dostarczają góry, zachowuje przez wszystkie pory roku uroczą świeżość wiosenną. Tam znów młyn jakiś chlubi się swą skromniuchną lecz malowniczą budową, zapasem jodeł ogołoconych z kory i wodą, która zawrócona w biegu i uwięziona w drewnianych rurach wymyka się z nich i spada kaskadą cienkich strumieni. Tu i owdzie chaty okolone ogródkami przywodzą na myśl widzowi obrazy nędzy i pracy. Dalej, domy o czerwonych nakształt rybiej łuski ułożonych dachach, wykazują zamożność długoletnimi trudami zdobytą. Wreszcie nad każdymi drzwiami wisi koszyk, w którym suszą się sery. Na wszystkich płotach i parkanach pnie się winograd, spleciony tak jak we Włoszech z gałęziami wiązu, którego liście służą za karm dla bydła. Gdzie-niegdzie kapryśna natura gromadzi tak wzgórze przy wzgórzu, że już tam nie znaleźć ani fabryk, ani pól, ani chat żadnych. Tylko wartki strumień przepływa, szmerząc wśród tych ścian granitowych, uwieńczonych ciemnozielonymi jodłami i rzędem na sto stóp w górę strzelających buków. Wszystkie proste, wszystkie dziwnie kępkami mchu upstrzone, wszystkie odmienne kształtem i kolorem liścia, drzewa te tworzą wspaniałe kolumnady, wzdłuż których nierówną powyginaną linią biegnie niby ogrodzenie z mącznicy, kaliny, bukszpanu i ciernia. Silny zapach tych krzewów mieszał się w tej chwili z dziką wonią górskiej natury i odurzającym aromatem pękających pączków modrzewiu, topoli i sosen żywicznych. Drobne chmurki uwijały się pomiędzy skałami, odsłaniając lub zakrywając naprzemiany szarawe szczyty, częstokroć równie mgliste jak te obłoczki, które się o nie rozdzierały. Co chwila na ziemi mieniły się widoki, na niebie światła. Co-raz inne kolory stroiły góry, co-raz inne cienie słały się na ich spadkach; wzgórze występowały w co-raz innych kształtach, a wszystko to było pełne niespodziewanych kontrastów: promieni słońca przedzierających się przez gęste i ciemne gałęzie, polanek wśród najbardziej zarosłych drzewami przestrzeni, rozpadlin lub wypukłości; a wszystko to było dziwnie urocze w tej ciszy i w tej porze, w której króluje młodość, w której słońce rozplamionym okiem z czystego lazuru spogląda. Jednym słowem, był-to kraj piękny! była-to Francya!

Podróżny, człowiek wysokiego wzrostu, miał na sobie ubranie z niebieskiego sukna, równie starannie wyczyszczone, jak jego koń o połyskliwej maści, na którym trzymał się prosto, niby przyśrubowany. Tak tylko siedzieć umieją starzy oficerowie kawalerii. Krawat czarny, rękawiczki ze skóry daniela, pistolety wyglądające z olstrów i tłumoczek

z tyłu do siodła przytroczony dowodziły w istocie jego wojskowego powołania; ale nawet, gdyby nie te oznaki, to sama już twarz, śniada i ospowata lecz o regularnych i pewnym lekceważeniem nacechowanych rysach, śmiałe wejrzenie, ruchy stanowcze i cała postawa byłyby w nim zdradziły te nawyki marsowe, od których żołnierz nawet w prywatnym życiu odzwyczaić się nie może. Każdy inny byłby się zdumiewał nad urokiem tej natury alpejskiej, tak uśmiechniętej, tak dziewiczej; ale oficer nasz, który zapewne w wojennym marszu armii francuskiej kawał świata zbiedz musiał, patrzył na otaczające go widoki bez najmniejszego podziwu. Bo też można powiedzieć, że Napoleon wykorzystał to uczucie z piersi swoich żołnierzy tak, iż niezachwiany spokój w wyrazie fizyognomii jest najpewniejszym znakiem, po którym poznać się dają ludzie, którzy walczyli niegdyś pod nieśmiertelnymi, pomimo krótkości ich panowania, orłami wielkiego cesarza. Nasz podróżny był rzeczywiście jednym z tych wojowników, których oszczędziła kula, pomimo że nastawiali piersi na wszystkich polach bitew, gdzie dowodził Napoleon. Życie jego nie przedstawiało żadnych nadzwyczajności. Bił się, jak przystało na dzielnego żołnierza, pełniąc swój obowiązek z równą gorliwością w dzień jak w nocy, pod okiem wodza, jak zdale od niego, nie mając sobie do wyrzucenia, aby choć jedno cięcie jego pałasza było bezskuteczne, lub co więcej, aby było zbyteczne. Jeżeli na piersiach jego jaśniała wstęga Legii Honorowej, to zawdzięczał ją swemu pułkowi, który po bitwie pod Moskwą jednomyślnie ogłosił go za najgodniejszego tego zaszczytu w dniu tym pamiętnym. Należał on do szczupłej liczby tych ludzi, zimnych na pozór, cichych, zawsze w zgodzie ze sobą samym będących, których sama myśl proszenia o coś upokarza; dlatego też musiał długo na każdy awans oczekiwać. Zostawszy podporucznikiem w 1802 roku, był w 1829, pomimo siwych już wąsów, zaledwie dowódcą szwadronu; ale życie jego było tak czyste, że każdy, czy to generał, czy prosty piechur zbliżał się do niego z mimowolnym prawie uczuciem poszanowania, czego zwierzchnicy darować mu nie mogli. Nawzajem wszyscy żołnierze kochali go tak, jak dzieci kochają dobrą matkę, bo umiał być dla nich jednocześnie pobłażliwym i surowym. Sam niegdyś prosty żołnierz jak oni, znał do gruntu wszystkie te, jeżeli się tak wyrazić można, nieszczęsne uciechy i radośne smutki obozowego życia, wiedział, jakie z wybryków tych, których zawsze swemi *dziećmi* nazywał, wybaczyć można, a jakie ukarać należy, i pozwalał im zaopatrywać się w żywność po wsiach i w furaz po miastach. Co się tyczy prywatnych jego dziejów, te najgłębsze pokrywało milczenie. Jak prawie wszyscy wojskowi przyglądał się światu tylko przez dymy z dział, lub podczas chwil pokoju tak rzadkich w zamęcie wojny europejskiej, którą prowadził cesarz. Czy pomyślał kiedy o małżeństwie? odpowiedź na to była trudna. Chociaż nikt nie wątpił, że kapitan Genestas, z ciągłych wędrówek z miasta do miasta i z kraju do kraju, z zabaw, w których wraz z pułkiem swoim brał udział, musiał wynieść wspomnienie niejednej różowej chwili; jednakże żadnej w tym względzie nie miano pewności. Nie będąc skromnisiem, nie uchylając się od wesołych pohulanek i zwyczajów życia obozowego, kapitan zbywał zawsze milczeniem lub śmiechem tych, co go o jego miłosne sprawy zagadywali. Gdy który z kolegów odezwał się przy kieliszku: No, a ty komendancie, cóż nam powiesz? — odpowiadał zawsze: „Pijmy, panowie”.

Tak tedy pan Piotr-Józef Genestas, ten Bayard na małą skalę, nie miał w sobie nic poetycznego ani romantycznego. Z powierzchowności wyglądał na człowieka, któremu służy dobrobyt. Pomimo że całym jego majątkiem był żołd, a całą przyszłością — nadzieja emerytury, kapitan nasz na podobieństwo tych starych wygów handlowych, których nieszczęścia nauczyły doświadczenia graniczącego z uporem, miał zawsze w zapasie żołd dwuletni i nigdy wszystkich dochodów nie wydawał. Na grę był całkiem obojętny i zwykle przypatrywał się spokojnie końcom swoich butów, gdy rozkładano zielone stoliki i zabierano się do écarté lub tym podobnych. Jeżeli jednak kapitan Genestas nie pozwalał sobie żadnych wybryków, nie zaniedbywał też niczego, co jest koniecznym. Mundury służyły mu zawsze dłużej niż innym, dzięki staranności w ich noszeniu, którą wyrabia mierność, a która u niego stała się machinalną. Można by go było posądzić o skąpstwo, gdyby nie godna uwielbienia bezinteresowność jego i ta braterska skwapliwość, z jaką przychodził z pieniężną pomocą każdemu lekkomyślnemu młodzikowi, co się zgrał w karty lub się jakim innym szaleństwem młodości zrujnował. Prawdopodobnie kapitan sam musiał kiedyś przechodzić podobne katastrofy, i to go nauczyło w delikatny sposób wyplątywać z nich innych; a raz zobowiązawszy kogoś, nie rościł sobie prawa do

kontrolowania go i nie mówił mu nigdy o tm, co dla niego zrobił. Sam jeden na świecie, stworzył sobie ojczyzn z armii a rodzin z swego pułku. To tż rzadko kto dobadywał powodów jego oszczdnoci; wogle przypisywano j do naturalnej chci powikszenia zapasu na stare lata, ktre, po wysłuzeniu emerytury i kapitaskich szlif, spdziłby spokojnie w jakim wiejskim zaciszu. Młodzi oficerowie, gdy była mowa o Genestasi, liczyli go zawsze do rzdu tych ludzi, co-to skoczywszy przykladnie szkoły, zostaj juz do konca życia rwnie przykladni, akuratni, uczciwi, poyteczni i... ckliwi; ale ludzie powazni inne o kapitanie mieli poccia. Czsto jakie spojrzenie, jakie energiczne zdanie zdradzały, że w tj duszy burzyło si kiedy i gotowało. Z czoła jego wyczyta można byo, że człowiek ten posiada wadz powcigania i tmienia namitnoci, wadz drogo nabyt przez nawykniecie do niebezpieczestw i nieprzewidzianych grom wojny. Gdy pewnego razu syn para Francji, wieo do pułku zacignity, wyraził si o Genestasi, że mgłby by najsumienniejszym z ksiy i najuczciwszym z kupcw, ten, slyszc to, odezwa si: „Dodaj pan, że i najmniej ugrzeczniejszym z markizw”. Młodziak zmiesza si, a obecni wybuchnli miechem, ojciec bowiem nowozaciżnego znany by z swego nadszkakiwania wszystkim wadzom i z elastycznoci w przerzucaniu si z jednego stronnictwa w drugie, ktre-to cenne przymioty syn take po nim odziedziczył. Armie francuzkie wypiastowały na łonie swoim wiele z tych charakterw, prawdziwie szczytnych w potrzebie, a penych prostoty w zwyczajnych okolicznociach życia, nie dbajcych o slaw, zapominajcych o niebezpieczestwie, wypiastowaa ich wicej moe, niby si tego po ułomnoci natury ludzkiej spodziewa można. Jednakowoz myliłby si bardzo, ktby mniema, że Genestas by bez zarzutu. Przeciwnie: podejrzliwy, skłnny do gwałtownych wybuchw gniewu, lubicy si sprzecza i chccy miec zawsze slusznoc, zwiszcza wtedy, gdy jj mia najmniej za sob, Genestas prcz tego peen by przesdw narodowych. Z czasw żołnierskich pozostao mu upodobanie w dobrm winie. Gdy po jakiej biesiadzie wychodzi z należnym swojemu stanowisku *decorum*, wydawa si wtedy bardzo powazny, bardzo zadumany i nie chcia nikogo przypuci do tajemnicy swoich myli. Wreszcie, jeeli zna dosyc wiat, obyczaje i przepisy grzecznoci, do ktrych si z czysto wojskow stywnoci stosowa; jeeli umia wszystko, co w zakres jego powolania wchodzio, poczwszy od fechtunku, a skoczywszy na weterynarstwie: to z drugiej strony naukowo bardzo by zaniedbanym. Wiedzia, ale doc niepewno, że Cezar by konsulem czy tż cesarzem rzymskim a Aleksander — Grekiem lub Macedoczykiem, bez dugich certacyj przyznaby mu jedn lub drug z tych narodowoci. To tż w rozmowach naukowych i historycznych przybiera zwykle powazn min, ograniczajc si na milczcm przytakiwaniu, jak człowiek, co w gbokiej nauce doszed do sceptycyzmu. Gdy Napoleon w buletynie datowanym z Schönbrunn dnia 13 maja 1809 r., a wystosowanym do wielkiej armii, ktra podwczas Wieden opanowaa, że *ksia austriacy na podobiestwo Medei wasnymi rkami wymordowali swoje dzieci*, Genestas, wieo nominowany kapitanem, nie chcia skompromitowa swego stopnia zapytaniem, kto bya ta Medea, ale polegajc w tm na gieniuszu Napoleona i pewien, że cesarz tylko urzędowymi rzeczami moe si dzielic z wielk armi i domem austriackim, pomyla, że Medea ta bya jak arcyksiniczka austriack dwuznacznj konduity. Bdz-co-bdz, poniew mogo to miec zwizek ze sztuk wojskow, kapitan rad by dowiedzie si czego wicej o owej Medei z buletynu i ciekawoc drczya go a do dnia, w ktrym panna Raucourt wskrzesia *Mede* w repertuarze teatralnym. Przeczytawszy afisz, kapitan nie omieszka uda si wieczorem do *Thtre-Franais*, by widziec synn aktork w tj mitologicznj roli, o ktrj bliszych szczegłw od sasiadw zasignł. Przeciez człowiek, ktry jako prosty żołnierz mia dosyc wytrwaoci, by si nauczyc czytac, pisac i rachowac, musia to czuc, że jako kapitanowi ksztacic mu si troch potrzeba. Zaczł wic od tj pory czytywac z zapalem nowe ksiki i powieci, a te mu day troch wiadomoci, z ktrych doc dobrze korzystac umia. Wdzicznoc dla swoich mistrzw owiaty posuwa tak daleko, że wystpowa w obronie Pigault-Lebrun'a, nazywajc go pouczajcym a czsto nawet gbokim.

Takim by nasz podrżny, ktry dziki nabytj wiekiem roztropnoci, ani jednego kroku bez potrzeby nie zrobił, a ktry teraz jecha z Grenoble ku la Grande-Chartreuse, otrzymawszy od pułkownika omiodniowy urlop. Nie zdawao mu si to daleko, ale zwodzony wicz klamliwymi informacjami wieniakw, ktrych zapytywa po drodze,

nie chciał się puszczać dalej, nie posiliwszy się wprzódy. Chociaż w porze takiej, gdy wszyscy na polach pracują, słabą mógł mieć nadzieję zastania w domu jakiejś gosposi, zatrzymał się wszelako przed kilku chatami zbudowanymi w nieforemny czworobok, do którego przystęp był dla każdego otwarty. Bluszcz, dzikie róże i inne krzewy pięły się wzdłuż popękanych i podziurawionych ścian tych lepierek. U wejścia do czworoboku stróżował nędzny krzak porzeczkowy, na którym suszyły się szmaty. Pierwszym mieszkańcem, jakiego napotkał Genestas, był wieprzak zagrzebany w słomie, który na odgłos kroków zacharchotał i skłonił tém do ucieczki dużego czarnego kota. Po chwili ukazała się młoda wieśniaczka niosąca na głowie pęk zielska, a za nią w niewielkiej odległości czworo dzieciaków w lachmanach, śmiałych, krzykliwych, o zuchwałych oczach i ładnych, śniadawych twarzyczkach, istnych dyabelków, które przecież do aniołków są podobne. Słońce świeciło jasno, oblewając dziwnym jakimś urokiem świeżości te chaty wpeł rozpadłe i tę obszarpaną gromadkę. Wojskowy nasz zapytał, czyby mógł dostać szklankę mleka. Zamiast odpowiedzi, dziewczyna wydała chrapliwy okrzyk i wnet na progu chaty ukazała się stara kobieta. Młoda wieśniaczka, wskazawszy ją Genestasowi zniknęła w oborze, a kapitan skierował się ku niej, wstrzymując konia, by nie potrącić którego z dzieciaków, co się już koło niego kręciły. Powtórzywszy swą prośbę, otrzymał odmowną odpowiedź. Stara kobieta powiedziała mu, że nie chce zbierać śmietanki z mleka przeznaczonego już na robienie masła; ale oficer zapewnił ją, że wynagrodzi dobrze ten uszczerbek i, przywiązawszy konia do odźwierka, wszedł do chaty. Czworo dzieciaków, które zdawały się do tej kobiety należeć, były wszystkie w równym wieku i dziwaczna ta okoliczność zastanowiła kapitana. Stara miała przy sobie piątego, uczepionego niemal u jej spódnicy, a ten błady i chorowity musiał największych starań wymagać i być ukochanym Benjaminkiem. Genestas usiadł w kącie przy wysokim kominie, z wygasłym ogniskiem, na którego kapturze stał z kolorowego gipsu posążek Najświętszej Panny z dzieciątkiem Jezus w objęciach. Podłogi w chacie nie było, zastępowała ją ziemia, chropowata i popękana ale czysto umieciana. W kominie wisiał chodak napełniony solą, patelnia i kociołek. W głębi stało łóżko z drabinkami, ozdobione kotarą. Kilka stołków drewnianych o trzech nogach wwierconych poprostu w kawałek deski, dziezka do chleba, duża drewniana łyżka do czerpania wody, szkopek i garnki na mleko, wrzeczono porzucone na dzieży, parę drabinek do suszenia serów: oto były wszystkie sprzęty w tej ubożuchnej izdebce o czarnych ścianach i drzwiach spróchniałych z okrągłym pośrodku otworem. Na takiej scenie odegrał się też odpowiedni jej dramat, a świadkiem jego był podróżny, który, uderzając o ziemię szpicrutą, siedział, nie domyślając się nawet, że nań patrzeć będzie. Gdy stara wraz ze swym Benjaminkiem zniknęła za drzwiami wiodącymi do maleńkiej mleczarni, dzieciaki, przypatrzwszy się dostatecznie wojskowemu, zaczęły od pozbycia się wieprzaka. Schludne to zwierzątko, dzielące zazwyczaj ich zabawy, przyszło na próg izby; ale dzieci rzuciły się na nie z taką siłą i tak je poturbowały, że w szybkiej ucieczce ratunku szukać musiało. Skończywszy z jednym nieprzyjacielem, dzieci przypuściły szturm do jakichś drzwi, a gdy im się udało oderwać nadwyreżoną już zębem czasu kłamkę, wpadły przez nie do małej spiżarki, a kapitan, którego ta scena bawiła, zobaczył ich tam zajadających ze smakiem śliwki suszone. W tej chwili stara kobieta, o pergaminowej twarzy, weszła, niosąc dla gościa garnuszek mleka.

— A! wy nicponie! — zawołała, i podszedłszy ku dzieciom wzięła każde za ramię i wypchnęła napowrót do izby, nie odbierając im wszelako śliwek. — No, no, moje robaczki! bądźcie grzeczne — rzekła, zamykając starannie drzwi spiżarki, a spoglądając na Genestasa dodała: — Te urwisy zjadłyby wnet wszystko, gdyby ich tylko nie pilnować!

Począł usiadła na stołku i, trzymając najmłodszego dzieciaka na kolanach, zaczęła go czesać, podnosząc mu od czasu do czasu główkę i przypatrując mu się z czułością macierzyńską. Tymczasem mali złodzieje zabrudzeni i obszarpani, ale widocznie zdrowi, skupili się w kącie koło łóżka i gryząc w milczeniu śliwki, przyglądali się z pod-oka nieznajomemu.

— To wasze dzieci? — zapytał kapitan starój.

— Z przeproszeniem łaski pana, to dzieci ze szpitala. Dają mi od każdego trzy franki i funt mydła na miesiąc.

— Ależ, moja matko, one was samę więćj kosztują — zauważył kapitan.

— Tak też i pan Benassis powiada; ale inne biorą dzieci za tę samą płacę, trzeba na niej poprzestać! Nie tak—to łatwo dostać dziecko, jak się zdaje! A choć-byśmy mu i darmo mleko dawały, toć ono nas przecie nie kosztuje. Zresztą, trzy franki, proszę pana, to coś także znaczy. Ot! u mnie, piętnaście franków na miesiąc jakby znalazł, nie licząc pięciu funtów mydła. A u nas tu, trzebasię dobrze napocić i naharować, żeby jakie dziesięć sous dziennie zarobić.

— A macie jaki kawałek gruntu? — zapytał komendant.

— Nie, proszę łaski pana. Za życia nieboszczyka męża było tam tego trochę, ale po jego śmierci wszystko sprzedać musiałam.

— Jakże więc sobie radzicie — ponowił Genestas — by do końca roku bez długu dociągnąć i starczyć na wyżywienie, opranie i ubranie tych dzieci?

— Ha! proszę pana — odparła, czesząc ciągle chorowitego malca — to też się i bez długu na św. Sylwestra nie obejdzie. Cóż robić? pan Bóg jakoś dopomaga. Mam dwie krowy, latem podczas żniw ja i moja córka zbieramy kłosa na ścierniskach, w zimie chodzimy po drzewo do lasów a wieczorami przędziemy. Ot i jakoś idzie, byle tylko Bóg chronił od takiej zimy jak ostatnia. Winnam siedemdziesiąt pięć franków młynarzowi za mąkę. Ale na szczęście to młynarz pana Benassis'a. O! bo pan Benassis — to prawdziwy biednych przyjaciół. Nigdy się nie upomina, jak mu co kto winien; a ode-mnie też nie zacznie. Zresztą, krówka jedna mi się ocielila, będzie z czego trochę upłacić.

Przez ten czas dzieciaki, których jedyną na świecie opieką była ta stara nędzarka, ułatwiły się ze śliwkami, a widząc, że wychowawczynie ich zajęta rozmową z oficerem nie uważa na nich, skorzystały z tego, by nowy atak do zapartych drzwi przypuścić. Posunęły się więc ku nim w ściśnionym szeregu, nie tak jak Francuzi idą do szturmów, ale w milczeniu, jak Niemcy, i tak jak oni nienasyconym łakomstwem wiedzone. Ale zamiar malców nie uszedł oka stariej.

— A nicponie! — zawołała — długoż-to tego będzie?

I wstawszy uderzyła zlekka po plecach najsilniejszego z dzieciaków, który się jednak nie rozplakał, i wyrzuciła go za drzwi. Pozostałe patrzyły na to w milczącym osłupieniu.

— Macie z nimi wiele kłopotu — rzekł Genestas.

— E! nie, proszę pana, tylko ich oskoma na śliwki bierze! biedactwo! Gdyby-to tego nie pilnować, poobjadałyby się na śmierć.

— Kochacie ich?

Na to pytanie stara podniosła głowę i popatrzyła na kapitana, uśmiechając się nieco rubaszenie.

— Czy ich kocham?... Już-em ich troje oddała — dokończyła, wzdychając — tylko do sześciu lat mam je u siebie.

— A gdzież jest wasze własne?

— Umarło.

— Ileż lat sobie liczycie? — zagadnął Genestas, chcąc zatrzeć wrażenie poprzedniego pytania.

— Trzydzieści osiem, proszę pana. Na św. Jan będzie dwa lata, jak mąż mój umarł.

Mówiąc to kończyła ubierać słabego malca, który zdawał się jej dziękować wejrzeniem tkliwym i smutnym.

— Otóż-to życie poświęcenia i pracy! — pomyślał kapitan.

I w istocie, pod tym ubożuchnym dachem, godnym stajenki, w której przyszedł na świat Syn Boga, spełniały się wesoło, z prostotą najtrudniejsze obowiązki macierzyństwa. Ileż-to serc wzniosłych — zagrzebanych bywa w najzupelniejszym zapomnieniu! Ile prawdziwego bogactwa kryje się nieraz pod nędzą! Żołnierze lepiej niż ktokolwiekby inny umieją cenić tę, że się tak wyrażę, ewangelię w łachmanach. Gdzie-indziej znajdujemy księgę, *tekst* sam oprawny w aksamit i atlas, ułożony i układowany, ale *ducha* tej księgi, tego szukać potrzeba w takich obrazach, jak ten, który miał przed oczyma kapitan Genestas. Niepodobna było prawie nie uwierzyć w jakieś święte natchnienie płynące z nieba, patrząc na tę kobietę, która stała się matką, jak Jezus Chrystus stał się człowiekiem, która pracowała, cierpiała, zadłużała się dla biednych, opuszczonych dzieci, i sama przed sobą oszukiwała się w rachunkach, by nie przyznać, że to posłannictwo matki uboży ją do szczytu. To też kapitan patrzył na nią długo, potrząsając głową w milczeniu.

— Czy pan Benassis dobrym jest doktorem? — zapytał wreszcie.

— Nie wiem tego, proszę pana, ale biednych darmo leczy.

— Widać — rzekł kapitan, mówiąc jakby do siebie samego — że człowiek ten jest prawdziwym człowiekiem w całym znaczeniu tego słowa.

— Oj! tak, tak, kochany panie! zacy-to człowiek i nie masz w całej okolicy takiego, co-by się za niego rano i wieczór nie modlił.

— No, macie tu matko! — rzekł Genestas, dając starzej parę sztuk monety. — A to dla dzieci — dodał, wsuwając jój w rękę dukata. Poczem dosiadł konia, pytając:

— A dalekoż tam jeszcze do pana Benassis'a?

— O! nie, kochany panie, najwięcej milka drogi.

Kapitan odjechał przekonany, że ma przed sobą z jakie dobre dwie mile do zrobienia. Jednakowoż wkrótce dojrzał widniejącą z po-za drzew grupę domów, po-nad dachy których wystrzelała dzwonnica stożkowatego kształtu, połyskująca w słońcu blaszanymi taflami, jakimi po rogach oblamowaną była. Oryginalnie to wygląda i oznajmia bliskość Sabaudyi, gdzie podobne dachy bardzo są w użyciu. Dolina rozszerza się w tém miejscu, a domy malowniczo rozrzucone po niej ożywiają kraj ten, dobrze uprawny, ze wszech stron górami zamknięty, bez wyjścia prawie. Nieopodal od miasteczka, które nieco z boku drogi ku południu się usadowiło, Genestas zatrzymał konia przed gromadką dzieci bawiących się pod cieniami wiązów i zapytał o dom pana Benassis'a. Dzieci, spojrzawszy po sobie, zaczęły się przypatrywać nieznanemu z ciekawością właściwą ich wiekowi, z jaką spoglądają na wszystko, co pierwszy raz pod oczy im podpada. Poczem najśmielszy z nich, mały chłopak, z żywymi oczyma i bosemi, obłoconemi nogami odezwał się powtarzając, jak-to także w zwyczaju u dzieci bywa, zadane mu pytanie: — Dom pana Benassis'a? Ja tam pana zaprowadzę. I poszedł naprzód, powodowany już-to chęcią pewnego odznaczenia się, jako przewodnik nieznanego, już dziecięcą usługomością, już wreszcie tą nieprzewartą potrzebą ruchu i zmiany, która w tym wieku jest samowładną panią ciała i umysłu. Genestas udał się za chłopcem wzdłuż głównej ulicy miasteczka, ulicy kamienistej, o licznych zagięciach, opasanej z obu stron domami zbudowanymi według upodobania i fantazyi ich właścicieli. Tu jakaś wieża wyskakuje prawie na sam środek drogi, tam bok jakiejś kamieniczki zagradza ją w połowie, ówdzie strumyk z gór płynący przerywa ją zygzakiem. W pokryciach domów ten-że sam brak symetrii i różnaitości. Przy dachach gontowych, słomiane strzechy, gdzie-niegdzie łupkowe zapewne do zamniejszych mieszczan, proboszcza i sędziego pokoju należące. Wszystko tam tchnęło jakimś zaniedbaniem, nietroszczeniem się o to, jak się gdzieindziej dzieje; mieszkańcy tej miejscowości tworzyli niby jedną rodzinę odciętą od reszty społeczeństwa, z którym łączył ją poborca podatków lub temu podobne, niedostrzeżone prawie węzły. Przebywszy tę ulicę Genestas ujrzał drugą, szeroką, wznoszącą się po-nad pierwszą na pochyłości góry. Była-to widocznie druga, nowsza część miasteczka, zabudowana porządnie i wysadzona dwoma rzędami młodych jeszcze drzew. Tutaj o uszy kapitana obły się śpiewy robotników, pomieszane z turkotem warsztatów, zgrzytem pił i hukiem młotów. Z kominów unosiły się szare wstęgi dymu, najobfitsze wydobywały się z domów ślusarza, kołodzieja i kowala. Wreszcie w samym już końcu wioski Genestas ujrzał rozrzucone tu i ówdzie fermy, pola dobrze uprawne i plantacje umiejętnie zaprowadzone.

W téj-że prawie chwili chłopak zawołał:

— Oto *jego* dom.

Oficer zsiadł z konia, założył cugle na rękę, a pomyślawszy, iż nic darmo na tym świecie, wyjął parę soldów z kieszeni i dał je chłopcu, który wziął je z podziwieniem, zrobił wielkie oczy i nie podziękowawszy stał w miejscu.

— Cywilizacya nie bardzo się jeszcze tutaj rozgospodarowała — pomyślał Genestas — tradycje pracy kwitną w całej pełni, a żebranina nawet i nie kielkuje. Tymczasem przewodnik jego, więcej ciekawy niż zysku chciwy, oparł się o mur otaczający dziedziniec, mur dość wysoki, nad którym biegła jeszcze krata z poczerniałego drzewa, po obu stronach bramy umieszczona.

Bramę tę, w dolnej części masywną, niegdyś naszaro malowaną, tworzyły wyżej żółte, żelazne sztachety, zaginające się w półkole ku górze każdego skrzydła tak, że po zamknięciu obu połów końce tych słupków zbiegały się pośrodku niby w ogromną szyszkę. Całość stoczona prawie przez robaki, upstrzona mchem, nosiła na sobie wyraźne ślady zniszczenia przez długoletnie działanie słońca i deszczu naprzemiany. Z wewnątrz dwie akacje po

obu stronach bramy rosnące wychylały się nad nią ciekawie zielonemi koronami przypominającymi kształtem te puszki, których pleć piękna do pudrowania się używać zwykła. Wogóle stan całego ogrodzenia zdradzał niedbałość właściciela, co musiało się nie podobać oficerowi, bo zmarszczył brwi jak człowiek doznający jakiegoś rozczarowania. Przyzwyczajeni jesteśmy sądzić drugich podług siebie i wybacząc im chętnie nasze błędy, potępiamy ich surowo za brak tych przymiotów, które sami posiadamy. Jeżeli komendant pragnął znaleźć w panu Benassis'ie dbałego o porządek i systematycznego człowieka, to wejście do jego domu mówiło o zupełnej obojętności na te cenne zalety. To też Genestas wyprowadził ztąd wnet wnioski o sposobie życia i charakterze właściciela. Brama była uchylona; nowy dowód niedbałości, dzięki której Genestas mógł bez ceremonii dostać się w podwórze, gdzie chciał konia do kraty przywiązać, ale w chwili gdy cugle zaciągał, ozwało się rżenie z poblizkiej stajni ku której jeździec i koń mimowolnie zwrócili oczy, a w ślad za tęp ukazał się na progu stary sługa w ubraniu głowy podobnym zupełnie do tęp frygijskiej czapki, w którą przystrajają Wolność. Ponieważ w stajni było miejsce na kilka koni, starowina, dowiedziawszy się, że Genestas w odwiedzinach do pana Benassis'a przyjechał, ofiarował mu się z gościnnością dla wierzchowca, patrząc przytęp z uwielbieniem i czułością niemal na piękne w istocie zwierzę. Genestas poszedł za koniem, chcąc zobaczyć, jak mu tam będzie. Stajnia była czysta, żłób obfity, oba biegusy pana Benassis'a miały tęp zadowolnioną minę, po jakiej wśród wszystkich innych koni odgadnąć można konia proboszczowskiego. Tymczasem z domu nadeszła służąca i stanęła przed Genestas'em, zdając się wyczekiwać na zapytanie nieznanego, któremu już staruszek powiedział, że pana Benassis'a w domu nie było.

— Jegomość poszedł do młyna — objaśnił. — Jeżeli pan się tam chce pofatygować, to trzeba iść tęp ścieżką do łąki, a młyn tam jest na końcu.

Kapitan wolał rozejrzeć się po okolicy, niż czekać na miejscu pana Benassisa, poszedł więc wskazaną drogą. Minąwszy nierówną linię, jaką miasteczko na grzbiecie góry zakreśla, ujrzał dolinę, młyn i najpiękniejszy widok, na jaki mu się kiedykolwiek patrzyć zdarzyło.

W miejscu tęp rzeka, zagrodzona w biegu górami, tworzy małe jezioro, ponad którym wyżej, coraz wyżej jedno nad drugim wznoszą się cyple, a między nimi, w zagłębieniach ukryte doliny, zdradzają obecność swoją rozmaitemi odcieniami światła i wynurzającym się z ich łona szeregiem jodeł czarnych. Na drugim brzegu rzeki u stóp góry, słabo pod tęp chwilę oświeconej promieniami zachodzącego słońca, Genestas ujrzał kilkanaście chat w stanie zupełnego opuszczenia, bez drzwi, okien, o podziurawionych dachach, co dziwną tworzyło sprzeczność z wybornie uprawnemi polami i pyszną zielonością łąk, które ją otaczały. Genestas natychmiast zatrzymał konia, by przyjrzyć się szczątkom tęp niegdyś wioski.

Zkąd to pochodzi, że ludzie nie mogą bez głębokiego wzruszenia poglądać na jakiegokolwiek-bądź, choć-by najlichsze ruiny? Zapewne są one dla nich wyobrażeniem nieszczęścia, którego ciężar każdy tak odmiennie czuje. Cmentarz nasuwa myśli o śmierci, opuszczona wioska przywodzi na pamięć troski i cierpienia życia. To pierwsze, śmierć jest rzeczą przewidzianą, ale te drugie, te troski i cierpienia te są nieokreślone, bez końca! A nieskończoność nie jest-że tajemnicą największych nieszczęść? Genestas wszedł już na kamienistą dróżkę wiodącą do młyna, nie mogąc sobie wytłómaczyć powodów opustoszenia tęp wioski, a ujrawszy siedzącego przed domem na worku zboża młynarczyka, zapytał go o pana Benassisa.

— Pan Benassis poszedł tam — odparł chłopak, wskazując jedną z nawpół rozwalonych chat.

— Czy ta wioska się spaliła? — zagadnął Genestas.

— Nie, panie.

— A dlaczego jest w takim stanie? — ponowił komendant.

— Ba! dlaczego! — rzekł młynarczyk wzruszając ramionami i wchodząc do domu. —

Pan Benassis to panu powie.

Genestas przeszedłszy po jakimś niby moście ułożonym z dużych kamieni, między którymi wił się strumyk, stanął wkrótce przed wskazaną chatą. Strzecha omszona, ale nie dziurawa, pokrywała nie najgorzej jeszcze wyglądające ściany lepianki. Wchodząc do wnętrza, Genestas ujrzał palący się ogień na kominie, a w kącie obok kobietę, klęczącą

przed siedzącym w krześle chorym, i mężczyzną, który stał z twarzą do ognia zwróconą. W izbie tej o jednym tylko okienku, z podłogą z ziemi ubitej, nie było żadnych sprzętów prócz stołu, krzesła i lichego tapczana. Nigdy komendant nie widział równie nagiej i ubogiej siedziby, nawet w Rosyi, gdzie chaty muzyków podobne są raczej do jam niż do ludzkich mieszkań. Tutaj, opuszczenie dosięgło takiego stopnia, że nie było nawet sprzętów koniecznych do przyrządzenia choć-by najprostszej strawy, do zaspokojenia najpierwszych potrzeb życia. Gdyby nie tapczan, nie płócienna wisząca na gwoździu kapota i chodaki, jedyna odzież chorego, możnaby było przypuszczać, że się jest w jakiejś psiej budzie, z której nawet miskę zabrano. Klęcząca kobieta, stara już bardzo wieśniaczka usiłowała utrzymać nogi chorego w kuble napelnionym brunatną wodą. Na odgłos kroków, a raczej na brzęk ostróg, nie mający nic wspólnego z głuchym stąpaniem bosych lub uchodakowanych nóg wieśniaków, mężczyzna zwrócił się ku Genestasowi, okazując zdziwienie, które też i stara kobieta podzielała.

— Nie potrzebuję pytać, czy mam przyjemność widzieć pana Benassisa — rzekł komendant. — Wybaczysz pan, iż nieznajomy a pragnący pana co najprędzej zobaczyć, przyszedłem aż tu na pole jego działania, zamiast u pana w mieszkaniu poczekać. Proszę, nie przeszkadzaj pan sobie. Gdy skończysz, powiem co mnie sprowadza.

Po tych słowach Genestas usiadł na stole i zamilkł. Ogień rozświecał izbę blaskiem jaśniejszym niż słoneczny, którego promienie łamiąc się o szczyty gór nie dochodzą nigdy do tej części doliny. Przy tém to migotliwém świetle Genestas mógł przypatrzeć się twarzy człowieka, którego, powodowany tajemniczą chęcią, pragnął zbadać i poznać doskonale. Pan Benassis, lekarz kantonu, stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, słuchając obojętnie mowy Genestas, poczem oddawszy mu ukłon, zwrócił się do chorego, nie przypuszczając, że jest przedmiotem tak ścisłego badania.

Benassis był wzrostu średniego, ale barczysty i szerokiej piersi. Obszerny surdut zielony, zapięty pod samą szyję, nie dozwolił Genestasowi uchwycić dobrze cech charakterystycznych jego postaci i ułożenia, w zamian za to twarz rysowała się w całej jasności konturów na czerwonawém tle ognia. Twarz ta miała wielkie podobieństwo do rysów satyra: toż samo czoło zlekka ku tyłowi ściągnięte, o liniach nierównych i znaczących, ten sam nos zadarty z malém na końcu rozdwojeniem, też same wystające policzki. Usta miał wygięte o pełnych i czerwonych wargach, brodę wystającą, oczy ciemne, żywe i pełne ognia, któremu perłowy kolor białek większego jeszcze blasku dodawał, zdradzając uśmierzone ale nie wygasłe namiętności. Włosy niegdyś czarne, a teraz siwe, głębokie zmarszczki twarz przecinające, brwi gęste szronem już przypruszone, nos zgrubiały i cera żółta z czerwonymi plamami; wszystko to mówiło o przeżytych pięćdziesięciu latach i ciężkich pracach powołania tego człowieka. Z kształtu głowy oficer nasz żadnych wniosków wyciągnąć nie mógł, bo przykrywał ją kaszkiet, ale mimo to wydała mu się jedna z głów zwanych pospolicie *kwadratowemi głowami*.

W częstém zetknięciu z ludźmi silnych charakterów, których tak poszukiwał Napoleon, Genestas nauczył się rozpoznawać po rysach tych, co do spełnienia czegoś wielkiego na świecie przeznaczeni byli, i teraz też odgadł, że jakaś tajemnica kryje się w życiu tego człowieka, a patrząc na jego niepospolitą twarz, zapytywał sam siebie: — Co zeń wiejskiego lekarza zrobiło? Przyjrząwszy się dokładnie tej fizygnomii, znamionującej mimo podobieństwa do wielu innych jakąś wybitną, wewnętrzną indywidualność, Genestas przeniósł wzrok na chorego, którego widok zmienił zupełnie dotychczasowy bieg jego myśli.

Choć tyle już rozmaitych a dziwnych obrazów przesunęło się mu przed oczyma w ciągu koczowniczego, żołnierskiego życia, doznał on przecież uczucia podziwu połączonego z odrazą ujrząwszy twarz ludzką, której nigdy myśl żadna nie musiała ożywiać, twarz siną, napiętnowaną cierpieniem milczącym i naiwném, jak u dziecka, co już krzyzczyć nie może, a mówić się jeszcze nie nauczyło, jedném słowem twarz zupełnie zwierzęcą starego, umierającego kretyna. Była to jedyna odmiana rodzaju ludzkiego, której jeszcze nie znał Genestas. Któż na widok tego czoła, z pofalowaną nieforemnie skórą, tych dwojga oczu, martwych, bezmyślnych jak u ryby ugotowanej, tej głowy zakłęsłej i pokrytej kosmykami rzadkich włosów, nie był-by doznał mimowolnego uczucia wstrętu do istoty pozbawionej wszelkich ludzkich i zwierzęcych własności, która nigdy nie miała ani rozumu, ani instynktu, nigdy nie słyszała żadnej mowy i żadną odezwać się nie potrafiła. Trudno było

zaiste ubolewać nad gaśnięciem tego istnienia, którego życiem nazwać nie można; stara kobieta jednakowoż patrzyła na tego biedaka z tkliwym niepokojem i polewała mu wodą nogi tak troskliwie i czule, jakby to mężowi swemu robiła. Benassis, sam, przyjrzał się tej zamarłej twarzy i zgasłym oczom, ujął ręką kretyna, badając puls.

— Kąpiel nic nie działa — rzekł wstrząsając głową. — Trzeba go położyć.

I wzięwszy tę bezwładną masę ciała przeniósł ją delikatnie na tapczan i ułożył na nim, wyciągając zimne prawie już nogi kretyna, poprawiając głowę i ręce z takim staraniem, jak matka do snu dziecko swe tuląca.

— Wszystko już na nic, on umiera! — odezwał się po chwili.

Stara kobieta, trzymając ręce na biodrach, spojrzała na konającego i kilka łez stoczyło się po jej policzkach. Genestas sam siedział milczący, nie mogąc zrozumieć, dlaczego śmierć tej nic nieznaczącej istoty robiła na nim tak silne wrażenie. Instynktownie prawie dzielił bezgraniczną litość, jaką te nieszczęśliwe stworzenia wzbudzają w mieszkańcach tych pozbawionych słońca dolin, gdzie ich natura rzuciła. Czyż to uczucie, które się stało niemal przesadą religijnym w rodzinach mających pośród siebie kretynów, czyż to uczucie nie pochodzi od najpiękniejszej cnoty chrześcijańskiej, miłosierdzia i najpotrzebniejszej w budowie społecznej wiary w życie przyszłe i nadziei nagrody za nędzę i cierpienia doczesne, na które nad tę nadzieję nie masz skuteczniejszego balsamu. Ona to umacnia rodziców owych biednych istot i tych, co je otaczają, w pielęgnowaniu ich i ciągłym, niezamordowanym opiekowaniu się temi, co tego poświęcenia ani zrozumieć, ani odwdziżyć nie mogą. Ludność tych miejscowości, gdzie się znajdują kretyni, wierzy, iż obecność ich przynosi szczęście rodzinom, a wiara ta osładza biednym istotom życie, które w miastach byłoby poddane rygorowi źle zrozumianej filantropii i twardym przepisom szpitali. W górnej dolinie Izery kretyni (a jest ich tam najwięcej) żyją na wolnym powietrzu wraz z trzodami, których pilnują. Przynajmniej są swobodni i szanowani, jak się to nieszczęśliwym należy.

Od pewnego już czasu, dzwon wiejskiego kościółka dźwięczał zwolna w równych odstępach oznajmiając wiernym śmierć jednego z nich, a słabe echo tej pobożnej myśli dochodząc do chatki kretyna rozlewało w niej słodką jakąś, poważną melancholię. Wkrótce szelest stąpań po drodze dał się słyszeć, stąpań licznych; śnać tłum szedł duży, ale milczący. A potem śpiewy pobożne zabrzmiały w powietrzu, te śpiewy, co najmniej nawet wierzące dusze zdolne są przejąć wzruszeniem. *Kościół* przychodził z pomocą tej istocie, która go wcale nie знаła. Na progu ukazał się ksiądz poprzedzony przez chłopca krzyż nosącego; z tyłu szedł zakrystyan z wodą święconą, a dalej mnóstwo kobiet, starców i dzieci, którzy przyszli wszyscy, by modły swe z modłami kościoła połączyć. Lekarz i wojskowy spojrzeli po sobie w milczeniu i usunęli się na bok robiąc miejsce przybyłym, którzy poklękali w izbie i przed chatą. Na wszystkich prawie twarzach malowało się głębokie rozrzewnienie i łzy płynęły po ich zgrubiałych od słońca i ciężkiej pracy policzkach, podczas gdy ksiądz odprawiał święty obrządek religijnego pożegnania i przebaczenia dla istoty, która nigdy nie zgrzeszyła. A ten żal, to rozrzewnienie, jakie chwila ostatecznego rozstania z biednym tém stworzeniem budziła, było całkiem naturalne, bo wszyscy dookoła zgromadzeni byli mu dobrowolnie pokrewni. Była-to jedna wielka rodzina, w której każde chłopię darzyło go troskliwością ojca, każda swawolna dziewczeczka czułością matki.

— Już skończył — ozwał się wreszcie ksiądz.

Słowa te wielkie wrażenie na obecnych wywarły. Zapalono gromnice; niektórzy chcieli noc przy zwłokach przepędzić. Benassis i gość jego wyszli. Przy drzwiach kilku wieśniaków zatrzymało lekarza mówiąc: — Ach! panie doktorze, widocznie Bóg chciał go już do siebie powołać, skoroś go pan uratować nie mógł.

— Zrobiłem wszystko, com mógł, moje dzieci! — odparł Benassis — a gdy minęli opuszczoną wioskę, której ostatni mieszkaniec skonał przed chwilą, zwrócił się do komendanta mówiąc:

— Nie przypuściłbyś pan nigdy, jak wielką pociechą są dla mnie słowa tych ludzi. Dziesięć lat temu o mało co nie zostałem ukamienowany przez mieszkańców tej wioski dziś pustej, a podówczas przeszło trzydzieści rodzin liczącej.

Genestas ruchem i wyrazem twarzy tak żywą wyraził ciekawość i tak pytająco spojrzął na lekarza, że ten czyniąc zadość jego niemiej prośbie opowiedział mu w drodze następującą historię:

— Kiedym tu przybył, zastałem w tój oto części kantonu — tu odwrócił się wskazując ręką na rozwalone chaty — przeszło dwunastu kretynów. Położenie tój wioski w miejscu wgłębioném, pozbawioném przeciągu powietrza i dobroczynnych promieni słońca, które tylko wierzchołek góry oświeca, bliskość strumienia ze stopniałych śniegów utworzonego, wszystko to przyczynia się do rozpowszechnienia tój strasznej choroby. Prawa nie wzbraniają związków płciowych tym nieszczęśliwym, pielęgnowanym tutaj z zabo-bonną troskliwością, o której nie miałem pojęcia, którą potępiałem z początku, a którą teraz uwielbiam. Tym jednak sposobem kretynizm byłby się ztąd aż na całą dolinę roz-przestrzenił. Trzeba było koniecznie położyć tamę tój moralnej i fizycznej zarazie, ale przedsięwzięcie takie, acz prawdziwém dobrodziejstwem dla tych okolic będące, mogło grozić utratą życia temu, ktoby je w czyn wprowadzić zamyślał. Tutaj, jak i we wszyst-kich innych warstwach społeczeństwa, chcąc zmienić dotychczasowy porządek rzeczy, potrzeba było wypowiedzieć walkę już nie interesom społecznym, ale czemuś stokroć trudniejszemu do przerobienia, bo wyobrażeniom religijnym przeistoczonym w zabo-bon, w tę najtrwalszą, najbardziej niepożyłą formę ludzkich przekonań. Nie straciłem jednak odwagi. Staralem się naprzód uzyskać urząd mera kantonu, a otrzymawszy ta-kowy i nadto zbrojny ustnóm zezwoleniem prefekta rozkazałem przesiedlić nocą kilku z tych nieszczęśliwych do Sabaudyi, gdzie ich jest wielu i gdzie się z niemi bardzo dobrze obchodzą. Jak tylko wieść o tём rozeszła się po okolicy, ludność tutejsza najżywszą ku mnie zapałała nienawiścią. Proboszcz z ambony przeciwko mnie kazał. Pomimo że usi-łowałem wytłómaczyć najinteligentniejszym umysłóm miasteczka, jak dalece wydalenie kretynów było dla nich dobrodziejstwem; pomimo że leczyłem darmo wszystkich cho-rych: nie mogłem uśmierzyć coraz wzrastającej niechęci, która doszła do tego stopnia, że strzelono raz do mnie pod lasem. Pojechałem do biskupa Grenobli, prosząc o zmianę proboszcza. Jego ekscelencya był tak łaskawym, że pozwolił mi wybrać sobie księdza, który-by mógł współdziałać ze mną w wykonaniu zamierzonego celu; jakoż udało mi się znaleźć jedną z tych dusz podniosłych, co się prosto z nieba zesłane zdają. Pracowaliśmy wspólnie dalej nad oświeceniem umysłów, a po niejakiem czasie kazałem znów wywieźć nocą sześciu kretynów. Już wtedy miałem za sobą kilku wdzięcznych za wyleczenie pa-cyentów i członków rady miasta, których skąpstwo zdołałem wyzyskać na moję korzyść, przedstawiając im, jak kosztowném było utrzymanie tych nieszczęśliwych istot i ile-by miasto zyskało, gdyby przyłączono do niego grunta bez żadnego prawa w posiadaniu kre-tynów będące. Bogaci trzymali ze mną; ale biedni, stare kobiety, dzieci i kilku upartszych byli mi wciąż nieprzyjaźni. Na nieszczęście, nie dopatrzone się, przy ostatniém wywo-żeniu kretynów, że jeden z nich nie wrócił na noc do domu, a nazajutrz znalazł się sam już tylko w wiosce zamieszkanój przez kilka jeszcze rodzin, których członkowie acz prawie całkiem umysłowo znieośleźnieli, nie podlegali jednak kretynizmowi. Pragnąc zupełnie skończyć, com zaczął, poszedłem w biały dzień w urzędowym stroju, by upro-wadzić tego biedaka. Zaledwie wyszedłem z domu, już wiedziano, gdzie dążę; przyjaciele kretyna wyprzedzili mnie i gdy stanął przed chatą, znalazłem tam liczne zgromadzenie kobiet, starców i dzieci, które przyjęło mnie obelgami i gradem kamieni. Byłbym może padł ofiarą wściekłości rozdrażnionego tłumu, gdyby nie ów kretyn! On mnie wyratował, ukazując się nagle we drzwiach jakby dowódca tych zagorzalców i wydając niezrozumia-le bełkotliwe krzyki. Na jego widok uciszono się, a ja korzystając z tego, postanowiłem wejść z gromadą w układy. Widząc, że stronnicy moi nie śmieliby mnie jawnie w tym razie popierać, że z drugiej strony przesądni ci ludzie będą zaciekle obstawać przy zachowaniu ostatniego swego bożyszcza, musiałem wyrzec się myśli odebrania im tój puścizny. Obiecałem więc zostawić kretyna w chacie, pod warunkiem, że nikt się do niej zbli-żać nie będzie i że mieszkańcy wioski przesiedlą się na drugi brzeg rzeki do miasteczka i nowych domów, które im zbudować przyrzekłem, dołączając do nich grunta, za co mi gmina później zapłacić miała. I cóż pan powiesz, potrzeba mi było pół roku do zwalcz-ania oporu, z jakim się wykonanie tego układu korzystnego dla tych biedaków spotkało. Moc, z jaką chłop przywiązuje się do swojej lepianki, jest dla mnie niepojętą. Więcej on ceni najnędrniejszą chatynę, niż milionowy bankier wspaniałe swoje pałace. Czemu to przypisać? sam nie wiem. Może uczucia są tём silniejsze, im rzadsze? Może człowiek, który mało żyje duchowo, żyje więcej materyalnie; a im mniej tych materyalnych dóbr posiada, tём bardziej się do nich przywiązuje. Może wreszcie z wieśniakiem jest-to samo,

co z więźniem... nie mogąc rozpraszać sił duszy swojej, skupia je w jednym tylko kierunku i tym sposobem do wielkiej potęgi uczucia dochodzi. Lecz, wybacz pan te uwagi człowiekowi, który rzadko przed kim wywnętrzyć się może, i nie myśl, bym się bardzo oderwanymi myślami zajmował. Tu wszystko musi być w praktyce, w czynie. Niestety! im mniej ludzie są rozwinięci, tém im trudniej własne swoje dobro zrozumieć. Ja-m téż postanowił nie zrażać się niczém. Każdy z nich powtarzał mi jedno i to samo, i wyznać muszę, że to była rzecz bardzo rozsądna, na którą odpowiedzi znaleźć nie mogłem: — Ach panie merze! mówili mi — jakże się mamy przenosić, kiedy jeszcze domów nie ma. — To téż — odpowiadałem im — żądam od was tylko przyrzeczenia, że je zamieszkacie, gdy skończone zostaną. Na szczęście, za mojem staraniem przysądzono miasteczku na własność całą tę górę, u stóp której leży pusta teraz wioska. Sprzedawszy zarastającą ją lasy, mogłem za te pieniądze nabyć grunta i dokończyć budowę obiecanych domów. A gdy tylko jedna rodzina przeniosła się do nowego mieszkania, inne wnet poszły za ję przykładem. Dobrobyt, jaki z téj zmiany wyniknął, był aż nadto widoczny, by przekonać tych nawet, co się najuparciej swoich ciemnych bezsłonecznych nor trzymali. Ta okoliczność i nadanie miastu przez radę państwa prawa własności do owęj góry i otaczających ją gruntów, co, jak powiedziałem, na mojem się stało, ustaliło moję przewagę w kantonie. Ale ileż to pracy! ile trudów kosztowało! — mówił lekarz zatrzymując się i podnosząc rękę, którą z wymownym ruchem opuścił. Ja sam tylko wiem, jak daleko z miasteczka do prefektury, z której nic nie wychodzi, i od prefektury do rady państwa, do której nic nie wchodzi. Ale, pokój niech będzie władzom tego świata, wysłuchały moich życzeń, to i tak wiele! O! gdybyś pan wiedział, ile dobrego zrobił jeden podpis niedbale na papier rzucony... Już w dwa lata po tém, jak się na te wielkie małe-rzeczy porwałem, wszystkie te rodziny posiadały przynajmniej po dwie krowy, które pasły się na górze, gdzie nie czekając pozwolenia rady państwa, zaprowadziłem irygacye na wzór tych, jakie się znajdują w Szwajcaryi, Owernii i Limuzynie. Ku wielkiemu podziwieniu mieszkańców miasteczka góra pokryła się bujnemi łąkami, a krowy dzięki lepszej paszy znacznie więcej mleka dawać zaczęły. Wszyscy jęli naśladować moje irygacye. Bydło, łąki i wszystkie produkty ulepszały się i mnożyły. Odtąd mogłem już bez obawy pracować nad użyźnieniem téj nieuprawnej jeszcze ziemi i nad oświeceniem bardziej od nię zaniedbanych umysłów jęj ludności. Otóż rozgadałem się na dobre, ale widzisz pan, my samotnicy jesteśmy bardzo rozmowni; gdy nam kto zada pytanie, musi się przygotować na to, że prawie końca odpowiedzi nie będzie. Kiedym tu przybył, zastałem tylko siedmuset mieszkańców, teraz ich do dwóch tysięcy rachują. Zajście z ostatnim kretynem zjednało mi szacunek ogółu. Dzięki mojęj stanowczości połączonej przeciez z wyrozumiałością, stałem się wyrocznią kantonu. Robiłem wszystko, co mogłem, by sobie zyskać zaufanie tych ludzi, nie pokazując wszelako, że go pragnę, i dopiąłem celu. Mają oni dla mnie jak największy szacunek zaskarbiony tém, że starałem się dopełniać wszystkich względem nich zobowiązań, choćby nawet najbliższych. Przyrzekłszy im wziąć pod opiekę tego biedaka, który przy panu skończył, czuwałem nad nim więcej i lepiej niż ci, co mu wprzód rodziców zastępowali. Był on żywiony i pielęgowany jak przybrane dziecko gminy. Później, mieszkańcy ocenili przysługę, jaką im mimo ich woli oddałem. Niezależnie od tego, zachowali oni jeszcze trochę dawnęj zabobonności, której nie ganię; owszem, ta cześć, jaką mieli dla kretyna, posłużyła mi nieraz do zachęcenia ich w niesieniu pomocy nieszczęśliwym. Ale otóż i jesteśmy — dodał po pewnej przerwie, ujrawszy dach swego domu.

Widoczném było, że nie spodziewał się i nie żądał żadnych pochwał ni dzięk od swego słuchacza, lecz, że opowiadając mu ten ustęp ze swego publicznego życia, ulegał raczję dobrodusznęj potrzebie wywnętrzenia się, jakiej doznają ludzie w odosobnieniu od świata żyjący.

— Pozwoliłem sobie umieścić konia w pańskięj stajni — rzekł komendant — ale sądzę, że mi pan tego za złe nie weźmiesz, gdy go o celu mojęj podróży powiadomię.

— Ach! a ten jest? — zapytał Benassis jakby budząc się z zadumy i przypominając sobie dopiero, że jego towarzysz był mu zupełnie obcy. — On idąc za popędem swęj szczeręj wylanęj natury, przyjął Genestasa jak dobrego znajomego.

— Słyszałem o cudowném prawie wyzdrowieniu pana Gravier'a z Grenobli, którego pan u siebie leczyleś — odparł wojskowy. — Przybywam tu w nadziei, że mi pan tychże samych starań udzielić zechcesz, choć do nich żadnych praw dotąd nie mam, ale może na

nie zasłużyć. Jestem stary żołnierz, któremu dawne rany pokoju nie dają. Potrzeba panu będzie przynajmniej tygodnia na zbadanie dokładnie stanu mego, bo cierpienia moje tylko od czasu do czasu mi dokuczają i...

— I owszem — przerwał Benassis. — Pokój pana Gravier'a jest wolny, możesz go pan zająć.

Domawiając tych słów otworzył drzwi domu z żywością, którą Genestas przypisał uradowaniu z pozyskania pacjenta.

— Jacento! — zawołał Benassis — ten pan będzie ze mną obiadował.

— Wybaczysz pan — rzekł Genestas — ale czy nie wypadałoby nam ułożyć się wprzód o cenę.

— O cenę czego? — zapytał lekarz.

— Mego utrzymania. Nie możesz pan przecież żywić mnie i mego konia, lecz...

— Jeżeli pan jesteś bogatym, zapłacisz mi dobrze — odparł Benassis — w przeciwnym razie nie chcę nic.

— Nic — rzekł Genestas — to mi się trochę za wiele wydaje. Ale tak, czym biedny, czy bogaty, przyjmiesz pan dziesięć franków dziennie, nie licząc tego, czém postaram mu się jego starania odwdziżyć.

— Nic mi nie jest równie przykrém, jak branie pieniędzy za gościnność — odparł lekarz marszcząc brwi. — Co zaś do moich starań, te pan mieć je będziesz, jeżeli mi do serca przypadniesz. Bogaci nie mogą kupować mego czasu, bo ten do mieszkańców tej doliny należy. Nie pragnę sławy, ani majątku, a od moich chorych pochwał ani wdzięczności nie żądam. Pieniądze, które wezmę od pana, pójdą do aptekarzy w Grenobli na zapłacenie lekarstw niezbędnych dla chorych biedaków mojego kantonu.

Każdy, słyszący te słowa wyrzeczone szorstko, ale bez goryczy, musiałby sobie tak jak Genestas powiedzieć w duchu: — To prawdziwie z kośćmi zacny człowiek ten Benassis.

— A więc — mówił komendant ze zwykłą sobie uporczywością — będę panu płacił dziennie po dziesięć franków, a pan z niemi zrobisz, co zechcesz. Mam nadzieję, że potem porozumiemy się lepiej — dodał, ujmując rękę lekarza i serdecznie ją w swojej ściskając — zobaczysz pan, że pomimo moich dziesięciu franków nie jestem Arabem.

Po tej utarczce, w której ze strony Benassisa nie było najmniejszej chęci okazania się wspaniałomyślnym i filantropijnym, mniemany chory wszedł do domu swego przyszełego doktora, gdzie wszystko odpowiadało zaniedbanemu wyglądowi bramy i ubioru właściciela. Gdzie-bądź się okiem rzuciło, wszędzie widniała najzupełniejsza obojętność na to, co niezbędnie potrzebném do życia nie było. Benassis poprowadził gościa przez kuchnię, jako najkrótszą do jadalnego pokoju drogą. Kuchnia ta, zakopcona jakby w jakiej oberży, była wszelako dosyć obficie w gospodarskie sprzęty zaopatrzoną, ale zbytek ten był dziełem Jacenty, dawniej służącej proboszcza, która zawsze wyrażała się o sobie i panu swoim w liczbie mnogiej i jak wszechwładna pani rządziła domem lekarza. Jeżeli nad kominem leżała czysta szkanдела, to prawdopodobnie dlatego, że Jacenta lubiła zimą spać w ciepłym łóżku, a przy tej sposobności wygrzewała i prześcierała swego pana, który, jak mówiła, nigdy o niczém nie myślał. Benassis wziął ją do siebie dlatego właśnie, co w oczach wszystkich było-by wadą nie do darowania.

Jacenta chciała być panią w domu, a Benassis pragnął znaleźć kobietę, która-by u niego przewodziła. Jacenta kupowała, sprzedawała, urządziła, zmieniała, stawiała i rozstawiała wszystko jak jój się tylko podobało, a pan jój nigdy sobie w tym względzie najmniejszej nawet uwagi nie pozwolił. Zawiadywała ona bez żadnej kontroli domem, stajnią, ogrodem, kuchnią, gospodarstwem, rządziła służącym i panem. Z jój rozporządzenia zmieniała się bielizna, robiło pranie, skupowały rozmaite zapasy. Ona wyrokowała o losie trzody, lajała ogrodnika, dysponowała obiadem i śniadaniem, chodziła z piwnicy na strych i ze strychu do piwnicy, urządzając wszystko według swojej woli i nigdzie żadnego nie spotykając oporu. Benassis żądał tylko dwóch rzeczy: — mieć codziennie obiad o szóstej, i nie wydawać więcej miesięcznie nad pewną zgóry oznaczoną sumę. Kobieta, która czuje, że jój wszystko ulega, jest zawsze wesołą; to też Jacenta śmiała się, poświstywała, nuciła i śpiewała od rana do nocy. Porządna z natury, utrzymywała wzorową w domu czystość. Gdyby nie to jój usposobienie, pan Benassis byłby bardzo nieszczęśliwym, mawiała ona, bo on nieborak tak na nic nie uważał, że mógłby jeść kapustę zamiast kuropatw i cały tydzień koszuli nie zmienić. Jacenta była niezmordowaną w składaniu bielizny, w trzepaniu mebli

i kochała się formalnie w tym istic księżowskim porządku, najbardziej drobiazgowym, polyskliwym, najbardziej pachnącym, że tak powiem, z porządków. Nieprzyjaciółka kurzu, zamiatała, myła i prała bez ustanku. Oplakany stan bramy był dla niej prawdziwym utrapieniem. Od dziesięciu lat, co miesiąc wymagała na swoim panu obietnicę odnowienia tej nieszczęśliwej bramy, naprawienia murów i wogóle urządzenia wszystkiego *galanto*, ale miesiąc za miesiącem upływał, a pan na dotrzymanie słowa zdobyć się nie mógł. To też, Jacenta ubolewając nad niedbałością Benassisa powtarzała zawsze sakramentalne zdanie, którym zwykle pochwały jego kończyła: — Nie można niby powiedzieć, żeby był głupi, boć przecie prawie cuda w okolicy robi, jednakowo bywa czasami głupi, ale to taki głupi, że mu wszystko jak dziecku w rękę wetknąć trzeba. Jacenta przywiązaną była do domu jak do swojej własności i nic dziwnego; przebywszy w nim dwadzieścia dwa lat miała pewne prawo czuć się tam jak u siebie. Gdy Benassis przybył do kantonu, dom ten był właśnie, po śmierci proboszcza, wystawiony na sprzedaż; kupił go więc wraz ze wszystkim, co do niego należało, z gruntami, meblami, sprzętami gospodarskimi, starym zegarem, koniem i służącą. Jacenta była wzorem kucharek. Mała, zwinna, o ręce pulchnej a nieleniwiej, pełne swe kształty obciskała zawsze stanikiem z brązowego w czerwone grochy cycu, tak wysznurowanym, że lękać się trzeba było, by nie pękł za najmniejszym poruszeniem. Na głowie nosiła okrągły marszczony czepeczek, pod którym twarz jęj blada, o podwójnym podbródku, jeszcze bielszą się wydawała. Jacenta mówiła głośno i bezustanku. Jeżeli na chwilę umilkła i ujawszy róg fartucha podniosła go w kształcie trójkąta, było-to zapowiedzią długiego napomnienia, wystosowanego do pana lub lokaja. Ze wszystkich kucharek na świecie Jacenta była bezwątpienia najszczęśliwszą. Nic jęj nie brakowało; nawet zadowolenia próżności; całe bowiem miasteczko uważało ją za jakąś władzę pośrednią między merem a stróżem polowym.

Wchodząc do kuchni, Benassis nie zastał w niej nikogo.

— Gdzież oni są u dyabła? — powiedział, a zwracając się do Genestasa:

— Wybacz pan — dodał — iż go tędy wprowadzam. Główne wejście jest przez ogród, ale ja tak się odzwyczaiłem od przyjmowania gości, że... Jacento!

Na to wołanie, którego ton był niemal rozkazujący, głos kobiecy odpowiedział z głębi domu. W chwilę potem Jacenta wystąpiła zaczepnie wołając nawzajem Benassisa, a ten co-żywo do jadalnego pokoju pośpieszył.

— Otóż to, z panem to tak zawsze — poczęła. — Zaprasza pan gości na obiad nie uprzedziwszy mnie o tém, i zdaje się panu, że jak pan zawoła: — Jacento! tak ja wszystko z rękawa wytrząsnę. Albo i teraz. Może pan będzie tego pana w kuchni przyjmował? Trzeba przecie było otworzyć salon i kazać w piecu napalić. Już ja tam posłałam Mikołaja, aby wszystko urządził. Niech pan swego gościa zaprowadzi teraz do ogrodu, i pokaże mu szpalery przez nieboszczyka pana zasadzone, to go zabawi, jeżeli lubi ładne rzeczy, a ja tymczasem przyrządzę obiad, nakrycie...

— Dobrze — odparł Benassis. — Ale, widzisz, moja Jacento, ten pan będzie tu mieszkał czas jakiś. Nie zapomnij też zajrzeć do pokoju pana Gravier, czy tam wszystko w porządku, może prześcieradła...

— Cóż pan znów się będzie mieszał do prześcieradeł — przerwała Jacenta. — Skoro ma tu nocować, to ja sama wiem, co robić potrzeba. Pan od dziesięciu miesięcy nie wchodził do pokoju pana Gravier; to nie dziwota, że nie wie, co się w nim dzieje. Ale ja panu powiadam, że w nim nic nie brakuje, a czysto jak w mojem oku. Więc on tu będzie mieszkał, ten pan? — dodała ułagodnym głosem.

— Tak.

— Na długo przyjechał?

— Prawdziwie nie wiem. Ale co cię to obchodzi?

— Co mnie to obchodzi, powiada pan? — A! to dobre! co mnie to obchodzi! A któż będzie myślał o życiu, o wszystkim, o...

Nie dokończywszy już tego gradu słów, którym w każdym innym razie byłaby zgłoszyła swego chlebowadwę, wymawiając mu brak zaufania, poszła za nim do kuchni. Domyślając się, że tu o jakiegoś pacyenta chodziło, chciała coprędzej zobaczyć Genestasa, któremu też, dygnawszy uniżenie, zaczęła się od stóp do głowy przyglądać. Twarz komendanta była w tej chwili zamyśloną i smutną, co jęj szorstki wyraz nadawało; wysłuchał on całej rozmowy między służącą a panem, która mu w nie bardzo korzystnym

świecie tego ostatniego przedstawiła i z żalem zaczynał już tracić to wysokie wyobrażenie, jakie sobie o niezmordowanym tępiciele kretynizmu wyrobił.

— Wcale mi się ten jegomość nie podoba — zawyrokowała pocichu Jacenta.

— Jeżeli pan nie jesteś zmęczony — rzekł lekarz do mniemanego pacyenta — to może przeszlibyśmy się przed obiadem po ogrodzie.

— Chętnie — odparł komendant.

Minąwszy pokój jadalny, weszli do ogrodu przez rodzaj przedpokoju oddzielającego jadalnię od salonu. Przedpokój ten z oszklonemi drzwiami przytykał do kamiennego tarasu, który front ogrodu przyzdabiał. Ulice wysadzone bukszpanem i przecinające się w kształcie krzyża dzieliły ogród na cztery równe, kwadratowe części, które opasywał szpaler grabowy, największa pociecha dawnego właściciela. Genestas usiadł na spróchniałej ławce, nie patrząc ani na altankę z winnej latorośli, ani na drzewa owocowe, ani na jarzyny, które Jacenta pielegnowała troskliwie, wdrożona w to przez lubiącego dobre rzeczy księdza. Jego też dziełem był ten cenny ogródek, na który Benassis dość obojętnym poglądał okiem.

Po chwili nic nie znaczącej rozmowy, Genestas zwrócił ją na poważniejsze tory.

— Jakim sposobem — zapytał — doszedłeś pan do tego, by w przeciągu dziesięciu lat potroić ludność tej doliny, która za pana przybyciem liczyła siedemset dusz, a teraz, jak pan mówisz, ma ich około dwóch tysięcy?

— Pan jesteś pierwszym, który mi to pytanie zadaje — odparł lekarz. — Wziąwszy sobie za cel rozbudzenie życia pod każdym względem na tym kawałku ziemi i ciągle tém zajęty, nie miałem nawet czasu do zastanowienia się nad sposobami, jakimi na podobieństwo tego żołnierza z bajki rosół z kawałka kija ugotowałem. Nawet pan Gravier, jeden z naszych dobroczyńców, którego miałem szczęście wyleczyć, nie pomyślał o teorii zwiedzając wraz ze mną góry, by się skutkom praktyki przypatrzeć.

Nastąpiła chwila milczenia; Benassis zadumał się, nie zważając na przenikliwe spojrzenie komendanta, jakim ten zbadać go usiłował.

— Jak się to stało, mój drogi panie — ponowił — ha! po prostu na mocy tego prawa ekonomicznego o łączności między potrzebami, jakie sobie tworzymy, a sposobami zadowalniania tychże. Wszystko na tém polega. Ludy, które niewiele pragną, niewiele też i mają. Kiedym przybył do miasteczka, liczyło ono sto trzydzieści rodzin, a w dolinie było ich około dwustu. Władze tutejsze, zgodnie z ogólną nędzą, składały się z mera, który nie umiał pisać, pomocnika daleko od gminy mieszkającego i z sędziego pokoju; ale ten wiedział tylko o pensyi, jaką pobierał, zdając całe urządowanie na pisarza, który prawie nie pojmował, co robi. Po śmierci dawnego proboszcza miejsce jego zajął wikary, człowiek bez żadnego wykształcenia. Tacy-to ludzie rządili tym kantonem i stanowili jego inteligencją. Na łonie tej pięknej natury, mieszkańcy tutejsi gnuśnieli w brudzie i błocie, żywiąc się kartofłami i mleczym; jedynym przemysłem, jakim się trudnili i jaką-taką pieniężną korzyść zeń ciągnęli, było wyrabianie serów, które do Grenobli i po okolicy w małych koszykach roznosili. Najbogatsi lub najmniej leniwi sieli grykę, czasem owies i jęczmień na użytek miasteczka, ale zboża nie uprawiali wcale. Mer tylko posiadał tartak i skupywał za niską cenę drzewo, by je potem częściowo sprzedawać. Z powodu zupełnego braku dróg, musiał każdy kloc zosobna podczas lata przewozić, a raczej przeciągać z wielkim trudem za pomocą łańcucha przywiązanego do uzdzienicy koni, a zakończonogiego hakiem żelaznym, który się w drzewo wbijał. Chcąc się dostać do Grenobli konno, albo pieszo, należało przejść całą górę; bo dolina zgoła dostępną nie była. Cała ta przestrzeń od pierwszej wioski kantonu aż dotąd, którą teraz tak porządny gościniec, jakim pan zapewne przybyłeś, przerzyna, była podówczas jedną wielką kałużą. Żaden wypadek polityczny, żadna rewolucya nie przeniknęła w ten niedostępny, całkiem po-za obrębem społecznego ruchu leżący, zakątek ziemi. Imię Napoleona tylko znane tu jest i powtarzane z czcią niemal religijną, dzięki kilku starym żołnierzom, którzy powrócili pod rodzinne strzechy i wieczorami opowiadają tym prostaczkom niestworzone dziwy o wielkim cesarzu i jego wojskach. Powrót ten jest zresztą niewytłómaczonem zjawiskiem. Przed mojem przybyciem młodzież tutejsza raz zaciągnięta w szeregi nie opuszczała ich więcej, a fakt ten świadczy aż nadto o niedostatku i nędzy tej okolicy, bym je panu jeszcze opisywał. W takim-to stanie objąłem zarząd tego kantonu, do którego po-za górami należy kilka jeszcze gmin dobrze urządzonych, dość szczęśliwych, zamożnych niemal. Nie wspomnę

panu nawet o domkach miasteczka, istnych chlewach, w których bydłeta i ludzie mieścili się razem. Wracając z la Grande-Chartreuse, przejeżdżałem tędy. Nie znalazłszy żadnej oberży, byłem zmuszony zanoć u wikarego, który mieszkał czasowo w tym domu, wystawionym podówczas na sprzedaż. Od słowa do słowa, dowiedziałem się o oplakany stanie tej miejscowości, której piękny klimat, wyborne grunta i naturalne produkty w podziw mnie wprawiły. Widzisz pan, ja-m wtedy usiłowałem stworzyć sobie inne życie, niż to, które dotychczas wiodłem i które mnie zgnębiło. I do serca zakolatała mi wtedy jedna z tych myśli, które Bóg ludziom nieraz zsyła, by im znoszenie nieszczęść łatwiejszym uczynić. Postanowiłem zająć się tym krajem, jak nauczyciel wychowaniem dziecka. Ale nie bierz pan tego za jakąś wspaniałomyślność z mojej strony; nie, to był po prostu mój własny interes; potrzebowałem zajęcia, rozerwania myśli; chciałem resztę dni moich na spełnienie jakiegoś trudnego przedsięwzięcia poświęcić. Podnieść, oświecić, umoralnić ten kraj, który natura tak wzbogacała, a człowiek tak ubożył: to miało być zadaniem mego życia; a trudności, jakie w dojściu do zamierzonego celu widziałem, zamiast odstraszać, zachęcały mnie owszem. Kupiwszy dość tanio dom po proboszczu i obszerne a odległe leżące grunta, poświęciłem się obowiązkom lekarza wiejskiego, temu najostatniejszemu z powołań, o jakich człowiek w planach swojej przyszłości marzy. Pragnąłem stać się przyjacielem biednych, nie spodziewając się za to najmniejszej nagrody. O! bom ja się w żadne złudzenia nie bawiłem! ani co do charakteru tutejszych wieśniaków, ani co do przeszkód, jakie musi zwalczać każdy, kto ludzi i rzeczy chce poprawiać. Nie idealizowałem sobie moich biedaków, ale przyjąłem ich takimi, jakimi byli, to jest widziałem w nich ludzi, nie zupełnie dobrych, ani też zupełnie złych, którym ciężka, ciężka praca nie dozwalała oddawać się uczuciom, ale którzy pomimo to, czasem, bardzo żywo i głęboko czuć byli w stanie. Wreszcie, pojmo wałem nadewszystko to, że tylko dotykalmi dowodami oddziałać na nich mogę. Wszyscy wieśniacy są synami świętego Tomasza, niewiernego apostoła; zawsze im czynów na poparcie słów potrzeba.

— Będziesz się pan może śmiać, gdy mu powiem, jaki był początek tego trudnego dzieła — mówił dalej lekarz po chwilowym przestanku. — Zacząłem je od fabryki koszyków. Biedacy ci kupowali w Grenobli drabinki do suszenia serów i wogóle wszystkie sprzęty niezbędne do ich nędznego handelku. Podsunąłem jednemu z dosyć inteligentnych młodych ludzi myśl wydzierżawienia sporego kawałka gruntu wzdłuż strumienia leżącego, użyznianego corocznymi odsepami i na którym łożina dobrze się udawać mogła. Obrachowawszy, ile mniej-więcej kanton potrzebował na rok koszykarskich wyrobów, pojechałem do Grenobli, by tam jakiego umiejętnego, młodego a środków pieniężnych pozbawionego koszykarza wynaléć. Gdy na takiego właśnie natrafiłem, skłoniłem go z łatwością do przeniesienia się tutaj obiecując, że mu będę kupować potrzebną do jego wyrobów ilość łożyny, dopóki mój plantator nie będzie jej mógł dostarczać. Namówiłem go także, by sprzedawał koszyki po cenach niższych niż w Grenobli, a wyrabiał je pomimo to lepiej. Skutki tej mojej koszykarsko-łożowej spekulacji ledwo po upływie lat czterech mogły się dać ocenić. Zapewne panu wiadomo, że dopiero trzyletnia łożina zdatną jest do użytku. Jednakowoż koszykarz mój przetrwał pierwsze próby i dobrze mu się powodziło. Po niejakiem czasie pojął za żonę kobietę z Saint-Laurent du Pont, która mu nieco grosza w posagu przyniosła. Wtedy wystawił sobie dom w miejscu zdrowym, dobrze przewietrzanym, stosując się w tém jak i w rozkładzie całego budynku do moich wskazówek. Jakież-to był tryumf dla mnie! kochany panie. Założyłem tedy warsztat w miasteczku, sprowadziłem rzemieślnika i kilku robotników. Może pan nazwiesz to dziecinstwem, gdy mu powiem, że przez pierwsze kilka dni nie mogłem przejść koło sklepu mego koszykarza, by mi serce silnie nie zabiło. Gdy patrzyłem na ten dom nowy z pomalowanymi nazieleno okiennicami, a w progu jego kobietę porządnie ubraną, karmiącą zdrowego i tustego dzieciaka, na tych robotników wesołych, śpiewających i pracujących ochoczo, których dozorował człowiek niegdyś biedny i wybladły, a teraz promieniejący szczęściem; wtedy, wyznając, nie mogłem oprzeć się chęci stania się na chwilę koszykarzem i wchodziłem do sklepu, rozpytać się o wszystko, obejrzeć i nacieszyć się radością ich i swoją własną, której panu odmalować nie jestem w stanie. Dom tego człowieka, pierwszego, który mi zaufał, napelnił mnie otuchą i nadzieją. Widziałem w nim przyszłość tego biednego kraju, który już w sercu nosiłem, tak jak żona mego koszykarza nosiła w łonie pierwsze swoje dziecko. Ale wiele, wiele mi jeszcze do zrobienia zostawało. Na każdym kroku spotykałem silny

opór, a sprawcą jego głównym był mer, którego miejsce zająłem, a którego wpływ słabnął wobec mojego. Ale ja postanowiłem mieć w nim właśnie pomocnika i współnika moich planów. Tak, panie kochany, w tej-to głowie, najtwardszej ze wszystkich, spróbowałem pierwsze iskierki światła rozniecić. Wziąłem go na wędkę miłości własnej i osobistego interesu. Przez pół roku obiadowaliśmy wspólnie, a tym sposobem wtajemniczyłem go powoli w moje zamiary. Wielu zapewne widziałoby w tej przyjaźni z musu jedną z najprzykrzejszych stron mego zadania; ale człowiek ten był dla mnie cennym narzędziem, biada zaś temu, kto takimi narzędziami gardzi lub je niedbale odrzuca. Zresztą, czyżby to nie było wielką z mojej strony nieloicznością, gdybym chcąc ulepszać kraj, cofnął się przed ulepszeniem człowieka? Najbardziej nagłąca ze wszystkich była potrzeba zbudowania dobrego gościńca. Gdybyśmy uzyskali na to pozwolenie od rady municypalnej, mój pomocnik pierwszy-by na tym skorzystał, nie potrzebowałby bowiem włóczyć pojedynczo kłoców po złych ścieżkach z takim kosztem i trudem, ale mógłby naraz znaczną ilość drzewa szeroką drogą przewozić, przedsięwziąć ten handel na wielką skalę i zarabiać nie już jakie nędzne sześćset franków do roku, ale okrągłe sumki, które-by mu kiedyś niezły mająteczek utworzyły. Tak przekładając merowi, trafiłem zupełnie do jego przekonania. Całą zimę chodził on sobie do karczmy zabawiać się kieliszkiem z przyjaciółmi i tam umiał wmówić w nasze władze, że dobry gościniec byłby źródłem zamożności dla kantonu, ułatwiając każdemu handel z Grenoblą. Gdy rada municypalna uchwaliła wreszcie ten projekt; wyjednałem u prefekta pewną sumę na opłacenie transportów, których gmina dla braku wozów sama przedsięwziąć nie mogła. Wreszcie, by co prędzej to wielkie dzieło ukończyć i dać jak najrychlej możność ocenienia dobroczynnych jego skutków tym, którzy przeciwko mnie szemrali, mówiąc, że czasy pańszczyzny chcą przywrócić, przez cały pierwszy rok mojej administracji ściągałem co niedziela z dobrej woli lub z musu ludność miasteczka nie wyłączając kobiet, dzieci, a nawet starców na szczyt góry, gdzie sam wykreśliłem na doskonałym gruncie linię drogi, która od naszej wioski do gościńca Grenobli prowadziła. Na szczęście obfite materyały do budowania znajdowały się tuż pod ręką. To jedni, nieświadomi przepisów, odmawiali swego współdziałania, to znów drudzy, którym rzeczywiście brakowało kawałka chleba, nie mogli tracić dnia przy tej robocie; trzeba więc było tym dawać zboże, a tamtych przyjaznymi słowy ulagadzać. Jednakowoż, gdy już droga w dwóch trzecich częściach zbudowaną została, korzyści ztąd okazały się tak wielkie dla mieszkańców, że już ich do pracowania nad trzecią zachęcać nie trzeba było i skończyli ją z gorliwością, która mnie w podziw wprawiła. Chcąc wzbogacić przyszłość gminy, obsadziłem z obydwóch stron drogę podwójnymi rzędami topoli. Dziś drzewa te stanowią znaczny kapitał i nadają pozór szosowej drogi naszemu gościńcowi, który dzięki naturze gruntu i swemu położeniu jest prawie zawsze suchy, a tak dobrze zbudowany, iż utrzymanie go zaledwie dwieście franków rocznie kosztuje. Muszę go panu pokazać, boś go widzieć nie mógł. Zapewne przybyłeś pan tu drogą dolną, którą mieszkańcy już z własnego popędu przed trzema laty zbudowali dla ułatwienia komunikacji z rozmaitemi zakładami, jakie się podówczas w dolinie organizować zaczęły. Tak tedy, to miasteczko, niegdyś zupełnie umysłowego rozwinięcia pozbawione do tego stopnia, że pięć lat temu mogło się zdawać niepodobieństwem rozniecić w niem jakąś iskierkę inteligencji, zdolne było po upływie trzech lat zaledwie do przedsięwzięcia samodzielnych, rozsądnych planów. Ale idźmy dalej. Warsztat mego koszykarza okazał się zachęcającym przykładem dla biednej ludności kantonu. Prócz zbudowania drogi, tego najsilniejszego środka podniesienia dobrobytu miasteczka, potrzeba było także wprowadzić w ruch przemysł i rzemiosła. Dopomagając memu plantatorowi łożyny, zachęcając koszykarza, pilnując ukończenia gościńca, pracowałem jednocześnie nad dalszym rozwinięciem mego dzieła. Miałem dwa konie; mój pomocnik, ów dawny mer, handlujący drzewem miał ich trzy, a nie było ich komu podkuwać, trzeba było jeździć po to do Grenobli. Zachęciłem tedy kowala, znajdującego się trochę na weterynarstwie, by się tu osiedlił, i obiecywałem mu, że roboty dużo mieć będzie. Tegoż dnia trafiłem na starego żołnierza, który nie wiedział co z sobą zrobić, nie mając nic prócz stu franków emerytury; a że umiał czytać i pisać, dałem mu miejsce sekretarza merostwa; wkrótce trafem znalazłem mu żonę i tak najgorętsze jego marzenia się spełniły. Potrzeba było domów dla tych dwóch nowych przybyszów jak również dla dwudziestu dwóch rodzin, które wioskę kretynów opuściły. Prócz tego dwanaście innych rodzin, producentów i konsumentów, przybyło się tutaj

osiedlić: byli-to mularze, cieśle, dekarze, stolarze, ślusarze i szklarze, którzy tu wszyscy robotę, i to na długo, znaleźli, potrzebowali zatem domów dla siebie, sprowadzili ze sobą robotników. W ciągu drugiego roku mojej administracji, gmina powiększyła się o siedemdziesiąt nowych domów. Powiększając ludność miasteczka, stworzyłem w niem jednocześnie mnóstwo potrzeb nieznanych dotąd tym biedakom. Potrzeby zaś zrodziły przemysł, z przemysłu wypłynął handel, z handlu zarobek, z zarobku dobrobyt, a z dobrobytu pożyteczne myśli i pragnienia. Moi robotnicy chcieli mieć chleb dobrze upieczony; sprowadziliśmy więc piekarza. Teraz gryka nie mogła już być wystarczającym pożywieniem dla ludzi, którzy otrząsnęli się z poniżającej ociążałości i do życia czynnego zabrali. Chciałem ich naprzód do jedzenia żyta przyzwycząić i zwolna dojść do tego, by kiedyś w ręku najuboższego nawet chłopca kawałek pszennej chleba zobaczyć. Dla mnie bowiem, postępy moralne są z materyalnemi w najściślejszym związku i śmiało twierdzą, że okolica, w której rzeźnik ma co do roboty, jest równie zamożną jak inteligentną. Kto pracuje, ten je; kto je, ten myśli. Przewidując, że nadejdzie pora, w której uprawa pszenicy stanie się konieczną, zbadałem dokładnie gatunek gruntu i przyszedłem do przekonania, że rolnictwo zakwitłoby tutaj i wpłynęło na pomnożenie ludności, gdyby tylko ta ludność wzięła się do pracy w tym kierunku. Pora przewidywana nadeszła. Pan Gravier z Grenobli miał tu grunta, które leżały odłogiem, ale pod uprawę zboża najzupełniej były zdadne. Jak panu wiadomo, jest on naczelnikiem jednego z oddziałów prefektury. Po części z przywiązania do kraju, a po części zwyciężony moimi naleganiami, czynił nieraz zadosyć moim żądaniami; w tym razie także udało mi się przekonać go, że przyczyniając się do podniesienia dobrobytu gminy, sam na tém wiele skorzysta. Zobowiązałem się w razie, gdyby poniósł jakieś straty w tém przedsięwzięciu, do którego go namawiałem, a od którego żona jego, bardzo ograniczona kobieta, odciągnąć go usiłowała, zabezpieczyć je na własnym moim majątku, i wreszcie po długich prośbach, naleganiach i rozprawach dopiąłem swego. Pan Gravier zgodził się założyć tutaj cztery fermy, po sto morgów każda, i obiecał zaforszuszować pieniądze potrzebne na wykarczowanie gruntu, zakup nasion, narzędzi rolniczych, bydła i t. d. Ja z mojej strony założyłem dwie fermy, tak dla użytkowania moich gruntów jak dla obznajmienia wieśniaków, na przykładzie, z pożytecznemi ulepszeniami tegoczesnego rolnictwa. W przeciągu kilku tygodni w miasteczku przybyło trzystu mieszkańców. Założenie sześciu ferm, wykarczowanie gruntów, a następnie ich uprawa wszystko to wymagało umiejętnych a licznych robotników. Kołodzieje, kopacze, czeladnicy, napływali ze wszystkich stron. Drogę do Grenobli zapełniały wozy; piesi przechodnie mijali się ciągle dążąc tam i napowrót. Był-to ogólny ruch w całym kraju. Odrętwienie znikło, życie budziło się, drgało wszystkiemi tętami. A teraz parę słów, by skończyć z panem Gravierem. Pomimo nieufności dość naturalnej u obywatela z prowincyi i biuralisty, wyłożył przeciw z góry, opierając się jedynie na moich obietnicach, około czterdziestu tysięcy franków. Dziś, każda z jego ferm wdzierżawioną jest za tysiąc franków rocznie, a dzierżawcy tak dobrze umieli interesa swoje poprowadzić, że każdy z nich posiada przynajmniej sto morgów gruntu, trzysta owiec, dwadzieścia krów, dziesięć wołów, pięć koni i około dwudziestu ludziom chleb i zajęcie u siebie daje. A teraz idę dalej. W czwartym roku mojej administracji fermy ukończone zostały. Mieliliśmy tak olbrzymie zbiory zboża, jakich się tylko po tej żyźnej, dziewiczej roli spodziewać było można, a które w podziw wprawiły mój ludek. Ale jak ja się przez ten rok cały bałem o moje dzieło! Deszcze lub susze mogły zniweczyć wszystko, zmniejszając ufność, jaką już sobie zdobyłem. Uprawa zboża pociągnęła za sobą potrzebę młyna, który pan widziałeś, a który mi około pięćuset franków rocznie przynosi. To też wieśniacy mówią o mnie wyrażając się po swojemu, że *mam szczęśliwą rękę*, i wierzą we mnie jak w relikwie. Budowa młyna, zakładanie ferm, plantacyj, dróg dostarczały ciągłej roboty rzemieślnikom, których tu ściągnąłem. Wszystkie te innowacje kosztowały nas wprawdzie przeszło sześćdziesiąt tysięcy franków, ale przyniosły nam i przynoszą dochody, pokrywające w zupełności wydatki. Nie ustawałem ani na chwilę w dmuchaniu na roznieconą iskierkę przemysłu. Za moją poradą, ogrodnik, utrzymujący szkółkę, osiedlił się w miasteczku, gdzie namówiłem najbiedniejszych do hodowania drzew owocowych, w celu zapewnienia sobie z czasem monopolu na sprzedaż owoców w Grenobli. Nosicie tam sery — mówiłem — dlaczegoż nie miałibyście nosić drobiu, jaj, jarzyn, zwierzyny, siana, słomy. Każda z tych insynuacyj była źródłem zamożności dla tego, kto jęj posłu-

chał. Utworzyło się więc mnóstwo małych zakładów, których postępy wolne z początku coraz szybszemi się stawały, każdego poniedziałku przeszło sześćdziesiąt worków napełnionych rozmaitemi produktami ciągnie ztąd do Grenobli; więcej się teraz zbiera gryki dla karmi drobiu, niż jęj dawniej na wyżywienie ludzi siano. Handel drzewem rozszerzył się także ogromnie i na kilka części podzielił. Już w czwartym roku naszej ery przemysłowej mieliśmy handlarzy drzewa opałowego, desek, kory i węgla. Powstało cztery nowe tartaki do piłowania tarcic. Dawny mer, nabywszy trochę handlowych wiadomości, uczył potrzebę nauczenia się czytać i pisać. Porównywając ceny drzewa w rozmaitych miejscowościach, zauważył tak wielkie różnice na korzyść swojej spekulacji, że sobie tu i owdzie nowe praktyki potworzył i teraz prawie z połową departamentu handel prowadzi. Ruch wywozowy tak raptownie wzrósł u nas, że dwóch kołodziejów i trzech rymarzy ledwo nastarczyć mogą robocie, choć każdy z nich przynajmniej po trzech chłopców ma do pomocy. Wreszcie zużywamy tyle żelaza, iż rzemieślnik wyłącznie żelaznemi wyrobami się trudniący osiedlił się w miasteczku i dobrze mu tam idzie. Chęć zysku obudza ambicyą i współzawodnictwo; dzięki tym bodźcom przykład miasta oddziałal na cały kanton, z kantonu na departament. Wkrótce potrzebowałem już tylko wskazywać moim pracownikom nowe środki zarobku; ich rozsądek dokonywał reszty. Cztery lata starczyły na zmienienie powierzchowności miasteczka. Gdym je pierwszy raz przebywał, cisza prawie grobowa zalegała ulice; na początku piątego roku, wszystko tam wrzało życiem. Wesole śpiewy, hurkot warsztatów, głuche lub ostre odgłosy rozmaitych narzędzi jak najmiłsza muzyka obijały się o moje uszy. Patrzyłem na ludność zdrową snującą się po mieście czystym, świeżo zabudowanym, obsadzonym drzewami. Na wszystkich twarzach malowało się zadowolenie, jakie użytecznie pędzone życie wytwarza.

— To pięciolecie jest w moich oczach pierwszą epoką dobrobytu miasteczka — mówił dalej lekarz po chwilowem milczeniu. — Przez ten czas wykarczowałem wszystko i wszystko zasiałem co należało, tak w umysłach jak w roli. Ruch postępowy ludności i przemysłu nie mógł już odtąd ustać. Następowala druga epoka. Wkrótce mój ludek zapragnął ubierać się lepij. Przybył nam kramarz, a z nim szewc, krawiec i kapelusznik. Za tym zbytkiem stroju poszła i wykwintność w jedzeniu; postaraliśmy się o rzeźnika i kupca korzennego. Niezadługo sprowadziłem akuszerkę, która mi bardzo była potrzebną, bo wiele czasu przy słabościach kobiet traciłem. Wykarczowanie gruntu dawało obfite plony, a użyżnianie nawozami, których było podostatkiem, przyczyniło się do polepszenia i tak już dobrego gatunku ziarna. Wtedy-to mogłem rozwinąć w całej pełni swoją działalność. Oczyszcziwszy domy, przyprowadziwszy stopniowo mieszkańców do lepszego żywienia się i odziewania, zapragnąłem, by i zwierzęta odczuły dobroczynne dopływy cywilizacji. Od starannej hodowli bydła zależy piękność ras i osobników i w imię tego zacząłem na asenizacyę obór nastawać. Wykazując właścicielom, jak dalece większe korzyści przynosi bydłę dobrze karmione i czysto utrzymane, wprowadziłem nieznacznie radykalne zmiany w dotychczasowym obchodzeniu się ze zwierzętami. Chędożono woły i krowy, jak się to w Szwajcaryi i Owegnii dzieje. Owczarnie, stajnie, obory zostały przebudowane na wzór moich i pana Gravier'a zabudowań, a te są obszerne, dobrze przewietrzane, a tém samém zdrowe. W fermach naszych mieliśmy apostołów, którzy nawracali prędko niedowiarków, wykazując im dotykalmi dowodami racjonalność moich przepisów. Biedniejszym zwłaszcza przemysłowcom pożyczalem pieniędzy. Stosownie do moich rad posprzedawano bydłeta zdefektowane i cherlające, a zastąpiono je pięknymi okazami. To téż w krótkim czasie produkta nasze odniosły na targach zwycięstwo nad produktami innych gmin. Mieliśmy przepyszne trzody, a ztąd doskonałe skóry. Postęp-to był wielkiej doniosłości. W gospodarstwie wiejskiem nie ma takiej rzeczy, z której-by się jakiejś korzyści wyciągnąć nie dało. Dawniej korę sprzedawano prawie za bezcen, a skóry wielkiej wartości nie miały, ale raz ulepszone oba te produkty dały nam możność założenia garbarni i rozwinięcia handlu w tym kierunku. Wino, niegdyś nieznanne w miasteczku, gdzie pito tylko nędzną lurę, stało się z czasem potrzebą; pootwierano karczmy. Z czasem najdawniejsza z nich powiększyła się, zamieniła w oberżę i dostarczała noclegu i mułów podróżnym, którzy coraz częściej naszym gościńcem do la Grande-Chartreuse jeździć zaczęli. Od dwóch lat ruch handlowy tak się powiększył, że dwóch oberżystów może się dzięki jemu utrzymać. Na początku drugiej naszej ery umarł sędzia pokoju. Szczęściem dla nas, miejsce jego zajął były notaryusz, który zrujnowawszy się w źle obmyślonych

spekulacjach, miał jednak dosyć jeszcze pieniędzy, by się na wsi módz nazwać bogatym. Namówiony przez pana Gravier'a osiedlił się tutaj; zbudował sobie ładny dom, poparł moje usiłowania swojemi, założył fermę, wykarczował kawał ziemi i dziś trzy szalety na górze posiada. Oddalił dawnego pisarza i woźnego zastępując ich ludźmi o wiele wykształceńszymi, a zwłaszcza nie leniącemi się pracować. Jeden z nich założył tutaj gorzelnia, drugi pralnię wełny, i oba po za swemi obowiązkami z korzyścią dla siebie te pożyteczne przedsiębiorstwa prowadzą. Przysporzywszy dochodów gminie, mogłem ich bez żadnego oporu użyć na zbudowanie magistratu, w którym pomieściłem szkółkę bezpłatną i elementarnego nauczyciela. Spełnienie tego ważnego obowiązku poruczyłem biednemu, „przysięgłemu” księdzu, którego cały departament się wyrzekł, a który znalazł u nas schronienie na stare lata. Przełożona szkółki jest bardzo zacną kobietą; straciwszy całe swoje mienie nie wiedziała, jak sobie radzić; przyszliśmy ję z pomocą i oto teraz założyła pensyjkę, gdzie bogatsi fermerzy z okolicy posyłają swoje córki.

Dotąd miałem prawo opowiadać panu dzieje tego zakątka ziemi w mojem imieniu; to, co następuje dalej, jest już w połowie dziełem nowego proboszcza księdza Janvier, istnego Fenelona w małym zakresie, który umiał natchnąć ludność miasteczka duchem braterskości tworzącym z niej jakby jedną rodzinę. Pan Dufau sędzia pokoju, choć najpóźniej przybyły, zasługuje także na wdzięczność mieszkańców. Wreszcie, by panu przedstawić jasno obecne materyalne położenie naszej gminy, posłużę się cyframi, wymowniejszemi od słów. Ma ona dziś dwieście morgów lasu i sto sześćdziesiąt morgów łąki. Nie posiłkując się niestałemi dochodami, płaci dodatkowej pensyi proboszczowi sto dukatów, dwieście franków stróżowi polowemu, tyleż nauczycielowi i przełożonej szkółki; pięćset franków ma zawsze w zapasie na drogi, drugie pięćset na naprawy magistratu, plebanii, kościoła i inne pomniejsze wydatki. Za jakie lat piętnaście kapitał w drzewach leżący wzrośnie do stu tysięcy franków; gmina będzie mogła opłacać wszystkie podatki, nie biorąc na nie szeląga od mieszkańców, i stanie się jedną z najbogatszych gmin we Francyi. Ale ja może pana nudzę? — zapytał przerywając sobie Benassis i spojrzął na Genestasa, który siedział w postawie tak dalece zamyślonęj, że można ją było za roztargnienie poczytać.

— O, nie! bynajmniej! — odparł komendant.

— Ale — mówił dalej lekarz — handel nasz, przemysł, rolnictwo i odbyły tylko miejscowe. Doszedłszy pewnego stopnia, dalej-by się rozwijać nie mogły. Postarałem się więc o otwarcie biura pocztowego, o koncessyę na sprzedaż tytoniu, prochu i kart; skłoniłem poborcę podatków, by zamiast mieszkać w jakiejś innęj gminie przeniósł się do naszego miasteczka, które jest zarazem stolicą kantonu; rozbudziwszy potrzebę jakiejś nowęj produkcyi, starałem się ją zaraz w czyn wprowadzić, wpajałem we wszystkich poczucie własności; to też w miarę jak wzrastała zamożność, wykarczowywały się grunta, zakwitała uprawa roli, wznosiły się posiadłości. Biedacy, którzy przed mojem przybyciem nosili pieszo sery do Grenobli, jeżdżą tam teraz porządnie furmankami, wożąc owoce, jaja, drób, jarzyny. Wszyscy nieznacznie zamożnieli. Do najbiedniejszych należeli ci, którzy się na uprawie ogrodu, hodowaniu jarzyn i owoców ograniczać musieli. Ale nie chcąc dać zgasnąć temu domowemu ognisku, trzeba go było bezustannie podsycać. Przemysł miasteczka nie był jeszcze tak wielki, by mógł utrzymać ruch handlowy, spowodować konieczność założenia magazynów, targu. Nie dosyć na tém, jeżeli kraj nic ze swego kapitału nie traci; dobrobyt jego nie wzrośnie, gdy ta suma pod postacią produkcyi i konsumpcyi przejdzie choćby przez najwięcej rąk. Nie, nie na tém rzecz polega. Skoro kraj jest już na tęp stopie, że między jego zapotrzebowaniem a produkcją istnieje zupełna równowaga, wtedy chcąc podnieść zamożność ogółu, trzeba wejść w stosunki zamiany na zewnątrz, które-by mogły trwały stan czynny w jego handlowym bilansie zaprowadzić. Ta myśl przewodniczyła zawsze państwowym pozbawionym terytoryalnęj podstawy jak Tyr, Kartagina, Wenecya i skłaniała je do prowadzenia wywozowo-przywozowego handlu. Ja-m również chciał coś podobnego dla trzecięj ery pomyślności mojego kantonu utworzyć. Pomyślność ta, ledwo widoczna dla oczu przechodnia, bo miasteczko nasze podobne jest do wszystkich innych, była zadziwiającą tylko dla mnie samego. Mieszkańcy, biorąc czynny udział w tym postępowym ruchu, nie mogli go także ocenić. Po siedmiu latach traf zesłał mi dwóch cudzoziemców, którzy są teraz dobroczyńcami tęp miejscowości i mogą ją z czasem w prawdziwe miasto zamienić. Jeden z nich jest-to Tyrolczyk, człowiek niesłychanie zręczny, który robi obuwie dla wieśniaków, a buty dla elegantów Grenobli, a robi

je tak, jakby żaden szewc paryski nie potrafił. Był on zarazem wędrownym muzykantem, prawdziwym typem tych zabiegliwych Niemców, co to sztukę i rzemiosło jednocześnie uprawiać umieją. Przeszedł tak całe Włochy pracując i śpiewając i z powrotem zatrzymał się w naszym miasteczku. Gdy się zaczął rozpytywać, czyby kto nie potrzebował obuwia, przysłano go do mnie; jakoż obstałowałem u niego dwie pary butów, a zdziwiony zręcznością, z jaką zrobione zostały, wszedłem z nim w rozmowę; a jego jasne i rozsądne odpowiedzi, obejście się i powierzchowność, wszystko to złożyło się na potwierdzenie dobrego wyobrażenia, jakie o nim powziąłem. Zaproponowałem mu, by się osiedlił w miasteczku, przyrzekając, że go wszelkimi siłami popierać będę i na początek zaliczyłem mu dosyć znaczną sumę. Zgodził się bez wahania. Ponieważ skóry nasze, skutkiem staranniejszej hodowli bydła ulepszyły się, jak to już zresztą nadmienilem, przyszło mi więc na myśl, że niezadługo będziemy je mogli na własny użytek obracać, wyrabiając z nich obuwie po cenach umiarkowanych. Wypadek nastęrczył mi nadzwyczaj zdatnego i pracowitego człowieka, który mi miał posłużyć za narzędzie do zaszczerpienia w miasteczku jednej z najobfitszych i najstarszych gałęzi handlu. Na szczęście nie omyliłem się w moich rachubach. Dzisiaj mamy już pięć garbarni, które zużytkowują wszystkie skóry z całego departamentu, a nawet często się po nie do Prowancyi udają. I cóż pan powiesz! garbarnie te nie mogą nastarczyć skór Tyrolczykowi, w którego warsztacie pracuje przeszło 40 robotników..... Co się tyczy drugiego, którego historia, acz nie mniej ciekawa, może-by pana znużyła, jest-to prosty chłop, trudniący się wyrobem kapeluszy z szerokimi rondami, jakie tu powszechnie noszą. Doszedł on do tego, że sprzedaje je taniej niż inni i handluje nimi nie tylko w okolicy, ale i w sąsiednich departamentach, a nawet w Sabaudyi i Szwajcaryi. Dwa te rękodzieła, mogące się stać niewyczerpanymi źródłami dobrobytu dla kantonu, gdyby się tylko w dobroci gatunków i nizkości cen utrzymały, nasunęły mi myśl utworzenia tu trzech jarmarków do roku. Prefekt, zdziwiony szybkim rozwojem naszego przemysłu, poparł mnie w staraniach o uzyskanie na to koncesyi. Jakoż w zeszłym roku odbyły się w miasteczku trzy jarmarki i znane są już w Sabaudyi pod nazwą jarmarków obuwia i kapeluszy. Na wieść o tych przeobrażeniach, pomocnik jednego z notaryuszów z Grenoble, młodzieniec ubogi lecz wykształcony i pracowity, zaręczony przytém z panną Gravier, udał się do Paryża, by prosić o miejsce notaryusza w naszym miasteczku, które też i uzyskał. Nic go ten urząd nie kosztował; teraz wystawił sobie dom naprzeciwko domu sędziego pokoju. Co tydzień jest targ w miasteczku, na którym się dość znaczne interesa na bydło i zbożu robią. W przyszłym roku będziemy mieli zapewne aptekarza, potem zegarmistrza, skład mebli i księgarnię i dojdziemy może do tego, że nasza skromna miłościna będzie w stanie dostarczyć wszystkiego, co ludziom rozwiniętych moralnie i fizycznie jest koniecznie do życia potrzebném. Cywilizacya tyle już tutaj zrobiła, że nie spotkałem najmniejszego oporu ze strony rady municypalnej, gdym podał projekt naprawy i upiększenia kościoła, zbudowania plebanii, obsadzenia drzewami rynku i budowania domów pod linię, by mieć z czasem porządne i proste ulice. Takim-to sposobem stało się, że zamiast stu trzydziestu siedmiu dymów gmina ma ich teraz tysiąc dziewięćset, zamiast ośmiuset nędznych sztuk bydła rogatego — trzy tysiące pięknych okazów i wreszcie zamiast siedmiuset dusz — dwa tysiące mieszkańców w miasteczku, a tysiąc w dolinie. Z tych, dwanaście rodzin można śmiało bogatemi nazwać, sto innych do zamożnych się liczy, reszta się dorabia i pracuje. Wszyscy umieją czytać i pisać, a nawet różne gazety mają tu siedemnastu prenumeratorów. Nie ulega wątpliwości, że spotkasz się pan i z nieszczęśliwymi w naszym kantonie; ja ich, niestety, aż za wielu widzę, ale nikt tu nie żebrze; dla każdego znajdzie się praca. Na jednym koniu niepodobna mi wszystkich chorych objechać, muszę mieć drugiego pod siodłem na zmianę i mogę bezpiecznie o każdej porze chodzić po okolicy, nikt już do mnie nie strzeli, a kto-by miał ten zamiar, sam-by przy życiu nie został. Skąpe w objawach, ale rzetelne przywiązanie mieszkańców jest-to jedyny osobisty zysk, jaki dla mnie z tych zmian wypłynął i poprzestaję na nim chętnie, mając jeszcze i to zadowolenie, że każdy, kto mnie spotka, wita mnie wesoło i przyjaźnie. Pojmujesz pan, że majątek, jaki mimowolnie z moich wzorowych ferm zebrałem, jest dla mnie nie celem, ale środkiem.

— A! gdyby pana wszyscy naśladować chcieli, Francya byłaby wielką i mogłaby sobie drwić z całej Europy — zawołał Genestas z uniesieniem.

— Ale ja tu pana więcej jak półgodziny trzymam — zauważył Benassis — noc już prawie; chodźmy, proszę, do stołu.

Dom lekarza miał od strony ogrodu po pięć okien na dole i na piętrze i dach gontowy o kilku wystających dymnikach. Zielono malowane okiennice odbijały od szarawego tła murów, po których od jednego końca do drugiego piał się poprzecznie winograd, jak szmaragdowa opaska pomiędzy dolnym a górnym rzędem okien. U samych stóp domu kilka krzaków róż bengalskich rosło smutnie, stojąc do połowy w wodzie spływającej z dachu, przy którym rynny nie było. Wewnątrz domu po prawej ręce od wejścia były drzwi do salonu o czterech oknach: z tych dwa wychodziły na ogród, a dwa na podwórze. Salon ten, wynik wielu oszczędności i wielu nadziei nieboszczyka proboszcza, miał podłogę z desek, a ściany w dole drzewem wyłożone, wyżej zaś przystrojone obiciem z zeszłego stulecia. Duże fotele miętko wysłane, a pokryte wzorzystą materią; stare, złocene świeczniki na kominku stojące i firanki z sutemi kutasami świadczyły o zamożności dawnego właściciela. Benassis uzupełnił to charakterystyczne dosyć umeblowanie dwoma konsolami z rzeźbionego drzewa, które pomiędzy oknami naprzeciwko siebie stały, i starym szylkretowym, z mosiężnymi inkrustacjami, zegarem, przyozdabiającym kominek. Lekarz nasz rzadko kiedy wchodził do tego pokoju, to też powietrze było w nim duszne i wilgotne, co jest właściwością miejsc mało uczęszczanych i zamkniętych; czuć tam było jeszcze nieboszczyka proboszcza, a zapach jego tabaki zalatywał jeszcze z kącika przy kominku, gdzie zwykł był zawsze siadywać. Dwa wielkie poręczowe krzesła stały symetrycznie po obu stronach ogniska, na którym się od pobytu pana Graviera nie paliło, ale na którym w tej chwili płonęły jasnym płomieniem duże sosnowe polana.

— Zimno jest jeszcze wieczorami — rzekł — i z przyjemnością widzi się ogień.

Genestas zamyślony zaczął teraz dopiero tłumaczyć sobie obojętność lekarza na drobnotki życia codziennego.

— Masz pan duszę prawdziwie obywatelską — wymówił — i dziwię się, dlaczego dokonawszy tyle nie spróbowałeś pan nad oświeceniem rządu popracować?

Benassis zaczął się śmiać, ale z cicha i smutnie.

— To jest, czemu nie napisałem rozprawy o środkach ucywilizowania Francji? nieprawdaż? Pan Gravier już mi to przed panem powiedział. Niestety! nie tak-to łatwo rząd oświecić, a najtrudniej przychodzi to z tym właśnie, któremu się zdaje, że sam światło szerzy. Zapewne, że cośmy zrobili dla naszego kantonu, to każdy mer powinien zrobić dla swego, magistrat dla miasta, podprefekt dla okręgu, prefekt dla departamentu, minister dla Francji, każdy w zakresie swojej działalności. Ja na przykład zbudowałem drogę na mil parę, drugi poprowadziłby ją dalej, inny wykopałby kanał; ja poparłem fabrykę kapeluszy wieśniaczych, minister wyzwoliłby Francję z pod jarzma zagranicznego przemysłu, otwierając nowe rękodzielnicze zakłady, pomagając do udoskonalenia naszego żelaza, stali, narzędzi rolniczych, jedwabnictwa, farbiarstwa i t. p. Zachęcać handel to zupełnie rzecz inna niż protegować go. Dobrze zrozumiana polityka kraju powinna dążyć do wyswobodzenia go od wszelkiego zagranicznego haraczu, ale nie przez upokarzające środki cła i blokady. Przemysł tylko sam przez się zbawionym być może; jedynym życiem jego jest konkurencja. Protegowanie usypia go jak narkotyk, monolog i taryfa są dlań zabójcze. Ten tylko kraj odniesie zwycięstwo nad innymi, który u siebie swobodę handlu ogłosi, którego potęgą przemysłowa będzie tak wielką, że mu pozwoli sprzedawać wyroby swoje po cenach niższych niż gdzieindziej. Francja z większą od Anglii łatwością dojść może do tego, gdyż ona jedna posiada terytorium dość rozległe na to, by produkta rolnicze utrzymać w cenach, które-by wpłynęły na niżenie innych; i do tego to rząd Francji dążyć powinien, bo to jest paląca kwestya wieku. Widzisz pan, studia w tym kierunku nie były nigdy celem mego życia, a zadanie, jakie sobie później do spełnienia wytknąłem, było czysto dziełem przypadku. Potem, rzeczy te są zbyt proste, by je można naukowo traktować, zamało szumne, zamało teoretyczne, a tylko, na nieszczęście dla siebie, pożyteczne i nic więcej. Zresztą, żółwia-to i mozolna praca! Kto chce jakikolwiek postęp w tych rzeczach utrzymać, powinien znaleźć w sobie codziennie jednakową dozę odwagi, najrzadszej, choć się na pozór najłatwiejszą wydaje, odwagi bardzo mało cenionej i wynagradzanej; jednym słowem odwagi nauczyciela powtarzającego bezustannie jedno i toż samo. Z uszanowaniem schylamy się przed człowiekiem, który, tak jak pan, krew na polu walki rozlewał, ale lekceważymy sobie tego, który zużywa powoli swe

siły żywotne, zapalając wciąż też same iskierki w dziecinnych główkach. Dobrze czynić w ukryciu, bez rozgłosu, to dla nikogo pociągającym nie jest. Brak nam całkowicie tej obywatelskiej cnoty wielkich ludzi starożytności, którzy dla przysłużenia się ojczyźnie stawali chętnie w ostatnim rzędzie, skoro w pierwszym być nie mogli. Chorobą naszego wieku jest pragnienie wzięcia góry nad innymi. Więcej mamy świętych niż modlących się do nich. a dlaczego? Bo z monarchią straciliśmy *honor*, z wiarą ojców naszych — *cnoty chrześcijańskie*, z nieszczęśliwymi próbami zmiany rządu — *patryotyzm*. Zasady te istnieją jeszcze wprawdzie, bo takie nasiona nie giną nigdy, ale ożywiają one jednostki, a nie masy. Obecnie, jedyną dźwignią społeczeństwa jest egoizm, wszyscy weń wierzą, po-za nim nie masz nic. Jeżeli znajdzie się jaki wielki mąż, który nas uratuje od rozbicia, do jakiego dążymy, ten niecierpliwie posłuży się indywidualizmem jako najpotężniejszym środkiem odrodzenia, ale czekając na to, żyjemy teraz w wieku materyalistycznym i pozytywnym. Wszyscyśmy otaksowani, nie podług tego, ileśmy warci, ale ile ważymy. Energiczny, ale licho odziany człowiek ledwo przelotne spojrzenie uzyskać może. Minister posyła nędzny jakiś medal marynarzowi, który z narażeniem własnego życia ocalił kilkunastu ludzi, a darzy honorowym krzyżem deputowanego, który mu głos swój sprzedaje. Biada krajowi tak ukonstytuowanemu! Narody zarówno jak jednostki tylko w silnych, głębokich uczuciach czerpać mogą energią. Uczuciem narodów są ich przekonania. A my zamiast przekonania i wiary, mamy własne interesa na celu. Skoro każdy o sobie tylko myśli i sobie tylko wierzy, to gdzie jakim sposobem chcesz pan znaleźć w pośród takich ludzi dużo odwagi cywilnej, odwagi, której pierwszym warunkiem jest zaparcie się siebie. Odwaga cywilna i odwaga wojenna z tegoż samego źródła pochodzą. Wyście powołani do poświęcenia życia od razu, my nasze po kropelce oddajemy. Z obu stron też same walki tylko pod innymi postaciami. Do ucywilizowania choćby najlichszego zakątka ziemi nie dosyć jest być człowiekiem dobrej woli, potrzeba być wykształconym; a wykształcenie, uczciwość, patryotyzm niczem są jeszcze bez żelaznej, niezachwianej wytrwałości, z jaką człowiek winien wszystkie osobiste widoki na ołtarzu ogólnego dobra poświęcać. Bezwątpienia, że Francya posiada nie jedną rozumną głowę, nie jedno patryotyczne serce; ale jestem przekonany, że nie w każdym kantonie znajdzie się choć jeden człowiek taki, który-by do tych cennych przymiotów łączył silną wolę i stałość kowala kującego żelazo. Człowiek, który burzy, i człowiek, który buduje, to dwa zjawiska działalności: jeden przygotowuje, drugi kończy dzieło; pierwszy zjawia się jako gieniusz złego, drugi jako gieniusz dobrego; tamtemu sława, temu zapomnienie. Pierwszego głos donośny, który budzi pospolite dusze i uwielbieniem je napęcza, podczas gdy dobro długo w milczeniu działa. Próżność ludzka wybiera zwykle świetniejszą rolę. Dlatego też czyn, dokonany bez żadnej wstecznej, osobistej myśli, będzie zawsze dziełem przypadku, dopóki wychowanie nie zmieni obyczajów Francyi. A gdy się te obyczaje zmieniają, gdy wszyscy na wielkich obywateli kraju wyjdziemy, nie staniemyż się, pomimo wygod i uciech codziennego życia, najnudniejszym, najbardziej znudzonym, najmniej artystycznym, najniezwyklejszym narodem pod słońcem? Ale nie mnie te ważne pytania rozstrzygać; nie jestem na czele kraju. A po-za temi względami inne jeszcze trudności sprzeciwiają się istnieniu stałych zasad w administracji. Cywilizacja, panie kochany, nie zna nic bezwzględego. To, co jest zbawieniem dla jednej okolicy, może być zabójczym dla drugiej; z umysłem dzieje się tak jak z rolą, a jeżeli mamy tylu złych administratorów to dlatego, że administracja tak jak smak wypływa z uczucia bardzo szczytnego, bardzo czystego. Nikt nie jest w stanie ocenić czynów, ani myśli administratora; prawdziwi jego sędziowie daleko, skutki jego działalności jeszcze dalej. To też każdy bez obawy urząd ten przyjąć może i przyjmuje. We Francyi, rodzaj tego uroku, jaki rozum wywiera, napęcza nas uszanowaniem dla ludzi samodzielnie myślących, ale wszelkie idee są niczem tam, gdzie woli silnej potrzeba. Wreszcie, administracja nie polega na tém, by narzucać masom myśli lub metody mniej lub więcej słuszne, lecz ma na celu nadanie złym lub dobrym skłonnościom tych-że mas takiego kierunku, który-by był dla dobra społecznego korzystnym. Jeżeli przesady lub zwyczaje jakiegóś okolicy prowadzą złą drogą, mieszkańcy sami z siebie błędy swoje porzucają. Każdy błąd w ekonomii wiejskiej, politycznej lub domowej spowodowywa straty, do naprawy i usunięcia których własny interes najsilniejszym jest bodźcem. Tutaj na szczęście zupełną *tabula rasa* znalazłem. Ziemia była dobra, z łatwością przyszło mi ją użyźnić; rolnictwo, jako tu dawniej wcale nie istniejące, nie mogło mieć tém samém

żadnej tradycji; nie potrzebowałem więc walczyć z żadnymi uprzedzeniami i bez oporu zaprowadziłem płodozmian, sztuczne łąki i uprawę kartofli. W interesie kołodzieja było zachwalać moje pługi, by je tćm łatwiej mógł sprzedawać, miałem więc w nim sprzymierzeńca. Tak w tćm jak i we wszystkim dążyłem do tego, by powiązać interesa jednostek z interesami ogółu. Następnie, od produkcji bezpośrednio dla moich biedaków potrzebnej, przeszedłem do innych, które-by na wzrost ich dobrobytu wpływały. Nie sprowadzałem nic z zewnątrz; przeciwnie wspierałem nawet przemysł wywozowy, mogący ich wzbogacić, a którego korzyści wprćdce ocenić się dały. Ludzie ci przez czyny swoje byli memi apostołami, nie domyślając się tego. Teraz, jeszcze wzglćd jeden. Jesteśmy zaledwie o pięć mil od Grenoble, a blizkie sąsiedztwo miast wielkich tysiące dróg dla produkcji otwiera. Nie wszystkie gminy mogą się tak szczęśliwćm położeniem pochlubić. W każdym przedsięwzięciu tego rodzaju trzeba wziąć pod uwagę charakter miejscowości, jej położenie, środki, któremi rozporządzać może, trzeba zbadać grunt ludzi i rzeczy, a nie chcić winogrodu sadzić w Normandji. Tak tedy, nie masz nic bardziej zmiennego jak administracja; zasady ogólne nie istnieją dla niej prawie. Prawo jest stałe; ale inaczej rzecz się ma z ziemią, obyczajami i pojęciami; administracja zatćm polega na zastosowywaniu praw bez pogwałcenia interesów danego kraju; wszystko więc w niej miejscowe. Z drugiej strony góry, u stóp której leży opustoszała wioska, nie podobna posługiwać się w uprawie roli — kołowami pługami; grunt tam nie dość głćboki; gdyby mer tćj gminy chciał nas naśladować, zrujnowałby ze szczęćem swoich podwładnych; poradziłem mu zaprowadzenie winnic, jakoż w przeszłym roku mieli znakomite zbiory i teraz prowadzą z nami handel zamienny wina na zboże. Co mi także wiele pomagało do oddziaływania na tych ludzi, to ciągle z nimi stosunki. Leczyłem moich wieśniaków z ich chorób, tak łatwych do wyleczenia, bo w istocie cała kuracja na tćm polega, by im posilnymi pokarmami siły przywrócić. Już przez oszczędność, już z niedostatku, wieśniacy tak się źle żywią, że z tego chorują; wogóle zaś zdrowi są dosyć. Obrawszy sobie za cel to życie cichego poświęcenia, wahałem się długo, czy mam zostać proboszczem, lekarzem wiejskim, lub sędzią pokoju. Nie bez przyczyny—to, panie kochany, łączy się przysłowiowo te trzy czarne szaty: ksićdza, prawnika i lekarza. Jeden opatruje rany duszy, drugi rany kieszeni, trzeci rany ciała. Przedstawiają oni trzy najważniejsze podstawy społeczeństwa: sumienie, majątek i zdrowie. Niegdyś pierwszy, następnie drugi stał na czele rządów. Nasi praojcie mniemali, i słusznie poniekąd, że ksićdz, ten władca dusz, powinien być i w innych wzglćdach zwierzchnikiem; to tćż był on królem, kapłanem i sędzią; ale wtedy wszystko się działo przez wiarę i sumienie. Dziś zmienił się stan rzeczy; bierzmy go więc, jakim jest. Co do mnie sćdzę, że postćp cywilizacji i dobrobyt społeczeństwa od tych trzech ludzi zależy; oni bezpośrednio dają uczuć narodom wpływy faktów, interesów i zasad, tych trzech wielkich skutków trzech równie wielkich przyczyn: wypadków, własności i idei. Czas idzie wciąż naprzód, prowadząc za sobą zmiany; własności zmieniają się, lub powiększają; do tych mutacji wszystko stosować należy; tćm się warunkuje porządek społeczny. By się kraj jakiś ucywilizował, przemysł rozwićlmożnił, produkcja ożywiła, potrzeba, aby masy zrozumiały, w czćm ich interes osobisty zgadza się z interesami narodowymi. Tć więc trzy powołania, tak bezpośrednio najważniejszych czynników życia ludzkiego dotyczące, wydają mi się tćż i najpotćężniejszymi dźwigniami cywilizacji; oni tylko mogą dostarczyć człowiekowi dobrej woli skutecznych sposobów do polepszenia losu klas niższych, z którymi w ciągłćm są zetknięciu. Ale wieśniak chćtniej słucha tego, kto mu przepisuje receptę na uzdrowienie ciała, niż ksićdza, który z nim o zbawieniu duszy rozprawia; tamten może mu mówić o jego karmicielce ziemi, tego obowiązkiem jest przypominać mu ciągle niebo, o które na nieszczęście niewiele on się troszczy; na nieszczęście, mówię, bo wiara w życie przyszłe jest nie tylko pociechą, ale i środkiem oddziaływania na tłumy. Religia — to jedyna moc, która prawa społeczne uświęcić i potwierdzić może. Na miejsce religii rząd zmuszony był postawić terrorizm, by prawa swoje wykonalnymi uczynić, ale była to bojaźń ludzka i przeszła jak wszystko, co ludzkie. Widzisz pan, gdy chłop jest chory, przykuty do swego tapczana, wtedy musi słuchać, gdy mu się coś chce przelożyć, a jeżeli przelożenia są jasne, to je i zrozumieć potrafi. Ten ostatni wzglćd zrobił mnie lekarzem. W postćpowaniu z moimi wieśniakami byłem bardzo obrachowany i konsekwentny; dawałem im tylko takie rady, których skutków byłem pewny, które skłoniłyby ich do uznania słuszności moich poglćdów. Z ludem potrzeba być zawsze nie-

omylnym. Nieomylność stworzyła Napoleona; byłaby z niego zrobiła bożka, gdyby świat jego upadku pod Waterloo nie widział. Jeżeli Mahomet zdołał utworzyć religią i zdobyć trzecią część ziemi, to dlatego, że oko ludzkie na śmierć jego nie patrzyło. Jedne i też same zasady są dla zdobywcy jak i dla mera wiejskiego; naród i gmina nie różnią się między sobą. Masy wszędzie jednakie. Wreszcie, w stosunkach z memi podwładnymi byłem zawsze bardzo ścisły i nieugięty. Gdyby nie to, wszyscy drwiliby sobie ze mnie. Chłopi, tak samo jak ludzie światowi, lekceważą sobie tego, kogo mogą oszukać. Dać się wywieść w pole — to dowód słabości; siłą tylko rządzić można. Nigdy za moje lekarskie starania grosza od chorych nie biorę, chyba że są widocznie bogaci; ale pomimo to, dbam o to, by umieli ocenić to, co dla nich robię. Lekarstw darmo nie daję; wyjątek pod tym względem tylko najbiedniejsi stanowią. Tak tedy, moi wieśniacy nie płacą mi, ale wiedzą, że mają względem mnie jakieś zobowiązania, i starają się wywiązać z nich przynosząc mi czasem owsa dla koni lub zboża, gdy jest tanie. Ale gdyby mi młynarz tylko węgorze za moje trudy ofiarował, powiedziałbym mu, że i tego zawiele; a grzeczność ta nie jest bezowocna; w tym roku będę mieć od niego kilka worków mąki dla biednych. Tak, mój drogi panie, ludzie ci mają serce, gdy go się w nich nie zagłuszy. Dziś więcej myślę o dobrém, a mniej o złém jak dawniej.

— Ale ileż pracy i trudu wszystko to pana kosztować musiało! — rzekł Genestas.

— Mnie? bynajmniej — odparł Benassis. — Taż sama ilość czasu zużywa się na powiedzenie czegoś pożytecznego, co i głupstwa. Gawędząc, śmiejąc się, chodząc, rzucałem wpośród nich iskry światła. Z początku słuchać mnie nie chcieli; usuwali się ode mnie ze wstrętem. Byłem z miasta, a dla wieśniaka mieszczanin a nieprzyjaciel — to jedno. Walka ta bawiła mnie. Między czynieniem dobrze, a czynieniem źle jest tylko jedna różnica — czyste i brudne sumienie, trudy zaś jednakowe. Gdyby zbrodniarz chciał żyć uczciwie, zamiast stryczka dorobiłby się majątku.

— Proszę pana — zawołała wchodząc Jacenta — obiad stygnie!

— Chwilkę jeszcze — rzekł Genestas, kładąc rękę na ramieniu lekarza. — Chciałbym panu tylko jedną zrobić uwagę. Nie czytałem nic o wojnach Mahometa, nie mogę więc sądzić jego militarnych zdolności; ale gdybyś pan był widział cesarza, dowodzącego podczas kampanii francuskiej, byłbyś go wziął za bożka z pewnością. Jeżeli upadł pod Waterloo, to dlatego, że był więcej jak człowiekiem, zanadto ciężył ziemi i ta się pod nim ugięła. Ot, co jest! Zresztą, we wszystkiém zdanie pańskie najzupełniej podzielał i do stu kartaczów! ta, co pana urodziła, nie zmarnowała czasu.

— No, no — zawołał uśmiechając się Benassis. — Chodźmy do stołu.

Jadalny pokój był całkowicie drzewem wyłożony i pomalowany naszaro. Umieblowanie składało się z kilku krzeseł wyplatanych, kredensu, szaf i słynnego zegara nieboszczyka proboszcza. U okien białe wisiały firanki. Stół nakryty był czysto, świeżo, ale bez żadnego zbytku, naczynia na nim fajansowe. Na zupę dano rosół, najposilniejszy, najbardziej esencjonalny jaki *kiedykolwiek, jakakolwiek* zgotowała kucharka. Za ledwie lekarz i Genestas jeść go zaczęli, gdy jakiś człowiek wszedł hałaśliwie do kuchni i mimo oporu Jacenty do jadalnego pokoju wtargnął.

— No, i cóż tam takiego? — zapytał Benassis.

— A to proszę pana, nasza jójmość pani Vigneau tak zbladła, ale to przecież tak zbladła, żeśmy się wszyscy poprzelękali.

— Ha! — zawołał wesoło Benassis — trzeba tam iść.

I wstał od obiadu. Pomimo jego nalegań, Genestas rzucił serwetę i, zakławszy po wojskowemu, oświadczył, że bez gospodarza swego obiadu jeść nie będzie; jakoż wrócił do salonu i tam grzejąc się przy ogniu rozmyślał nad przykrościami, od jakich żaden stan na tym świecie, żadne powołanie wolném nie jest. Benassis wrócił wkrótce i obaj napowrót do stołu zasiedli.

— Taboureau był tutaj i chciał się z panem widzieć — rzekła Jacenta przynosząc gorące półmiski.

— Któż tam jest chory u niego? — zapytał lekarz.

— Nikt, proszę pana; mówił, że chce się pana o coś poradzić i wróci niezadługo.

— To dobrze — odparł Benassis, a zwracając się do Genestasa, dodał: — Ten Taboureau to w moich oczach cały traktat filozoficzny, przypatrz mu się, patrz uważnie, gdy tu będzie, to cię zabawi. Kiedyś, byłto sobie uczciwy najemnik, oszczędny i pracowity.

Ale jak tylko się trochę grosza dorobił, zaraz mu się w umyśle rozwidniło; ruch przemysłowy, jaki rozbudzałem w kantonie, ogarnął i jego, chciał się, korzystając zeń, wzbogacić. W ciągu ośmiu lat zebrał już duży majątek, to jest duży, jak na tę okolicę. Może mieć teraz około czterdziestu tysięcy franków. Ale, mógłbyś pan tysiąc razy zgadywać! a jeszczebyś się nie domyślił, jakim sposobem doszedł do takiej fortunki. Taboureau jest lichwiarzem, ale to lichwiarzem do szpiku kości, a lichwa jego tak dobrze jest obmyślona i na interesach tutejszych mieszkańców oparta, że traciłbym tylko czas, gdybym chciał ich wywodzić z błędu i przekonywać, że zamiast korzystać tracą na stosunku z Taboureau'm. Wyobraź pan sobie, jak tylko zaczęto się krzątać około uprawy roli, ten nicpoń wpadł na pomysł skupowania w okolicy ziarna potrzebnego dla tych biedaków do siewu. Tu, jak wszędzie, chłopci, a nawet niektórzy fermerzy nie mieli pieniędzy na kupowanie nasienia. Więc, imci pan Taboureau pożyczał jednym worek jęczmienia, za co mu po żniwach worek żyta oddawali, innym dawał korzec zboża za worek mąki. Dziś prowadzi ten szczególniejszy handel z całym departamentem. Jeżeli go nic w drodze nie zatrzyma, dojdzie z pewnością do miliona. Ale cóż! Taboureau jako wyrobnik był poczciwy, usłużny, chętny do rady i pomocy; w miarę rosnących zysków stał się chciwy, pogardliwy i drwiący ze wszystkiego i wszystkich. Im jest bogatszy, tém się bardziej psuje. Gdy tylko chłop przechodzi z użycia pracowitego do łatwej egzystencji i większej ziemskiej posiadłości, staje się nieznośnym. Istnieje pewna klasa ludzi, na pół cnotliwych, na pół występnych, w pół oświeconych, w pół ciemnych, która zawsze będzie plagą wszystkich rządów. Poznasz pan mniej więcej ducha tej klasy w Taboureau'cie, człowieku prostym na pozór, ograniczonym nawet, ale który, jak tylko o jego interes chodzi, staje się głębokim i przebiegłym.

Odgłos ciężkiego stąpania oznajmił przybycie wiejskiego spekulanta.

— Wejdz, Taboureau! — zawołał Benassis.

Komendant, uprzedzony w ten sposób przez lekarza, zwrócił baczne na przybysza spojrzenie i ujrzał w nim chudego, zgarbionego człowieka o wypukłym, bardzo pomarszczonym czole. Twarz jego zapadła wyglądała jakby prześwidrowana przez parę szarych, bystrych oczek. Usta miał zacisnięte, a ostro zakończone, broda jego dążyła do połączenia się z nosem ironicznie zagiętym. Głębokie brózdki, przecinające jego wystające policzki, zdradzały życie koczownicze i faktorską przebiegłość. Miał na sobie surdut niebieski, dość czysty, z buchastemi na biodrach kieszeniami, którego rozpięte poły ukazywały białą w kwiatki kamizelkę. Taboureau stanął niedaleko drzwi i oparł się na lasce, potężną zakończonej galką. Pomimo oporu Jacenty, mały bonoński piesek wszedł za nim i u nóg się jego położył.

— No, i cóż tam? — zagadnął Benassis.

Taboureau niedowierzająco popatrzył na siedzącego przy stole Genestasa i odparł:

— Nie o chorobę tu chodzi, panie merze; ale pan równie dobrze umie leczyć kieszeń jak ciało; przyszedłem więc poradzić się pana w sprawie, jaką mam z jednym-tam z Saint-Laurent.

— Dlaczegoż nie idziesz z tém do pana sędziego pokoju, lub pisarza?

— E! bo pan lepiej się na tych rzeczach zna, i będę pewniejszym mojej sprawy, gdy się dowiem, co pan o niej trzyma.

— Mój kochany Taboureau, ja zawsze chętnie udzielam darmo porady lekarskiej; ale nie mogę bezinteresownie zaprzętać się procesem tak bogatego, jak ty człowieka. Nauka drogo kosztuje, nim się ją nabędzie.

Taboureau zaczął miętosić w rękach kapelusza.

— Jeżeli chcesz mojej rady zasięgnąć, to w zamian za to, że cię ona uchroni od wydania pieniędzy na prawników w Grenobli, pošlesz worek żyta Marcinowej, która dzieci ze szpitala wychowuje.

— Ha! toć zrobię to z dobrego serca, jeżeli pan tak uważa. Ale, czy to tego pana nie znudzi, gdy będę opowiadał? — dodał wskazując Genestasa.

Lekarz skinął głową na znak, by mówił, i Taboureau tak ciągnął dalej:

— Otóż, proszę pana, przyszedł do mnie, jest temu ze dwa miesiące, jeden z Saint-Laurent i powiada; — „Taboureau, czybyś ty mi nie sprzedał stu trzydziestu siedmiu korcy zboża?” a ja na to: — Czemu-by nie, toć moje rzemiosło. Zaraz wam potrzeba? „Nie — powiada — z wiosną; na marzec. Dobrze. Dalej więc, targujemy się, przepijamy na

zgodę i staje między nami, że on mi zapłaci za jęczmień po takiej cenie, po jakiej płacono na ostatnim targu w Grenobli, a ja mu w marcu dostawię. Ale cóż się dzieje? Jęczmień idzie w górę, coraz więcej, coraz więcej, mnie tu potrzeba pieniędzy, więc sprzedaję go, niewiele co myśląc. Rzecz prosta, wszak prawda, panie merze?

— Nie — odparł Benassis. — Ten jęczmień już do ciebie nie należał, miałeś go jako depozyt u siebie. A gdyby ceny, zamiast podnieść się, spadły? to cóż wtedy? zmusiłbyś pewnie twego kupca, by ci tak zapłacił, jak-eście się umówili?

— Ale, proszę pana, on-by mi może wcale nie był zapłacił. Kto go wie! Co na placu, to nieprzyjaciel. Kupiec powinien korzystać z zysku, gdy mu się ten nadarzy. A przytém, towar dopiero wtedy do nas należy, gdy go zapłacimy? nieprawdaż, panie oficerze? bo widać, że jegomość wojskowo służy.

— Taboureau — rzekł poważnie Benassis — zobaczysz, że kiedyś nieszczęście cię spotka. Wcześniej czy później Bóg karze niedobre uczynki. Jak-to! żeby człowiek taki zdolny, taki rozsądny, jak ty, tak zawsze dobrze swoje interesa prowadzący, dawał kantonowi przykład nieuczciwości? Jeżeli będziesz się wdawał w podobne procesa, jak możesz spodziewać się, że inni biedniejsi okażą się względem ciebie sumiennymi i kraść cię nie będą? Twój robotnicy zaczną cię oszukiwać i wszyscy się tutaj zepsują. Nie, nie masz racji. Twój jęczmień był już sprzedany. Gdyby go ten z Saint-Laurent wziął był zaraz do siebie, nie byłbyś go od niego odbierał; rozporządził się więc rzeczą, która już twoją nazwać się, według waszego układu, nie mogła. Ale mów dalej.

Genestas rzucił lekarzowi porozumiewawcze spojrzenie, by zwrócić jego uwagę na nieruchomość Taboureau'a. Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy lichwiarza, podczas całej tej przemowy; czoło pokryło się rumieńcem, oczy nie zmieniły spokojnego wyrazu.

— To tedy, proszę pana, miałbym mu dostarczyć jęczmień po cenie zimowej? Mnie się zdaje, że nie powinienem tego robić.

— Słuchaj, Taboureau, oddaj mi jęczmień jak najprędzej, albo nie licz już więcej na szacunek ludzi. Wygrywając nawet uchodziłbyś za człowieka bez czci, bez wiary, bez uczciwości...

— Niech się pan mer nie żenuje, niech mnie nazwie łotrem, złodziejem, oszustem. W interesach to się mówi takie rzeczy, bez niczyjjej obrazy. W interesach, widzi pan, każdy za sobą trzyma.

— Czemuż więc narażasz się na zasługiwanie na podobne przezwiska?

— Ale, jeżeli mam prawo za sobą?

— Nie będziesz miał go w tym razie.

— Czy pan tego pewny, panie merze? ale to tak zupełnie pewny? bo to ważna sprawa.

— Ma się rozumieć, że jestem pewny. Gdybym nie był przy obiedzie, pokazałbym ci kodeks. Jeżeli zaczniesz proces, przegrasz go i noga twoja więcej już tego progu nie przestąpi; nie chcę przyjmować u siebie ludzi, którzy na mój szacunek nie zasługują. Czy słyszysz? przegrasz proces.

— Ej! nie! panie merze, nie przegram go — odparł Taboureau. — Widzi pan, to ten z Saint-Laurent winien mi jęczmień, to ja go od niego kupiłem, a on mi teraz dostawić nie chce. Chciałem być zupełnie pewnym, że wygram, zanim-bym się na koszt narażał.

Genestas i lekarz spojrzeli po sobie, ukrywając zdziwienie, jakie w nich ten dowcipnie obmyślony sposób dowiedzenia się rzetelnej prawdy wywołał.

— No, mój Taboureau, twój kupiec jest nieuczciwym człowiekiem. Nie trzeba wdawać się w interesa z podobnymi ludźmi.

— A! proszę pana, znają się oni na nich.

— Do widzenia, Taboureau!

— Upadam do nóg pańskich i pana oficera.

— Jakże pan sądziś — rzekł Benassis po wyjściu lichwiarza — czy ten człowiek nie stałby się wkrótce milionerem w Paryżu?

Po skończonym obiedzie lekarz i Genestas przeszli do salonu i tam przez resztę wieczora gawędzili o wojnie, polityce, w której to rozmowie Genestas objawiał się z najżywszą dla Anglików nienawiścią.

— Mogęż wiedzieć — zapytał lekarz — kogo mam zaszczyt w moim domu przyjmować?

— Nazywam się Piotr Bluteau — odparł Genestas — a jestem kapitanem w Grenobli.

— Bardzo mi przyjemnie. A teraz, czy pan zechcesz pójść za przykładem pana Gravier, który codziennie rano, po śniadaniu towarzyszył mi w moich wycieczkach po okolicy? Prawdopodobnie zajęcia moje jako tak pospolite nie przypadną panu do smaku. Przytém nie jesteś pan ani merem, ani właścicielem ziemskim, i w moim kantonie nie zobaczysz nic takiego, czego byś w innych nie widział, wszystkie chaty są do siebie podobne; ale z drugiej strony odetchniesz pan świeżem powietrzem i nadasz jakiś cel przechadzce.

— Z największą ochotą przyjmuję ten projekt. Nie śmiałem go poddać, bojąc się być panu natrętnym.

Po tój rozmowie Benassis zaprowadził gościa, którego pomimo nadanego sobie z umysłu pseudonimu, zawsze Genestasem nazywać będziemy, do przygotowanego dlań na piętrze po nad salonem pokoju.

— No — rzekł Benassis — Jacenta napaliła panu w piecu. To dobrze. Jeżeli czego brakować będzie, sznurek od dzwonka wisi tu w głowach łóżka.

— Nie sądzę, aby mi czegokolwiek zabraknąć mogło — zawołał Genestas. — Ba! nawet i róg do butów tu leży. Trzeba być starym szeregowcem, by wartość tego sprzętu należycie ocenić. Na wojnie, panie łaskawy, przewróciłoby się nieraz o niego cały dom do góry nogami. Zdarza się po kilku marszach, a zwłaszcza po utarczce, że noga spuchnie w wilgotném obuwiu i ani rusz. To tóż często sypiałem w butach. Gdy się jest samym, to jakoś jeszcze pół biedy.

Komendant, mówiąc to, mrugnął oczami, by nadać wyrazom swym jakies dwuznaczne znaczenie, poczem rozejrzał się nie bez zdziwienia po pokoju urządzonym wygodnie, czysto, bogato prawie.

— Co za zbytek! — wymówił — musisz pan mieszkać wspaniale.

— Pójdź pan zobaczyć — rzekł doktor. — Jestem pana sąsiadem. Schody nas tylko dzielą.

Genestas zdumiał się, gdy wszedłszy do pokoju lekarza, zobaczył ściany nagie, żółtawym w brunatne róże papierem pokryte, którego barwa w wielu miejscach już wybladła była. Łóżko żelazne, z gruba pokostowane, wyglądało jak szpitalne. U stóp jego rozścielał się wązki, lichy dywanik, a w górze sterczała drewniana strzała, z której spadały firanki z popielatego perkalu. W głowach stał nocny stolicek o czterech nogach. Prócz tego trzy krzesła, dwa fotele słomą wyplatane i umywalnia z miednicą i dzbankiem do wody bardzo starożytnym stanowiły całe umeblowanie. Kominek był zimny, a na jego gzymsie walały się przyrządy do golenia rozrzucone pod lustrem, na kawałku sznurka zawieszonem. Okna ozdabiała firanki z szarego perkalu z zielonemi frendzlami. Wszystko w tym pokoju, którego nadzwyczajną prostotę krasila wzorowa czystość przez Jacentę utrzymywana, wszystko tam aż do okrągłego stołu zarzuconego papierami świadczyło o życiu prawie mniszém, obojętném na rzeczy światowe, a pełném uczuć i poświęcenia. Przez otwarte drzwi widać było drugi pokój, w którym lekarz zapewne rzadko bardzo przebywał. Był-to jakby gabinet, równie lichy jak sypialnia. Zakurzone książki leżały na zakurzonej podłodze, a stojące na półkach flaszki z etykietami znamionowały, że farmaceutyka więcéj tam miejsca niż nauka zajmowała.

— Zapytasz mnie pan może, dlaczego ta różnica między moim pokojem a twoim? — ozwał się Benassis. — Powiem panu, iż zawsze wstyd mi było za tych, co swoich gości mieszczą pod strychem i dają im lustra, w których przeglądający się widzi się mniejszym lub większym, aniżeli jest w istocie, i ma taką cerę, jakby chorował na żółtaczkę, lub tknięty był apopleksją. A przecież należy się starać, by, podejmując u siebie swoich przyjaciół, uczynić im to czasowe mieszkanie o ile można najmilszém. Gościnność podług mnie jest zarazem cnotą, szczęściem i zbytkiem i wszystkie przyjemności, wszystkie wygody życia powinny być w niej uwzględnione. Dlatego tóż dla pana są piękne meble, miękkie dywan, obicia, kotary, zegar, świeczniki i lampka nocna, dla pana usługa Jacenty, która tam już panu pewnie nowe pantofle, mleko i swoją szkandelę przyniosła. Tuszę sobie, że pan nigdzie wygodniejszego siedzenia nie znajdziesz jak w fotelu nieboszczyka proboszcza, który ten szacowny sprzęt nie wiem gdzie wynalazł, ale to prawda, że we wszystkiém, chcąc znaleźć wzór piękna, dobra i wygody, trzeba tego w *kościelach* poszukać. Ostatecznie, jestem pewny, że pokój pana będzie mu się podobał. Znajdziesz pan tam doskonale brytwy, wyborne mydło i wszystkie drobnostki, które tak życie umilają. Zresztą, kochany panie Bluteau, gdyby już moje pojęcia o gościnności nie tłómaczyły dostatecznie

różnicy między urządzeniem mego a twego pokoju, to sędzę, że przyczyna tego zaniedbania u mnie stanie ci się aż nadto jasną, gdy zobaczysz jutro rano, ile tu ludzi bezustanku wchodzi i wychodzi. Ja jestem prawie ciągle za domem, a gdy wracam, zjawiają się chłopci moi, do których ciałem, duszą i wszystkiem, co mam, należę. Mogę więc w takim stanie rzeczy dbać o elegancję i sprowadzać sobie kłopoty z naprawianiem szkód, jakie-by mi ci poczciwcy mimowolnie na każdym kroku zrobili. Zresztą przychodzę tu tylko spać, a pan nie wiesz, jak mi tu wszystko na tym świecie jest obojętnem.

Powiedzieli sobie dobranoc, uściskawszy się serdecznie za ręce, i rozeszli się na spoczynek. Komendant długo zasnąć nie mógł, zastanawiając się nad tym człowiekiem, który z każdą chwilą rósł w jego wyobrażeniu.

ROZDZIAŁ II. PRZEZ POLA

Nazajutrz Genestas, dbały jak każdy jeździec o swego wierzchowca, udał się zaraz z rana do stajni i ta staranność, z jaką Mikołaj konia jego wyczyścił, zadowolniła go bardzo.

— Już-to na nogach, komendancie Bluteau? — zawołał Benassis wychodząc na spotkanie gościa. — Otóż to znać prawdziwego wojaka, który wszędzie, nawet na wsi słyszeć musi pobudkę.

— Jakże się pan dziś miewa? dobrze? — zapytał Genestas podając mu po przyjacielsku rękę.

— Nigdy się zupełnie dobrze nie miewam — odparł Benassis nawpół wesoło, wpół smutno.

— Pan dobrze spał? — zagadnęła Jacenta komendanta.

— Do licha, moja piękna, posłałaś mi łóżko, jak dla panny młodej.

Jacenta uśmiechając się poszła za swoim panem i Genestaszem, a gdy obaj do stołu usiedli, szepnęła Mikołajowi:

— Bądź-co-bądź, to niezły człowiek z tego pana oficera.

— Spodziewam się; dał mi już czterdzieści soldów.

— Zaczniemy od odwiedzenia dwóch umarłych — rzekł Benassis do swego towarzysza wychodząc z nim z jadalnego pokoju. — Chociaż to doktorzy rzadko kiedy chcą się wobec swych jakoby ofiar znajdować, a jednak zaprowadzę pana do dwóch domów, gdzie będziesz mógł dość ciekawe spostrzeżenia nad naturą ludzką porobić. Zobaczysz pan tam dwa obrazy, które panu pokażą, jak dalece mieszkańcy gór różnią się od mieszkańców dolin w objawach uczuć swoich. W części wyższej naszego kantonu przechowały się piętnem starożytności nacechowane obyczaje, przypominające niejako sceny biblijne. Wśród gór naszych istnieje jakaś ręką natury nakreślona niewidzialna linia, po-za którą wszystko inaczej się przedstawia. Na wyżynach siła, w dolinach zręczność, tam uczucia pełne, głębokie, tu bezustanna pamięć na materialne sprawy życia. Z wyjątkiem doliny Ajou, której północna część zaludniona jest idiotami, a południowa ludźmi umysłowo rozwiniętymi, w której te dwie ludności, przedzielone tylko strumieniem, różnią się między sobą we wszystkiem: w obyczajach, zajęciach, powierzchowności, nawet w chodzie i postawie; — nigdzie tak wybitnego jak tutaj rozgraniczenia nie widziałem. Fakt ten powinienby skłonić władze państwowe do głębokich studyów miejscowych przy zastosowaniu praw do tych-że miejscowości. Ale konie gotowe, ruszajmy!

Obaj jeźdźcy stanęli wkrótce przed domem położonym w tej stronie miasteczka, która się ku góróm la Grande-Chartreuse zwraca. Dom-to był dość porządny, a u drzwi jego stała na dwóch krzesłach trumna, czarnem suknem pokryta, około której płonęły cztery gromnice. Tuż na stołku była miska ołowiana z wodą święconą i umoczoną w niej bukszpanową galką. Każdy przechodzień wstępował na podwórze, klękał przy ciele i zmówiwszy Ojcie Nasz kropił je wodą święconą. Po nad trumną wznosiły się zielone pęki jaśminu przy murze rosnącego, a wyżej jeszcze splątane gałęzie rozwiniętego już winogrodu. Młoda dziewczyna zamiatła podwórze, czyniąc w tém zadość tej nieokreślonej potrzebie ochędóztwa i przystrojenia, którą nakazuje każdy obrzęd, nawet najsmutniejszy ze wszystkich. Najstarszy syn umarłego, dwudziestodwuletni chłopak stał nieruchomie oparty o odźwierek. Oczy miał pełne łez, które przecież nie spadały na policzki, a które może ukradkiem obcierano. W chwili gdy Benassis z Genestaszem wchodzili w podwórze, przywiązawszy wprzód konie do topoli, rosnących przy parkanie, przez który przypatry-

wali się téj scenie, żona nieboszczyka wychodziła z obory w towarzystwie kobiety mającej garnek mleka.

— Odwagi, odwagi, moja dobra Pelletier — mówiła ta ostatnia.

— Ach! moi kochani, gdy się z kim dwadzieścia pięć lat przeżyło, strasznie ciężko rozstawać się przychodzi — odparła wdowa i oczy jęj zwilżyły się łzami. — Cóż, płacicie dwa sous? — dodała po chwilowém milczeniu, wyciągając rękę.

— A! masz tobie, zapomniałam — rzekła tamta podając jęj pieniądze. — No, no, uspokójdź się, sąsiadko. Otóż i pan Benassis.

— Jakże się miewacie, moja matko? — zapytał lekarz.

— Ha, cóż robić, wielmożny panie — odparła z płaczem — trzeba sobie radzić jak można. Poczesa mnie to, że mój już więcej cierpieć nie będzie, a on się tak biedak nacierpiał. Ale niech-że panowie wejdą z łaski swojej! Kubuś! podaj krzesła panom. No, rusz-że się. Choćbyś tu stał sto lat, to ojca nie wskrzesisz. A teraz potrzeba ci będzie za dwóch pracować.

— Zostawcie go w spokoju, matko, nie będziemy siadać. Macie w tym chłopcu wielką pociechę i podporę, on wam męża zastąpi.

— Idź-że się ubrać, Kubuś! — zawołała wdowa. — Niedługo tu przyjdą po ciebie.

— No, bądźcie zdrowi, matko — rzekł Benassis.

— Do usług pańskich.

— Widzisz pan — przemówił lekarz do Genestasa — tutaj, przyjmują śmierć, jak zgóry przewidziany wypadek, który w niczém zwyczajnego biegu życia nie zmienia; żałoby nawet nosić nie będą. Na wsi nikt nie robi tego wydatku już-to z powodu niedostatku, już przez oszczędność. Żałoba zaś, kochany panie, nie jest ani zwyczajem, ani prawem; to coś więcej, to instytucja, która wiąże się ze wszystkimi prawami pochodzącymi z jednego źródła: moralności. Ale cóż! pomimo wszelkich usiłowań moich i pana Janvier'a nie powiodło nam się przekonać naszych wieśniaków, jak dalece ważnymi są objawy zewnętrzne dla utrzymania społecznego porządku. Poczciwi ci ludziska, ledwo co obudzeni z moralnego letargu, nie są jeszcze w stanie powiązać tych wszystkich nici, które ich z ogólném życiem zespolić winny; w nich kielkują dopiero myśli, które rodzi porządek i dobrobyt fizyczny; później, jeżeli kto dalej dzieło moje prowadzić będzie, dojdą do zrozumienia zasad budowę społeczną wspierających. W istocie, nie dość jest być uczciwym człowiekiem, potrzeba się jeszcze takim okazywać. Społeczeństwo nie może żyć samymi tylko pojęciami moralnymi, potrzeba mu jeszcze czynów odpowiednich tym pojęciom. Po większej części w gminach wiejskich, na sto rodzin, którym śmierć głowę domu zabrała, zaledwie kilku członków, żywszém uczuciem obdarzonych, zachowa dłuższe wspomnienie zmarłego; wszyscy inni zapomną o nim w ciągu roku. A zapomnienie to nie jest-że prawdziwą klęską? Religia — to serce ludu; ona wyraża jego uczucia i zwiększa je, kres im naznaczając; ale bez Boga zewnętrznymi objawami czczonego nie masz religii, co znowu prawom ludzkim wszelką odejmuje sprężystość. Sumienie do Boga samego należy, ciało zaś przepisom społecznym podlega; owóż: nie jest-że to związkiem ateizmu takie zacieranie oznak religijnej boleści, nie jest-że potrzebném, aby dzieci, które się jeszcze nie zastanawiają, i ludzie, którzy potrzebują przykładu, uczyli się posłuszeństwa prawom przez jawne poddanie się wyrokom Opatrzności, która doświadcza i pociesza, daje i odbiera dobra tego świata. Przyznam się panu, iż, przebywszy fazę niedowiarstwa, tutaj dopiero pojąłem doniosłość obrzędów religijnych, ważność zwyczajów domowego ogniska. Rodzina będzie zawsze podstawą społeczeństwa. Tam gdzie poczyna się działanie władzy i praw, tam przynajmniej posłuszeństwo powinno być obowiązującym. Jednak patrząc na to, jak się dzieje; dochodzi się do wniosku, że dwie te zasady: wpływu rodzinnego i władzy ojcowskiej zamało jeszcze rozwinięte są w naszym nowym prawodawczym systemacie. A przecież z czegoż się cały kraj nasz składa? z rodzin, gmin i departamentów. To téż prawa winny się na tych trzech wielkich oddziałach ugruntować. Podług mnie, nigdy zbyt wielką pompą i wystawnością nie można uczcić narodzin, ślubu i śmierci. Cóż dało taką siłę katolicyzmowi? co go tak głęboko w obyczaje wkorzeniło, jeżeli nie ta świetność, z jaką okazuje się w ważnych wypadkach życia, i otacza ją jakimś dziwnie wielkim, wruszającym urokiem, jeśli tylko kapłan umie stanąć na wysokości swego posłannictwa, i sprawowany przez siebie obrządek dostroić do szczytnej idei chrześcijaństwa. Niegdyś uważałem religię katolicką za zbiór przesądów i zabobonów zręcznie

wyzyskiwanych, z pod których rozumne społeczeństwo wyzwolić się powinno; tutaj zrozumiałem jej potęgę, już przez samą doniosłość słowa, które ją wyraża. Religia znaczący związek i niewątpliwie ona jedna jest w stanie połączyć z sobą różne warstwy społeczeństwa i stała mu formą nadać. Tutaj wcześniej zakosztowałem balsamu, jakim religia rany życia leczy, i uczulem, bez roztrząsań żadnych, że stosuje się cudownie do namiętnych obyczajów południowych narodów.

— Jedź pan tą drogą — rzekł lekarz przerywając sobie — musimy się na wzgórze dostać, bo chcę pana cudnym widokiem uraczyć. Wzniesieni około trzy tysiące stóp po nad morze Śródziemne, ujrzymy ztamtąd Sabaudyę i Delfinat, góry Lyonais'u i Rodan. Będziem już na terytorium innej gminy, gminy górskiej, gdzie w jednej z ferm pana Gravier'a zobaczysz pan to, o czém ci mówiłem: tę pełną prostoty okazałość będącą zniszczeniem moich zapatrywań się na ważne wypadki życia. W gminie tej żaloba nosi się z religijnym poszanowaniem. Biedni zbierają składki na kupienie sobie czarnych ubrań i w tym wypadku nikt im datku nie odmawia. Nie ma prawie dnia, w którym-by wdowa, zawsze ze łzami, o stracie swój nie mówiła i w dziesięć lat po śmierci męża wspomina o tém tak rzewnie, jakby go wczoraj zaledwie pochowała. Tam, obyczaje są patryarchalne; władza ojca jest nieograniczoną, słowo jego wyrokiem bez apelacji; jada sam, biorąc pierwsze miejsce za stołem, dzieci i żona usługują mu, otaczający mówią doń z oznakami największego uszanowania, każdy wobec niego stoi z odkrytą głową. Tak wychowani ludzie tamtejsi mają poczucie osobistej godności, są wogóle uczciwi, oszczędni i pracowici. Każdy ojciec rodziny, gdy mu już wiek nie dozwala pracować, dzieli mienie swe porównanie między dzieci i te o nim mają staranie. W ubiegłym wieku pewien dziewięćdziesięcioletni starzec, podzieliwszy majątek między czworo dzieci, po trzy miesiące w roku u każdego z nich przebywał. Gdy się od najstarszego do najmłodszego przenośli, jeden z przyjaciół zapytał go: „I cóż, jesteś zadowolony?” „Ma się rozumieć — odparł starzec — obchodzili się ze mną jak z własnym dzieckiem.” To wyrażenie tak godnym uwagi wydało się oficerowi nazwiskiem Vauvenargues, słynnemu moralisście, stojącemu podówczas z garnizonem w Grenobli, że mówił o tém w kilku paryskich salonach, a pisarz Chamfort piórem je potomności przekazał. Ileż-to nieraz słów jeszcze bardziej znaczących ronił się w rozmowie, ale im na godnych słuchaczach zbywał...

— Widziałem braci morawskich i lollardów w Czechach i Węgrzech — ozwał się Genestas. — Chrześcijanie ci dość są do pańskich górali podobni. Znoszą oni klęski wojenne z anielską cierpliwością.

— Obyczaje proste mniej więcej we wszystkich krajach są jednakowe. Prawda ma tylko jedną postać. Nie ulega wątpliwości, że życie na wsi przytłumia rozwój umysłowy, ale za to osłabia występki i rozwija cnoty. W istocie im mniejsze jest nagromadzenie ludzi w jakiej miejscowości, tém się tam mniej występków i ujemnych namiętności spotyka. Świeże, czyste powietrze wpływa także bardzo na niewinność obyczajów.

W tej chwili jeźdźcy nasi dosięgli płaskowzgórza, o którym mówił Benassis. Okrąża ono cypel bardzo wysoki, ale zupełnie nagi, bez żadnego śladu roślinności, o powierzchni szarej, chropowatej, nieprzystępnej. U stóp jego rozciąga się na przestrzeni stu morgów może żyzna ława gruntu opasana skałami. Ku południowi oko obejmuje ztąd Delfinat, skały Sabaudyi i odległe góry Lyonais'u. W chwili gdy Genestas z Benassisem przypatrywali się temu widokowi, oblanemu jasnym, słonecznym blaskiem, żałosne dźwięki zadrżały w powietrzu.

— Pójdź pan — rzekł Benassis. — Śpiew się zaczyna. Śpiewem nazywają tę część pogrzebowych obrządków.

Wojskowy nasz ujrzał teraz na zachód od cypla góry zabudowania dużej fermy, tworzące regularny kwadrat. Brama jej sklepiona, cała z granitu, miała na sobie piętno dziwnej jakiejś powagi, podniesionej jeszcze starożytnością struktury i otaczających ją drzew sędziwych. Dom mieszkalny stał w głębi podwórza, po obu stronach którego mieściły się stajnie, obory, owczarnie, stodoły, wozownie, z wielkim gnojowiskiem po środku. Podwórze to, tak zawsze ożywione, jak to bywa w bogatych i ludnych fermach, wyglądało teraz posępnie i milcząco. Wszystkie gumna i obory były starannie zamknięte, a głosy stojącego w nich bydła ledwo się ztamtąd stłumione słyszeć dawały. Droga wiodąca do domu czysto umiecioną była. Ten subtelny porządek tam, gdzie zazwyczaj nieład panował, brak

ruchu i cisza, w tak hałaśliwem dawniej miejscu, cień, jaki na całą fermę rzucał strzelający wysoko szczyt góry, wszystko to przyczyniało się do spotęgowania wzruszenia, jakie widok ten w duszy patrzących nań obudzić musiał. To też Genestas, aczkolwiek oswojony z silnymi wrażeniami, zdrzął mimowoli ujrawszy kilkanaście zapłakanych kobiet i mężczyzn stojących rzędem przed drzwiami i powtarzających z pewnymi przerwami ten przerażający jednogłośnie swego brzmienia wykrzyk: — Pan umarł. Ponurym tym dźwiękiem odpowiedziały żalosne jęki z wewnątrz i głos kobiecy dał się słyszeć przez okna.

— Nie śmiem iść pomiędzy tych strapionych — rzekł Genestas.

— Odwiedzam zawsze zasmucone śmiercią rodziny — odparł lekarz — już-to aby zobaczyć, czy się jaki wypadek spowodowany nadmiarem boleści nie zdarzył, już-to dla sprawdzenia zejścia; możesz mi pan towarzyszyć bez skrupułu; zresztą chwila ta jest tak wzniosła i tyle tam znajdziemy osób, że pana nawet nie zauważą.

W istocie, pierwszy pokój, do którego Genestas wszedł za lekarzem, przepelniony był rodziną zmarłego. Minawszy go, stanęli obaj we drzwiach sypialnego pokoju, przytykającego do wielkiej izby będącej zarazem kuchnią i miejscem zgromadzenia się całej rodziny a raczej kolonii, bo po długości stojącego pośrodku stołu miarkować można było, że przy nim około czterdziestu osób zasiadało. Przybycie Benassisa przerwało mowę kobiecie wysokiej, ubranej skromnie, z rozpuszczonymi włosami, i trzymającej wymownym ruchem rękę zmarłego w swęj dłoni. Ten, ubrany w najlepsze suknie, leżał sztywny i zimny na łóżku, którego podniesione firanki ujmowały jak w ramy głowę jego srebrnymi włosami ocienioną i tchnącą niebiańskim spokojem. Po obu stronach łóżka cisnęły się dzieci i najbliżsi krewni obojga małżonków, po lewej rodzina żony, po prawej męża. Wszyscy klęczeli, modląc się i płacząc. Na środku stała otwarta trumna, a przy niej proboszcz i służba kościelna. Gromnice płonęły dokoła. Dziwnie-to był rozdzierający widok tej głowy domu, którą grób miał wnet pochłanać na zawsze.

— O panie mój ukochany — mówiła wdowa jakby do nieboszczyka wskazując ręką na lekarza — skoro usiłowania najlepszego z ludzi uratować cię nie mogły, śnać, że tam w górze napisanem było, byś mnie do grobu wyprzedził. Tak! zimną jest już ta dłoń, która mnie tak czule obejmowała i ścisłała. Straciłam nazawsze ukochanego towarzysza, a dom nasz stracił swego przewodnika; boś ty nim był zawsze. Niestety! wszyscy, którzy cię współ ze mną oplakują, cenili cię i znali zacność twego serca, ale ja jedna tylko wiem, jak byłeś łagodnym i cierpliwym. O mój mężu! mój opiekunie, trzebaż cię więc pożegnać, ciebie, naszą podpórę, naszego dobrego pana! My wszyscy twoje dzieci, boś ty nas wszystkich jednakowo kochał, my wszyscy straciliśmy ojca w tobie!

I wdowa rzuciła się na ciało; objęła je, rozgrzewając pocałunkami i strumieniem łez gorących, a domownicy wykrzyknęli znowu: — Pan umarł!

— Tak! — ponowiła wdowa — umarł ten nasz dobroczyńca, który nas żywił, który siał i zbierał dla nas i czuwał nad szczęściem naszym, przodując nam w życiu z łagodnością i dobrocią. Tak! mogę to teraz na jego pochwałę powiedzieć, że mi nigdy najłżejszego powodu do smutku nie dał, a gdyśmy go męczyli, by mu to cenne zdrowie przywrócić, mówił nam: — Zostawcie mnie w spokoju, moje dzieci, wszystko już napróżno! Mówił to tym samym cichym, dobrotliwym głosem, jakim przed kilku dniami powtarzał: — Wszystko idzie dobrze, moi przyjaciele! Tak! Wielki Boże! kilka dni starczyło, by nam odjąć wesele tego domu i zasępić nasze życie przez śmierć najlepszego, najszanowniejszego z ludzi, który nie miał sobie równego w uprawie roli, który dzień i noc biegał po górach, a za powrotem miał zawsze uśmiech dla żony i dzieci. Och! on był naszym szczęściem, naszą pociechą! Gdy opuszczał dom, ognisko nasze rodzinne smutniało; nie mogliśmy jeść z ochotą. Och! a teraz, cóż będzie, gdy nasz anioł stróż spocznie pod ziemią, my go więcej nigdy nie ujrzemy! Nigdy! moi przyjaciele! nigdy! moi krewniacy! nigdy! moje dzieci! Tak! dzieci moje straciły ojca, rodzina nasza straciła brata, przyjaciele nasi stracili przyjaciela, dom stracił pana, a ja straciłam wszystko.

Wdowa uklękała i przycisnąwszy twarz do ręki zmarłego, zaczęła tę martwą dłoń całować. Domownicy znowu po trzykroć powtórzyli: — Pan umarł. W tej chwili najstarszy syn zbliżył się do matki i szepnął:

— Moja matko! ludzie z Saint-Laurent przyszli, potrzebaby im dać wina.

— Mój synu! — odparła również cicho wdowa innym już zupełnie głosem — weź klucze; jesteś tu odtąd panem i bacz, by doznali tu takiego przyjęcia, jakim go twój ojciec zawsze witał. Niech dla nich żadnej tu zmiany nie będzie.

— O! niech-że ci się raz jeszcze przypatrzę — ozwała się znowu żałośnie. — Niestety! tyś już martwy, a ja cię rozgrzać nie mogę. Ach! nic-by nie chciała, tylko móżdż cię pocieszyć tém zapewnieniem, że póki mi życia stanie, ty zawsze w sercu mém mieszkać będziesz, że będę szczęśliwą wspomnieniem doznanego przy tobie szczęścia, że wspomnienie twoje przetrwa tu do końca. Słuchaj mnie! mężu mój najdroższy! Przysięgam zachować twoje łożo takim, jakim jest teraz. Nigdy do niego bez ciebie nie weszła, niech więc pustém i zimném zostanie. Tracąc cię, tracę zaiste wszystko, co może posiadać kobieta: pana, męża, ojca, przyjaciela, towarzysza! Wszystko!

— Pan umarł! — wołali domownicy.

W téj chwili wdowa podniosła zawieszoną u pasa nożyczki i ucięła sobie włosy, które w rękę męża włożyła. Milczenie nastąpiło głębokie.

— To znaczy, że już za mąż nie pójdzie — szepnął towarzyszowi Benassis. — Wielu krewnych czekało na to postanowienie.

— Weź, panie mój drogi — wymówiła kobieta z przejęciem się, które wszystkich wzruszyło — weź i zabierz do grobu tę wiarę, com ci przysięgła. Tak będziem zawsze złączeni, a ja zostanę pośród twych dzieci, przez miłość dla tego naszego potomstwa, którego widok odmładzał twą duszę. O! gdybyś mógł mnie usłyszeć, mój mężu, mój skarbie jedyny, i dowiedzieć się, że choć umarły pobudzisz mnie jeszcze do życia, które mi będzie potrzebne do spełnienia świętej dla mnie woli twojej i uczczenia twój pamięci.

Benassis dotknął ręki Genestasa, dając mu znak do odwrotu, i wyszli obaj. W pierwszej izbie pełno było ludzi z innej gminy również w górach leżących; stali oni milczący i skupieni, jakby smutek i żaloba nad domem tym goszczące i ich także były owładły. Gdy Benassis z komendantem przestępowali próg, usłyszeli następujące pytanie, które jeden z przybyłych zadał synowi zmarłego:

— Kiedyż więc umarł?

— Ach! — zawołał zagadnięty dwudziestopięcioletni młodzieniec — nie patrzyłem na zgon jego; przyzywał mnie, a mnie nie było. Łkania zatamowały mu głos, po chwili mówił dalej: — W przeddzień powiedział mi: — Chłopcze, pójdiesz do miasta opłacić podatki, z powodu mego pogrzebu nie mieliście czasu o tém pomyśleć i spóźnilibyście się, co się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Ojcu było niby lepiej, poszedłem więc. A on tymczasem umarł nie dawszy mi nawet ostatniego uściśnienia. W ostatniej chwili nie widział mnie przy sobie, mnie, który-m zawsze był przy nim.

— Pan umarł! — wołano.

— Niestety! umarł, a ja ani jego ostatnich spojrzeń ni ostatniego westchnienia nie przyjąłem. I trzebaż mi było myśleć wtedy o podatkach! Nie trzebaż było stracić raczej całe mienie niż z domu się wydalic! Czyż jest co na świecie, co-by mi to stracone, ostatnie pożegnanie opłacić mogło? O nie, mój Boże! Słuchaj Janie, gdy twój ojciec będzie chory, nie odstępuj go na krok, jeżeli sobie nie chcesz wyrzutów na całe życie sprowadzić.

— Mój przyjacielu — rzekł do zrozpaczonego chłopca Genestas. — Widziałem tysiące ludzi umierających na polu bitwy, a śmierć nie czekała, aż ich dzieci przyjdą pożegnać się z niemi; pociesz się więc; nie jednego ciebie to spotkało.

— Ach, panie kochany — odparł zalewając się łzami. — Stracić tak dobrego ojca, który był takim zacnym człowiekiem, to okropne!

— Ta cześć pogrzebowego obrządku trwać będzie, dopóki ciała w trumnę nie złożą — rzekł Benassis do Genestasa, kierując się z nim ku zabudowaniom fermy — a ta szlochająca kobieta przemawiać będzie coraz gwałtowniej, coraz rozpaczniej. Ale aby tak mówić wobec całego zgromadzenia, żona powinna mieć do tego prawo, życiem nieskazitelném nabyte. Jeżeli ma sobie by-najlżejszy błąd do wyrzucenia, musi milczeć, bo inaczej potępiłaby samę siebie; byłaby zarazem oskarżycielem i sędzią. Nie jest-że szczytnym ten zwyczaj oddający jednocześnie pod sąd zmarłego i żyjącego? Żalobę wezmą tu dopiero za tydzień na ogólném zebraniu. Przez ten czas rodzina pozostaje przy wdowie i dzieciach, by im być pociechą i pomocą. Takie wspólne przebywanie z sobą wywiera wielki wpływ na umysły, przytłumia złe namiętności przez to poczucie mimowolnego uszanowania, które wyradza się w ludziach, gdy się jedni wobec drugich znajdują. Wreszcie, w dzień

przywdziania żaloby, odbędzie się uroczysta uczta, po której wszyscy się pożegnają; ktokolwiek uchyliłby się od obowiązków, jakie nań śmierć głowy rodziny nakłada, nie miałby nikogo przy swoim *śpiewie*.

W tej chwili lekarz przechodząc koło obory, otworzył ją i wprowadził komendanta, by mu ją wewnątrz pokazać.

— Widzisz pan — rzekł — wszystkie nasze obory zostały na wzór tej przebudowane. Nieprawdaż, że to wspaniałe?

Genestas z nadzwyczajnym uznaniem rozglądał się po tej obszernej budowlu, w której krowy i woły stały w dwóch rzędach, tyłem do bocznych ścian, a głowami do środka obory zwrócone. Przez żłoby przezroczyste widać było ich rogate głowy i błyszczące oczy. Tym sposobem właściciel mógł łatwo przegład bydła odbywać. Pasza mieściła się w górze pod dachem, gdzie na ten cel urządzono jakby rodzaj pokładu z desek, z kąd ją bez trudu do żłobów zrzucić można było. Pomiedzy dwoma rzędami tych ostatnich była duża przestrzeń wybrukowana, czysta i przeciągiem powietrza ciągle odświeżana.

— Podczas zimy — rzekł Benassis chodząc z komendantem po oborze — podczas zimy wieczorne prace tutaj się odbywają. Wznoszą się stoły i wszyscy mają ciepło tak tanim kosztem. Owczarnie są również podług tego systemu budowane. Nie uwierzysz pan, jak bydłeta wprędce się do porządku przyzwyczajają; podziwiałem to nieraz, gdym je wracające do obór widział. Każde zna swój rząd i przepuszcza to, co ma wejść naprzód, widzisz pan! Pomiedzy ścianą a każdą krową dość jest miejsca, by ją móżdź swobodnie wydoić i wychędożyć, przytém podłoga jest pochylą dla ułatwienia ścieków.

— Z obory tej można sądzić o reszcie — rzekł Genestas — i bez pochlebstwa, piękne pan zbierasz owoce swojej pracy.

— Nie przyszły mi one bez trudu — odparł Benassis. — Ale co to za bydło! nieprawdaż?

— Piękne, nie ma co mówić, słusznie mi je pan tak zachwalałeś — odpowiedział Genestas.

— Teraz — rzekł lekarz, gdy już, dosiadłszy koni, za bramą się znaleźli — będziemy przejeżdżać przez nowe karczowiska i uprawne grunta. Ten zakątek mojej gminy nazwałem Beocą.

Przez godzinę może obaj jeźdźcy błakali się po polach, których doskonała uprawa niejedną pochwałę na usta Genestasa wywołała; poczem zwrócili się znów na górę i jechali na przemiany rozmawiając lub milcząc, stosownie do tego, czy chód koni pozwalał im mówić albo do milczenia zmuszał.

— Wczoraj obiecałem panu pokazać jednego z tych żołnierzy, którzy z armii po upadku Napoleona wrócili — rzekł Benassis, gdy mijali mały wąwóz, który im wejście w obszerną dolinę otworzył. Jeżeli się nie mylę, znajdziemy go o kilka kroków ztąd, bo pracuje tu nad pogłębieniem naturalnego rezerwoaru, w którym zbierają się wody z gór, a który teraz nasypami przepelniony został. Lecz aby pana ten człowiek zajął, trzeba, bym mu historią jego życia opowiedział. Nazywa się Gondrin. Podczas wielkiego poboru w 1792 r. wzięto go do wojska w osiemnastym roku życia. Jako prosty żołnierz odbył kampanie włoskie pod Napoleonem, był z nim w Egipcie, po traktacie amieńskim, powrócił ze wschodu; poczem zaciągnięty w szeregi pontonierów, za czasów cesarstwa służył ciągle w Niemczech, a nakoniec do Rosji z armią pociągnął.

— Tośmy trochę pobratymcy — rzekł Genestas — bo ja też same kampanie odbywałem. Potrzeba było żelaznych organizmów, by wytrzymać wszystkie wybryki rozmaitych klimatów. Doprawdy, Bóg chyba jakimś tajemniczym talizmanem życia obdarzył tych, co się jeszcze po przejściu Włoch, Egiptu, Niemiec, Portugalii i Rosji na nogach trzymają.

— To też zobaczysz pan dobry okaz człowieka — rzekł Benassis. — Znasz pan historią nieszczęsnej kampanii rosyjskiej, nie potrzebuję więc o nią wspominać. Mój Gondrin jest jednym z pontonierów Berezyny; pracował przy budowie mostu, po którym armia przeszła, i dla przymocowania palów wszedł w wodę do połowyciała. Generał Eblé, dowodzący pontonierami, znalazł wśród nich zaledwie czterdziestu dwóch dość *kosmatych*, jak mówi Gondrin, na to, by się takiej roboty podjęli. A jeszcze generał dla zachęcenia ich sam wszedł w wodę, pocieszał, obiecywał każdemu tysiąc franków pensyi i krzyż legii honorowej. Pierwszemu, który wszedł w Berezynę, kra ogromna urwała nogę. Ale ocenisz pan lepij trudności przedsięwzięcia po jego skutkach. Z czterdziestu dwóch pontonierów

został tylko Gondrin. Trzydziestu dziewięciu zginęło w przeprawie przez Berezynę, dwóch zmarło nędźnie w polskich szpitalach. Ten biedak dopiero w 1814 r. powrócił z Wilna po restauracji Burbonów. Generał Eblé, o którym Gondrin bez łez w oczach mówić nie może, już nie żył. Ogłuchły, zniedołężniały pontonier nie umiejący ani czytać, ani pisać, nie mógł więc nigdzie znaleźć opiekuna ni obrońcy. Dowlokłszy się o żebraniu do Paryża, próbował czynić jakieś starania w ministerstwie wojny nie o tysiąc franków pensji, nie o krzyż legii honorowej, ale o skromną emeryturkę, do której dwadzieścia dwa lat służby i nie wiem już ile odbytych kampanij dawały mu prawo, ale nie zwrócono mu nawet ani zaległych żołdów, ani kosztów podróży, nie mówiąc już nic o pensji. Po roku bezowocnych próśb, zabiegów, po daremném wyciąganiu rąk do tych wszystkich, których niegdyś uratował, Gondrin wrócił tu znękany, ale zrezygnowany. Teraz zapomniany ten bohater kopie rowy po dziesięć soldów od sążnia. Przyzwyczajony do pracy w bagnach ma niejako monopol na zajęcie, o któreby się żaden robotnik nie pokusił. Szlamując trzęsawiska, kopiąc rowy po łąkach, zarobić może dziennie około trzech franków. Głuchota nadaje mu pozór smutny; milczący jest z natury, ale dusza w nim mówi. Jesteśmy dobrimi przyjaciółmi i w dniu bitwy pod Austerlitz, imienin cesarza i klęski pod Waterloo Gondrin obiada u mnie i wtedy na deser ofiarowuję mu Napoleona w złocie, by sobie mógł za to wina na jakiś czas kupić! Zresztą cała gmina podziela szacunek, jaki mam dla niego i żywionoby go tu chętnie zadarmo. Jeżeli pracuje, to przez dumę. Gdzie tylko wejdzie, doznaje najlepszego przyjęcia; zapraszają go na obiad. Gdyby te dwudziestofrankówki, jakie mu dają, nie były opatrzone portretem cesarza, nigdy-by ich nie wziął. niesprawiedliwość, jakiej doznał, głęboko go zasmuciła; ale więcej żałuje krzyża legii honorowej niż pensji. Jedna rzecz go pociesza. Gdy po wybudowaniu mostu generał Eblé przedstawił cesarzowi dzielnych pontonierów, Napoleon ucałował biednego Gondrina, który, gdyby nie ten uścisk, byłby już może umarł; a tak żyje jego wspomnieniem i nadzieją powrotu Napoleona; w żaden sposób w śmierć jego uwierzyć nie chce, a przekonany, że to Anglicy go więżą, zabiły, jestem pewien, pod lada pozorem, najlepszego z aldermanów podróżującego dla przyjemności.

— Jedźmy, jedźmy! — zawołał Genestas otrząsając się z głębokiego zajęcia, z jakim słuchał opowiadania lekarza — jedźmy prędko, chcę widzieć tego człowieka.

I obaj jeźdźcy puścili się dobrym kłusem.

— Drugi żołnierz — zaczął znowu Benassis — jest-to jeszcze jeden z tych żelaznych ludzi, jakimi się armie cesarskie szczyły. Żył, jak żyją wszyscy żołnierze francuzcy, naprzemian zwycięstw i ranami, cierpiał wiele i zawsze wełniane tylko epolety nosił. Wesół z usposobienia, kocha do fanatyzmu Napoleona, który mu dał krzyż pod Walontyną. Prawdziwy Delfińczyk, umie chodzić koło własnych interesów, to też ma emeryturę i pensję legionisty. Nazywa się Goguelat, służył w piechocie w 1812 r. Pod pewnym względem jest on niby gospodynią Gondrin'a. Obaj mieszkają razem u wdowy po wędrownym handlarzu, której oddają pieniądze, a pocziwa kobiecina żywi ich, ubiera, opiera i dba o nich jak o własne dzieci. Goguelat jest tu rodzajem chodzącej poczty. Zbiera wszystkie nowiny z kantonu i rozpowiada je na wieczornicach, co mu ustaloną sławą opowiadacza zjednało; to też Gondrin uważa go za coś wyższego. Gdy Goguelat mówi o Napoleonie, jego towarzysz zdaje się z poruszenia ust zgadywać wyrazy. Jeżeli przyjdą dziś na wieczornicę, która się w mojej stodole odbędzie, i jeżeli nam się uda widzieć ich tak, abyśmy sami widziani nie byli, to pana tym zajmującym dosyć obrazkiem uraczę. Ale otóż i przy rowie jesteśmy, a mego przyjaciela pontoniera nie widać.

Lekarz i komendant obejrżeli się uważnie dokoła, ale zobaczyli tylko rydel, taczki, wojskowy surdut Gondrina, leżące przy stosie czarnego błota; nigdzie zaś śladu człowieka, na żadnej z mnóstwa kamienistych drózek zacienionych po większej części krzakami.

— Nie może być ztąd daleko. Hej! Gondrin! — zawołał Benassis.

W tej chwili Genestas dojrzał dym z fajki unoszący się wśród zarośli i ukazał go lekarzowi, który wołanie powtórzył. Wnet też stary pontonier wychylił głowę, poznał mera i ruszył ku niemu wąską ścieżynką.

— No i cóż tam, mój stary! — krzyknął Benassis, przykładając do ust dłoń złożoną, niby trąbkę akustyczną, masz tu oto towarzysza, Egipcyjanina, który cię chciał zobaczyć.

Gondrin podniósł prędko głowę ku Genestasowi i obrzucił go tępym spojrzeniem głębokim i badawczym, jakiego nabywają starzy wojacy skutkiem częstego stykania się oko

w oko z niebezpieczeństwami i skutkiem wprawy w szybkie rekognoskowanie. Ujrawszy czerwoną wstążeczkę komendanta, pontonier rękę w milczeniu do czoła przyłożył.

— Gdyby nasz cesarz żył jeszcze — zawołał oficer — miałbyś krzyż i dobrą emeryturę, boś uratował życie tym wszystkim, którzy noszą epolety, i którzy 1-go października 1812 roku na drugi brzeg rzeki się dostali; ale mój przyjacielu — dodał zsiadając z konia i ujmując rękę starca z nagłym i silnym wzruszeniem — ja ministrem wojny nie jestem!

Słyszając te słowa, pontonier wyprostował się, schował fajkę wytrząsnawszy z niej popiół starannie i rzekł pochylając głowę:

— Spełniłem tylko swoją powinność, ale inni względem mnie jej nie spełnili. Pytali mnie o papiery. Papiery? — powiedziałem im — moje papiery to dwudziesty dziewiąty buletyn.

— Trzeba się znowu upomnieć, kolego. Niepodobna, abys przy protekcji nie uzyskał teraz sprawiedliwości.

— Sprawiedliwości! — wykrzyknął stary wojak głosem, który przejął dreszczem lekarza i komendanta.

Nastąpiło chwilowe milczenie, podczas którego obaj jeźdźcy patrzyli na ten szczątek owych żołnierzy z brązu, jakich Napoleon z łona trzech pokoleń wyprowadził. Gondrin stanowiąc zaiste piękny okaz tej niepożytej masy, która się rozpadła, ale nie złamała. Wzrostu miał pięć stóp zaledwie, piersi jego i ramiona były niepospolicie rozwinięte i szerokie, twarz poryta zmarszczkami, zapadła, zgrzybiała, ale muskularna, zachowała jeszcze ślady męskości. Wszystko w nim było szorstkie i twarde; czoło wyglądało jakby z kamienia wykute, włosy rzadkie i siwe spadały bezwładnymi kosmykami, jakby już życia brakowało zmęczonemu jego głowie, ręce obrosnięte, jak równie pierś, która poprzez rozchylającą się na niej grubą koszulę wyglądała, znamionowały nadzwyczajną siłę. Stał na grubych nogach niby w ziemię wrosnięty.

— Sprawiedliwości! — powtórzył — tej dla nas nigdy nie będzie. Nie ma takich, którzyby się o naszą należność upomnieli. A że człowiek, aby żyć, jeść musi — rzekł uderzając się po brzuchu — więc czasu czekać nie mamy. Ja też widząc, że słowa tych, co się całe życie po biurach wygrzewają, nikogo nie nakarmią, wróciłem tu i żołądek mój z tych oto ogólnych funduszków pobieram — dodał zagłębiając rydel w błocie.

— Ale tak dalej być nie może, stary mój kolego — rzekł Genestas. — Winienem ci życie i byłbym niewdzięcznikiem, gdybym ci z pomocą nie przyszedł. Ja-m nie zapomniał, że po moście nad Berezyną przechodził, i znam kilku takich pocziwców, którzy zawsze dobrą pamięć mają; ci mi dopomogą w tym, by ojczyzna wynagrodziła cię, jak na to zasługujesz.

— Nazwą pana bonapartystą. Nie mieszej się pan do tego. Zresztą zagrzebałem się w tej dziurze i siedzę w niej jak wystrzelona kula. Nie spodziewałem się tylko, iż przewędrowawszy pustynię na wielbłądach i wychyliwszy niejedną szklanicę wina przy moskiewskich ogniskach, przyjdzie mi umrzeć pod drzewami, które mój ojciec posadził — odparł Gondrin zabierając się do roboty.

— Biedny stary — odparł Genestas — na jego miejscu zrobiłbym to samo; nie masz już naszego ojca. Wiesz pan co, rezygnacja tego człowieka dziwnym mnie smutkiem napełnia; on nie wie, jak dalece los jego mnie obchodzi, i będzie myślał, że jestem z tych udekorowanych i ułożonych łajdaków, nieczułych na nędzę żołnierza.

Powiedziawszy to, poszedł prędko ku pontonierowi, chwycił jego rękę i krzyknął mu w ucho: — Na ten krzyż, który noszę, a który niegdyś to samo co honor znaczył, przysięgam, iż zrobię wszystko, co tylko w ludzkiej jest mocy, by ci pensję wyjednać, choć-by mi przyszło strawić dziesięć odmów ministra, prosić króla, delfina i wszystkich świętych.

Słyszając te słowa, Gondrin drgnął, spojrzął na Genestasa i rzekł:

— Więc pan byłś prostym żołnierzem?

Komendant w milczeniu potakując głową skinął. Wtedy stary wojak obtarł sobie rękę, ujął dłoń Genestasa, a ściskając ją z uczuciem wymówił:

— Mój generale! gdy po pas w Berezynę wchodził, oddałem armii wszystko, co miałem: — moje życie! ależ mi się jeszcze coś zostało, skoro dotąd trzymam się na nogach. Zresztą, chcesz pan wiedzieć całą prawdę? Odkąd tamtego zbrakło, nic mnie już na świecie nie nęci. Ot! wyznaczili mi to — dodał wesoło, wskazując ziemię — dwadzieścia tysięcy franków i odbieram je sobie częściowo.

— Słuchaj, kolego — rzekł Genestas wzruszony szczytnością tego przebaczenia — tu przynajmniej będziesz miał jedyną rzecz, której mi dać sobie nie wzbronisz.

Mówiąc to, uderzył się po sercu, popatrzył jeszcze chwilę na starego pontoniera i dosiadłszy konia za Benassisem pośpieszył.

— Tego rodzaju okrucieństwa administracyjne podlegają ustawicznie ubogich przeciwko bogatym — ozwał się lekarz. — Ludzie, którym chwilowo władza się w ręce dostała, nie zastanowili się nigdy poważnie nad koniecznymi następstwami niesprawiedliwości popełnionej względem człowieka z ludu. Biedak, zmuszony do pracowania ciężko na kawałek powszedniego chleba, nie walczy długo to prawda, ustępuje, ale mówi; a słowa jego silne echo w sercach cierpiących znajdują. Jedna niesprawiedliwość mnoży się przez całą liczbę tych, którzy się w niej niejako pokrzywdzeni czują. Kwas ten moralny burzy się i fermentuje. Ale to nic jeszcze. Największe zło spoczywa w tej głuchej, tłumionej nienawiści, jaką podobne bezprawia napełniają lud względem władz wyższych. Człowiek zamożny, mieszczanin staje się nieprzyjacielem dla biednego chłopka, który go oszukuje i kradnie. Dla tego ostatniego kradzież nie jest przestępstwem, ani zbrodnią, ale zemstą. Jeżeli tam, gdzie chodzi o zadosyć uczynienie sprawiedliwości względem maluczkich, dzieją się nadużycia i bezprawia; to jakim czołem żądać można od nieszczęśliwych, pozbawionych chleba biedaków, by z poddaniem się znosili swą niedolę i cudzą własność uszanować umieli? Doprawdy dreszcz zgrozy przejmuję mnie na samą myśl, że jakiś posługacz sądowy, którego działalność ogranicza się na otrzepywaniu z kurzu papierów, dostał może te tysiąc franków obiecanych jako pensja Gondrin'owi. A potem, niektórzy, co nigdy nie zmierzili całej głębokości i że tak powiem nadmiaru cierpień, oskarżają o nadmiar lud, gdy się ten mści za krzywdy swoje. Ale rząd taki, który spowodował więcej indywidualnych nieszczęść niż dobrobytu zapewnił, ten trwanie swe na minuty liczyć może, lud burząc go splota sobie na swój sposób zaległości. Mąż stanu powinien zawsze wyobrażać sobie biednych u stóp sprawiedliwości, boć ona dla nich stworzoną została.

Zbliżając się do miasteczka, Benassis spostrzegł dwoje ludzi gościńcem idących, a ukazując ich komendantowi, który od pewnego czasu w głębokim zamyśleniu jechał, rzekł:

— Widziałeś pan pełną rezygnacji niedolę wojskowego weterana, przypatrz się teraz nędzy starego rolnika. To jest człowiek, który przez całe życie siał, orał i zbierał dla drugich.

Genestas podniósł oczy i zobaczył staruszka idącego w towarzystwie równie starej kobiety. Biedak zdawał się cierpiącym i z trudnością włókł za sobą nogi w podarte chodaki obute. Na plecach niósł sakwy, a w nich jakieś narzędzia, które uderzając wzajem o siebie szczerkały za każdym poruszeniem ich właściciela; boczna kieszeń zawierała chleb, kilka główek cebuli i trochę orzechów. Nogi miał pokrzywione, a grzbiet tak od ciągłego schylenia się przy pracy zgarbiony, że szedł zgięty prawie i dla równowagi na kiju opierać się musiał. Włosy jego, białe jak śnieg powiewały z pod kapelusza, zrudziałego od deszczów i słońca i białymi niemi pozszywanego. Ubranie z grubego płótna tysiącami i różnokolorowymi łatami upstrzone okrywało tę ruinę człowieka, której nie brakowało żadnej z tych cech, co ruiny tak wzruszającami czynią. Żona jego nieco prościej się trzymająca, ale również łachmanami odziana, niosła na plecach gliniane, płaskie naczynia, opatrzone w ucha, przez które przeciągniętym był przytrzymujący je rzemień. Na odgłos kopyt końskich oboje podnieśli głowy, a poznawszy Benassisa przystanęli. Widok tych dwojga staruszków, zniedołężniałych już prawie od pracy, których twarze poczerniały i zgrubiały zatraciły prawie ślady dawniejszych rysów w mnóstwie przerywnych zmarszczek, dziwnie był przejmującym i bolesnym. Spojrzawszy na nich już się całą historią ich życia wiedziało. Oboje pracowali bezustannie i cierpieli bezustannie, wiele bólów a mało radości dzielili ze sobą i żyli się ze swoją niedolą, jak więzień z celą, w której go zamknięto. Na twarzach ich błąkał się nawet wyraz wesołej otwartości i prostoty. Kto im się bacniej przyglądał, temu życie ich jednostajne, będące tyłu biednych istot udziałem, mogło się prawie godnym zazdrości wydać. Widne w nich były ślady wielkich cierpień, ale smutku tam nie znalazł.

— No i cóż tam, ojczu Moreau — rzekł Benassis — chcesz więc koniecznie ciągle pracować?

— Tak, panie merze. Wykarczuję panu jeszcze z parę piędzi lasu przed śmiercią — odparł wesoło staruszek, którego czarne oczy błysnęły.

— Cóż to niesie wasza żona? czy wino? Jeżeli już nie chcecie sobie odpocząć, to przynajmniej winem pokrzepiać się trzeba.

— Nudzi mi się, gdy odpoczywam. Wolę sobie na słonku i świeżem powietrzu karczować; to mnie ożywia. A co do wina, tak proszę pana, to jest wino i wiem dobrze, że z łaski pana dostaliśmy je prawie zadarmo od pana mera z Courteil. Ho, ho, zawsze się to wyda, choć pan się jak może ukrywa.

— No, do widzenia matko! Idziecie dziś pewno na Champferlu.

— A tak, proszę pana, wczoraj tam robotę zaczęli.

— Szczęść wam Boże! — rzekł Benassis. — Musi być wam jednak miło patrzeć na tę górę, którąście prawie sami wykarczowali.

— Ha, juści, proszę pana — odparła stara — toć to nasza praca. Mamy prawo do jedzenia chleba, bośmy na niego zarobili.

— Widzisz pan — zwrócił się Benassis do Genestasa — praca to wielka księga biednych. Ten pocziwiec mniemałby ubliżać sobie, gdyby poszedł do szpitala lub się puścił na żebraninę; on chce umrzeć z rydłem w rękę, w polu, przy blasku słońca. Otóż, to męztwo co się zowie. Praca stała się już dla niego niezbędnym do życia czynnikiem, a śmierci on się nie boi! ani wie nawet, jak głęboki z niego filozof. Starzec ten nasunął mi myśl założenia w moim kantonie domu przytułku dla rolników, wyrobników, wogóle ludzi, którzy pracując całe życie doczekali się uczciwej ale biednej starości. Ja, kochany panie, nie przywiązuję żadnej wagi do mego majątku, bo ten osobiście na nic mi się przydać nie może. Człowiekowi, który spadł ze szczytu swych marzeń i ze wszystkimi nadziejami wziął rozbrat, bardzo niewiele potrzeba. Tylko życie próżniacze dużo kosztuje i powiedziałbym nawet, że ten, co korzysta z pracy drugich a sam nic nie produkuje, popełnia kradzież społeczną. Napoleon dowiedziawszy się o dysertacjach, jakie po jego upadku wszczęły się z powodu pensyi, jaką wyznaczyć miano, powiedział, że nie potrzebuje nic prócz konia i dukata dziennie. Przybywszy tu, wyrzekłem się pieniędzy, ale zarazem nabrałem przekonania, że pieniądź do czynienia dobrze jest niezbędnym czynnikiem. Zapiisałem tedy testamentem dom mój na założenie przytułku dla nieszczęśliwych a mniej dumnych od ojca Moreau starców, żeby w nim do końca życia schronienie znaleźć mogli. Przytém, pewna część tych dziewięciu tysięcy franków, jakie mi rocznie moje grunta i młyn przynoszą, przeznaczoną będzie na udzielanie podczas ciężkich bardzo zim wsparć najbardziej potrzebującym. Zakład ten dostanie się pod opiekę rady municypalnej z proboszczem, jako prezydentem, na czele. Tym sposobem, majątek, który wypadkowo zrobiłem w tym kantonie, zostanie w nim nazawsze. Ustawa téj instytucyi szczegółowo spisana jest w moim testamencie; znudziłbym pana, gdybym mu ją powtarzał; dość powiedzieć, że wszystko przewidział. Utworzyłem nawet fundusz rezerwowy, który z czasem pozwoli gminie udzielać jakoby stypendya dzieciom okazującym wybitne do nauk lub sztuk pięknych zdolności. Tak tedy nawet po mojej śmierci cywilizacyjne moje dzieło dalej rozwijać się będzie. Widzisz pan, kapitanie Bluteau, gdy się już raz coś zacznie, budzi się w człowieku jakaś siła, która go do skończenia zmusza. Ta potrzeba porządku, to dążenie do doskonałości jest jednym z najwymowniejszych dowodów jakiegoś drugiego, poza-światowego życia. Ale zdążajmy prędzej, trzeba mi kończyć mój objazd, a muszę jeszcze ze sześciu chorych odwiedzić.

Jakiś czas kłusowali w milczeniu; poczem Benassis rzekł śmiejąc się do swego towarzysza:

— Ach! kapitanie Bluteau, ja się tu z panem jak dziecko rozpaplałem, a pan mi nic nie mówisz o swoim życiu, które przecież ciekawem być musi. Żołnierz w wieku pana niejedno widział i niejedno-by miał do opowiedzenia.

— Zapewne — odparł Genestas — ale życie moje jest życiem armii. Wszystkie postacie wojskowe są mniej więcej do siebie podobne. Nie będąc nigdy dowódcą, trawiąc życie w szeregach na odbieraniu i zadawaniu razów, czyniłem to, co inni! Szedłem tam, gdzie nas prowadził Napoleon, biłem się w każdym miejscu, w którym tylko walczyła gwardya cesarska. Wszystko to są rzeczy znane. Doglądać koni, cierpieć czasem głód i pragnienie, bić się gdy potrzeba, oto życie żołnierza. Zwyczajne ono i proste jak dzień dobry. Zdarzają się bitwy, które dla nas streszczają się całe w zgubieniu podkowy przez konia i wynikłym ztąd kłopotcie. Krótko mówiąc, widziałem tyle krajów, że żaden już

dla mnie nowością nie jest, i tyle umarłych, że do własnego życia żadnej nie przywiązuje wagi.

— Ale przecież, wśród tylu ogólnych niebezpieczeństw musiałeś pan kiedyś spotkać się z jakim szczególniejszym, tylko osobie pana zagrażającym i właśnie tego rodzaju opowieść byłaby w ustach pana niezmiernie ciekawą.

— Być może — rzekł komendant.

— No więc, opowiedz mi pan, co cię najsilniej wzruszyło. Nie bój się pan! nie posądzę cię o brak skromności, choćbyś mi nawet o jakim swoim bohaterskim czynie nadmienił. Skoro człowiek ma pewność, że będzie zrozumianym przez tych, którym się zwierza, to może śmiało i z zadowoleniem powiedzieć: Ja to zrobiłem!

— Ha! dobrze — opowiem panu zdarzenie, które mi czasem jak wyrzut sumienia w pamięci staje. Przez całe piętnaście lat, które w ciągłych bitwach strawiłem, nie zabiłem ani jednego człowieka prócz ma się rozumieć w koniecznej i słusznej obronie własnego życia. Ale to się nie liczy. Bo cóż! stoimy w szeregach i szarżujemy; jeżeli nie złamiemy linii naszych przeciwników, oni zaś z pewnością o pozwolenie puszczania krwi prosić nie będą — trzeba więc zabijać by samemu powalonym nie zostać i sumienie jest spokojne. Ale mnie, kochany panie, zdarzyło się raz wysłać na tamten świat towarzysza broni. To wspomnienie boli mnie, a twarz tego człowieka wykrzywiona konaniem często mi przed oczyma staje. Ale osądź pan sam... Było to podczas odwrotu z Moskwy. Wyglądaliśmy raczej jak trzoda zmordowanych wołów, a nie jak wielka armia. Karność wojskowa uciekła gdzieś za bory i lasy, każdy był sobie panem i mogę powiedzieć, że cesarz tam już poznał, gdzie się jego władza kończyła. Przybywszy do Studzianki, wioseczki nad Berezyną, znaleźliśmy tam stodoły, chaty, trochę ziemniaków zakopanych w dołach i nieco buraków. Oddawna już nie spotkaliśmy się ani z jadem, ani z ludzką siedzibą, był to więc prawdziwy bal dla armii. Ci, którzy przyszli pierwsi, zjedli wszystko, jak się tego łatwo domyślić. Ja-m był jeden z ostatnich, ale na szczęście niczego nie pragnęłam prócz snu. Upatruję sobie tedy jedną stodołę, wchodzę i widzę ze dwudziestu generałów, wyższych oficerów, wszystko, nie pochlebiam im, ludzi wielkiej zasługi jak: Junot, Narbonne, adjutant cesarza, jednym słowem same znakomitości armii. Znajdowali się tam także i prości żołnierze, którzy nawet marszałkowi Francji nie byliby ustąpili swoich posłań ze słomy. Jedni z braku miejsca spali stojący o mur oparci, inni leżeli na ziemi a wszyscy tak dla ciepła natłoczeni, że próżno sobie jakiego wśród nich kącika szukałam. Chodzę tedy po tej podłodze z ciał ludzkich; ci i owi mruczą, drudzy nic nie mówią, ale nikt się nie rusza. Sądzę, iż żaden nie posunął-by się nawet dla uniknięcia kuli armatniej, a rzecz prosta, iż żądać tego w imię grzeczności było niepodobieństwem. Wreszcie, spostrzegam w głębi stodoły rodzaj jakby wewnętrznego dachu, na który nikt się czy-to dla braku siły, czy z przeoczenia go nie wdrapał, włączę więc, układam się, a gdym się już wygodnie rozciągnął, zaczynam się przypatrywać tym ludziom, leżącym na dole jak cielęta. Smutny ten widok niemal mnie do śmiechu pobudził. Jedni gryźli zmarznięte marchwie z jakąś zwierzęcą radością na twarzy a generałowie otuleni w podarte szale chrapali, aż się rozlegało. Gałęzie zapalonych jedliny oświecały stodołę, i gdyby nawet ogień ją ogarnął nikt nie byłby wstał, aby go ugasić. Położyłem się na wznak, i nim zasnąłem, podnoszę oczy w górę, aż tu widzę, że belka podtrzymująca dach zaczyna się chwiać zlekka, potem silniej, coraz silniej — roztańczyła się na dobre. „Panowie — mówię — jakiś kolega na dworze chce się ogrzać naszym kosztem.” Belka już-już miała upaść — „Panowie, panowie, zginiemy, patrzcie na belkę” — krzyczę z całego gardła, by śpiących obudzić. Cóż pan powiesz, widzieli i słyszeli, co się działo, ale ci, co spali, zasnęli nanowo, a ci, co jedli, nie odpowiedzieli mi nawet. Musiałem więc opuścić moje miejsce narażając się na stracenie go, boć trzeba było uratować cały ten stos znakomitości. Idę tedy, obchodzę stodołę i widzę jakiegoś draba Wirtemberczyka, który sobie z zapalem ciągnie ową belkę. „Hola! Hola! wołam na niego dając mu do zrozumienia, by tej pięknej roboty zaniechał. *Geh mir aus dem Gesicht, oder ich schlag' dich tod!*” odpowiada mi. Ale!... jeszcze czego *Qué mire aous dem guesit* mówię na to — biorę fuzyę, którą zostawił na ziemi, palę mu w łeb, wracam, kładę się i zasypiam. Oto i cała historia.

— Ależ była to słuszna obrona przeciwko jednemu dla dobra wielu, nie masz sobie pan nic do wyrzucenia — rzekł Benassis.

— Tamci — ciągnął dalej Genestas — myśleli, że mi się coś przywidziało, ale bądź co bądź wielu z nich żyje dotychczas w pięknych i wygodnych pałacach, a wdzięczność im zgoła na sercu nie ciąży.

— Czyż-byś pan czynił dobrze tylko w celu uzyskania tego zbytecznego procentu, zwanego wdzięcznością? rzekł śmiejąc się Benassis. Było-by to pewnego rodzaju lichwiarstwem.

— A! odparł Genestas — wiem ja dobrze, iż zasługa dobrego uczynku znika wnet, skoro najmniejszą z niego korzyść osiągniemy; opowiadając go zaś, wytwarzamy sobie pewną, że tak powiem, resztę miłości własnej, która nam starczy za wdzięczność. Jednakowoż, gdyby ci, co świadczą dobrodziejstwa, milczeli, doznający ich, pewno-by o nich nie mówili. Według systematu pana, masy potrzebują przykładów, a gdzieżby się one w tém ogólném milczeniu znalazły? Niedosyc na tém. Gdyby ten biedny pontonier, który uratował armię francuzką i niczego za to od świata nie doznał, stracił był także władzę w rękach i nogach, czy wtedy sumienie dało-by mu chleba? Odpowiedz na to, filozofie!

— Być może, iż w moralności nie masz nic bezwzględnego — odparł Benassis — lecz przypuszczenie to jest niebezpieczném, bo dozwala egoizmowi tłumaczyć sprawy sumienia w taki sposób, jaki się dla osobistego interesu wygodniejszym zdaje. Ale, posłuchaj mnie, kapitanie. Czy człowiek stosujący się ściśle do przepisów moralności nie jest wyższym nad tego, który się od nich, choćby z konieczności, uchyla? Czy ten zniedołężniały, umierający z głodu pontonier nie dorównywa w szczytności Homerowi? Życie ludzkie jest bezwątpienia ostatnią próbą gieniuszu i cnoty, tych dwóch pereł do lepszego należących świata. Cnota i gieniusz — to według mnie najpiękniejsze objawy zupełnego i bezustannego poświęcania się, którego nauczycielem był sam Jezus Chrystus. Gieniusz zuboża się wzbogacając ziemię, cnota milczy niosąc siebie w ofierze dla ogólnego dobra.

— Zgoda na to — rzekł Genestas — ale na ziemi nie aniołowie lecz ludzie mieszkają. Nie jesteśmy doskonałemi.

— Masz pan słuszność — odparł Benassis. Co do mnie, nadużyłem porządnie władzy błędzenia. Jednakowoż, nie powinniżemy dążyć ku doskonałości? Nie jest-że cnota tym pięknym ideałem, w który dusza wciąż, jak w niebiański wzór wpatrywać się powinna?

— Amen — rzekł kapitan — ustępuję, człowiek cnotliwy jest najpiękniejszym cudem tego świata — lecz przynaj pan także, iż to bóstwo może czasem pogawędzić trochę, nie ubliżając sobie tem zgoła!

— A! — wymówił lekarz, uśmiechając się z rodzajem gorzkiej melancholii — przez usta pana mówi pobłażliwość tych, którzy w pokoju z sumieniem swoim żyją, podczas gdy ja, jestem surowy, jak człowiek mający wiele, wiele plam do zatarcia we własném życiu.

W téj chwili obaj jeźdźcy zatrzymali się przed chatą nad brzegiem strumienia stojącą. Lekarz wszedł do wnętrza, a Genestas zatrzymał się u progu spoglądając na przemiany, to na jasny, świeży krajobraz, to na ciemną, posępną izbę, w której leżał jakiś człowiek chory. Benassis egzaminował go chwilę w milczeniu: poczem zawołał:

— Nie potrzebny ja tu jestem, moja matko, skoro nie postępujecie tak, jak wam zaleciłem. Daliście chleba mężowi, chcecież go więc zabić? Tam do licha! jeżeli mu dacie cokolwiek-bądź, prócz ziółek, noga moja tu nie postanie. Poszukajcie sobie lekarza, gdzie wam się będzie podobało.

— Ach! paneczku złocisty! biedne człeczysko wołał jeść, a gdy się od piętnastnu dni nic w gębie nie miało...

— No! cóż to, będziecie mnie słuchać, czy nie? Powtarzam wam: jeżeli dacie mężowi kawałek chleba, nim ja na to pozwolę, zabijecie go. Słyszycie?

— Nic mu już nie dam, nic, paneczku. A jakże on tam? lepiej? — zapytała idąc za lekarzem.

— Ale gdzież zaś! pogorszyliście stan jego dając mu jeść. Nie może więc się to wam w głowie pomieścić, że kto skazany na dyetę, ten nic jeść nie powinien. Chłopi są niepoprawni — dodał Benassis, zwracając się do kapitana — jeśli chory od kilku dni nie jadł, zdaje im się, że już umiera i opychają go chlebem i winem. Ta kobieta, naprzykład, o mało co nie zabiła swego męża.

— O Chryste! takim dzdziebelkiem jadła miałabym go zabić!

— Bezwątpienia, moja matko! Dziwię się, że go jeszcze przy życiu po tém ździebelku zastałem. Nie zapomnijcież robić tak wszystko, jak wam zaleciłem.

— Och! paneczku kochany, toć-bym wołała sama umrzeć, niż się wam w czém przeciwować.

— No, no, zobaczą to. Jutro wieczorem przyjdę mu krew puścić.

— Pójdźmy teraz piechotą wzdłuż strumienia — rzekł Benassis do kapitana. — Ztąd do domu, gdzie wstąpić muszę, nie ma wcale drogi dla koni. Syn mego pacjenta popilnuje nam naszych. Przypatrz się pan téj dolinie — wymówił po chwilowém milczeniu — nie istnyż to ogród angielski? Idziemy teraz do wyrobnika, który się po stracie jednego ze swoich dzieci pocieszyć nie może. Najstarszy syn, niedorostek jeszcze, podczas ostatnich żniw pracował jak dojrzwały mężczyzna, wyczerpał siły i umarł z osłabienia w końcu jesieni. Pierwszy-to raz zdarza mi się spotkać uczucie ojcowskie rozwinięte w tak potężnym stopniu. Zwykle, wieśniacy w umarłych swych dzieciach żałują straty użytecznej rzeczy, która część ich dobytku stanowi, ztąd też i żal jest większy lub mniejszy stosownie do wieku zmarłego. Raz wyszedłszy z niemowlęctwa, dziecko staje się kapitałem dla ojca. Ale ten biedak kochał prawdziwie owego syna. „Nic mnie pocieszyć nie zdoła” powiedział mi raz, gdy go zastał na łące, wspartego nieruchomo o kosę, którą zapomniał wyostrzyć, choć kamień trzymał w ręku. Odtąd nie mówił już o swoim smutku, ale stał się ponurym i cierpiącym. Dziś jedna jego córeczka jest chorą...

Tak rozmawiając Benassis i kapitan przybyli do domku położonego przy szosie wiodącej do garbarni. Tam pod wierzbą, ujrzeni człowieka, przeszło czterdziesto-letniego, który stał jedząc kromkę chleba z czosnkiem.

— No i cóż, Gasnier, jakże się mała miewa?

— Nie wiem — odparł pośepnie — zobaczy ją pan, żona moja jest przy niej. Boję się, czy pańskie starania co tu pomogą, widać śmierć weszła już do mnie, aby mi wszystko zabrać.

— Śmierć nie przemieszkiwa u nikogo, mój pocziwy Gasnier; nie ma na to czasu. Bądźcie dobrej myśli.

Powiedziawszy to Benassis wszedł wraz z przygnębionym ojcem do chaty. W pół godziny wyszedł, odprowadzony przez matkę, do której rzekł:

— Nie trwóście się już o nią, róbcie tylko, co wam zaleciłem. Niebezpieczeństwo minęło.

— Jeżeli to pana nudzi — przemówił następnie lekarz do Genestas, gdy dosiedli koni — mogę pana na główny gościniec wyprowadzić i powrócisz sobie tamtędy do miasteczka.

— Nie, słowo panu daję, że mnie to nie nudzi.

— Ale wszędzie zobaczysz pan tylko chaty, podobne do siebie jak dwie krople wody. Nic na pozór jednostajniejszego nad wieś.

— Służę panu dalej — odparł kapitan.

I tak przez kilka godzin zwiedzali wszystkie zakątki kantonu, a nad wieczorem wrócili do téj części, która sąsiadowała z miasteczkiem.

— Teraz muszę wstąpić tam — rzekł lekarz ukazując Genestasowi miejsce zarośnięte wiązami. Drzewa te mają już około dwustu lat — dodał. — Mieszka tam kobieta, do której mnie wczoraj od obiadu wezwał chłopak, mówiąc, że zrobiła się białą jak płótno.

— Czy to co niebezpiecznego?

— Nie — odparł Benassis — jest-to skutek ciąży w ostatnim jéj miesiącu. W tym peryodzie, niektóre kobiety podlegają częstym spazmom. Dla wszelkiej jednak ostrożności muszę zajść do niej i dowiedzieć się, czy co nowego nie zaszło. Sam będę przy jéj rozwiązaniu. Zresztą, za jednym zachodem pokażę tam panu nową gałąź naszego przemysłu, to jest cegielnię. Droga tak piękna, możebyśmy przegalopowali kawałek, co?

— Chętnie, czy tylko koń pański nadąży mojemu — rzekł Genestas i cmoknął: — Hola! Neptun!

I w mgnieniu oka dzielne zwierzę uniosło kapitana o jakie sto kroków w tumanie kurzawy, ale mimo całej jego szybkości Genestas słyszał wciąż lekarza tuż przy sobie. Benassis cmoknął na swego wierzchowca i wyprzedził komendanta, który się z nim zrównał dopiero przy cegielni, w chwili gdy lekarz przywiązywał najspokojniej konia do słupa.

— A niech pana dyabli porwą! — wykrzyknął Genestas, patrząc na prawie wcale nie spoconego rumaka Benassisa. Jakiegoż masz pan wiatronoga!

— A! — odparł śmiejąc się lekarz — a pan go wziął za byle-jaką szkapinę. Na ten raz historia tego pięknego zwierzęcia za wiele-by nam czasu zajęła; dość panu wiedzieć, że Rustan — to prawdziwy barbarzyca z Atlasu. A koń z Barbaryi wart najdzielniejszego arabczyka. Mój galopuje przez góry nie zwilżywszy nawet sierści i pewną nogą stąpa nad przepaściami. Dostałem go w podarunku, bardzo zresztą zasłużonym, od pewnego ojca w zamian za życie jego córki, jednej z najbogatszych dziedziczek Europy, którą spotkałem umierającą w drodze do Sabaudyi. Gdybym panu powiedział, w jaki sposób ją wyleczyłem, wziąłbyś mnie za szarlatana. Ale, ale... słyszę dzwonki koni i turkot wozu, zobaczymy, czy to nie Vigneau przypadkiem. Radzę panu spojrzeć na niego uważnie.

Wkrótce komendant ujrzał cztery rosłe konie w uprzęży, zdradzającej zamożność i zamięłowanie porządku u właściciela.

W dużym wozie pomalowanym na niebiesko siedział puciołowaty chłopak i trzymając bicz jak strzelbę przy ramieniu, gwizdał sobie przez zęby.

— Nie, to nie Vigneau — rzekł Benassis. — Ale uważaj pan, jak dobrobyt pana odbija się na wszystkim, nawet na tym wozie. Nie jest-że to oznaką inteligencji przemysłowej, dość rzadkiej po wsiach?

— Tak, tak, wóz i zaprząg porządny aż miło — odparł komendant.

— Vigneau dwa takie posiada. Prócz nich ma jeszcze stępaka, na którym jeździ po okolicy, bo handel jego bardzo daleko się rozciąga, a przed czterema laty człowiek ten nie miał nic zgola — myślę się — miał dług. Ale wejdźmy. Mój chłopcze — dodał zwracając się do woźnicy — pani Vigneau jest zapewne u siebie.

— Tak proszę pana — widziałem ją przez parkan w ogrodzie i pójdę jęj o przyjeździe pańskim powiedzieć.

Genestas wraz z Benassisem weszli na rodzaj obszernego placu otoczonego płotem. W jednym kącie leżała glina przygotowana na dachówki, w drugim polana do ogrzewania pieca, dalej jeszcze na płaszczyźnie zamkniętej lasami kilku robotników ociosywało kamienie i przygotowywało cegły. Naprost wejścia pod wielkimi wiązami była fabryka dachówek krągłych i kwadratowych, opodal suszarnia, a przy niej piec olbrzymi otwierał czarną i przepaścistą gardziel swoją. Równoległe z temi budynkami stał dom obszerny, dość nędznie wyglądający, w którym było mieszkanie, jak również stajnia, wozownia, obora i t. p. Trochę drobiu i trzody wałęsało się po placu. Wogóle panowała tu czystość, a zabudowania starannie utrzymane świadczyły o troskliwości ich właściciela.

— Poprzednik mego Vigneau — odezwał się Benassis — był-to próżniak, który tylko pić lubił. Będąc niegdyś sam robotnikiem umiał ogrzewać piec i wyrabiać cegły, oto wszystko, zresztą nie posiadał ani pracowitości, ani zmysłu handlowego. Jeżeli kto się do niego po towar nie zgłosił, zostawiał go na miejscu, aż się zepsuł i zmarnował. To też umierał z głodu. Żona jego, którą złém obejściem do idiotyzmu prawie doprowadził, dogorywała w nędzy. To lenistwo, ta nieuleczona głupota i widok zaniedbanej fabryki tak przykre na mnie robiły wrażenie, że unikałem o ile możności przechodzić tędy. Szczęściem biedacy ci byli-to już ludzie w wieku. Pewnego pięknego poranku ceglarz został tknięty paraliżem; kazałem go więc zaraz w grenoblskim szpitalu umieścić. Właściciel cegielni zgodził się bez oporu przyjąć ją napowrót w tym stanie, w jakim się znajdowała; a ja zacząłem szukać nowego dzierżawcy, któryby mi umiał dopomóc w ulepszeniach, jakie we wszystkich rękodzielniach kantonu zaprowadzić chciałem. Mąż pokojówki pan Gravier, biedny wyrobnik, który pracując u zduna nie był w stanie utrzymać za to rodziny swojej, posłuchał mojej rady. Zdobył się na tyle odwagi, że nie mając złamanego szeląga przy duszy wziął w dzierżawę cegielnię. Osiedlił się tutaj, nauczył swoją żonę, matkę i teściową wyrabiania cegieł, i kobiety te stały się jego robotnicami. W jaki sposób oni się tam urządzali, tego, słowo uczciwego człowieka, nie wiem. Prawdopodobnie Vigneau pożyczał drzewa do ogrzewania pieca i nocą znosił w koszach glinę i inne materiały, by je w dzień fabrykować. Krótko mówiąc dał dowody nieograniczonej wytrwałości i energii, a obie stare matki w łachmanach pracowały jak murzynki. Prawda, że pierwszy rok pobytu tutaj spędził jedząc chleb krwawym potem rodziny swojej obłany, ale się utrzymał. Jego przedsiębiorczość, cierpliwość i inne zalety zwróciły na niego uwagę. Niemordowany, biegał codziennie rano do Grenobli, sprzedawał tam dachówki i cegły, wracał do siebie w południe i znowu nocą pędził do miasta; zdawał się istotnie pomnażać. Z końcem pierwszego roku przyjął sobie dwóch chłopców do pomocy. Widząc to, póź-

czyłem mu trochę pieniędzy i tak z roku na rok dobrobyt tej rodziny wzrastał. Wkrótce, obie matki zaprzestały już wyrabiać cegły i tłuc kamienie; zajęły się natomiast uprawą ogrodu, kuchnią, sporządzaniem odzieży, przędły wieczorami, a w dzień chodziły zbierać drzewo do lasu. Żona mego dzielnego Vigneau, która umie czytać i pisać, utrzymywała rachunki; on sam zdobył się niedługo na szkapę i jeździł po okolicy szukając sobie kundmanów; następnie wyuczył się fabrykacji kaflów i, wyrabiając wcale piękne płyty, sprzedawał je poniżej cen zwykłych. W trzecim roku był już posiadaczem wózka i dwóch koni. Odtąd żona jego zaczęła się prawie stroić. Wszystko u nich podnosiło się i ulepszało w miarę większego zarobku; a zawsze panował tam porządek, oszczędność i czystość, trzy najważniejsze podstawy dobrobytu. W końcu Vigneau przyjął sobie sześciu robotników i dobrze ich opłacał, i zwolna, zwolna, powiększając zakres pracy swojej i handlu, doszedł do zamożności. W przeszłym roku kupił cegielnię, na przyszły przebuduje dom mieszkalny. Teraz cała ta rodzina jest zdrowa i porządnie odziana. Żona, niegdyś chuda i sterana kłopotami i zabiegami, które z mężem dzieliła, teraz utyla i wyładniała. Obie matki są bardzo szczęśliwe i krzątają się rzeźwo około gospodarstwa i handlu. Tak praca wytworzyła pieniądze, a pieniądze, sprowadziwszy spokój, przywróciły zdrowie, dostatek i swobodę. Prawdziwie, rodzina ta, jest dla mnie żywą historią całej mojej gminy. Cegielnia, niegdyś zaniedbana, brudna, pusta, bezpożyteczna, wzbogaciła się teraz i ożywiła do niepoznania. Oto tu, na przykład, widzisz pan okazały zapas drzewa i materiałów potrzebnych do roboty na tę porę, bo zapewne wiadomo panu, iż cegła wyrabia się tylko w pewnym okresie roku, od czerwca do września. Aż miło na to popatrzeć. Mój Vigneau brał udział we wszystkich budowlach w miasteczku. Zawsze jest równie czynny, żywy, niezmordowany; ludzie tutejsi nazywają go „maszyną”.

Zaledwie Benassis słów tych dokończył, gdy młoda, przystojna kobieta w ładnym czepeczku na głowie, w białych pończochach, jedwabnym fartuszką i różowej sukni, który-to strój nieco dawniejszą pokojówkę w niej zdradzał, otworzyła furtkę od ogrodu i szła ku Benassisowi tak prędko, jak na to stan jej pozwalał; ale obaj panowie pośpieszyli na jej spotkanie. Pani Vigneau była w istocie ładną, pulchniutką kobiecinką, z twarzą trochę od słońca ogorzałą. Na czole jej rysowało się parę lekkich zmarszczek, ślady przebytych cierpień, wogóle jednak miała w rysach wyraz zadowolenia i swobody.

— Panie Benassis — wymówiła miłym, uprzejmym głosem — zrób-że mi pan tę łaskę i spocznij u mnie na chwilę.

— Owszem — odpowiedział — pójdź kapitanie.

— Panom zapewne gorąco? Może byli-by łaskawi napić się trochę wina lub mleka? Panie Benassis — proszę skosztować wina, które mi mąż na czas mojej słabości sprowadził. Powiesz mi pan, czy dobre.

— Dzielnego masz pani człowieka za męża — ozwał się Genestas.

— Tak panie — odparła spokojnie zwracając się ku niemu — Bóg mnie hojnie obdarował.

— Dziękujemy za wszystko, pani Vigneau — rzekł Benassis — wstąpiłem tylko do wiedzieć się, czy co złego nie zaszło.

— Nic — odrzekła — jak pan widzisz, byłam teraz w ogrodzie i pełam, żeby cośkolwiek robić.

W tej chwili nadeszły obie matki, aby powitać Benassisa, a woźnica stał nieruchomo na podwórzu i wpatrywał się w lekarza.

— Podaj mi pani rękę — rzekł Benassis do młodej kobiety.

Wziął ją za puls i liczył uderzenia w milczeniu z nadzwyczajną uwagą. Przez ten czas, kobiety przyglądały się komendantowi z tą naiwną ciekawością, którą ludzie wiejscy bez żadnej ceremonii okazują.

— Wszystko jak najlepiej — wykrzyknął wesoło lekarz.

— A kiedyż, kiedyż to będzie? — zawołały razem obie matki.

— Zapewne w tym tygodniu. Vigneau jest w drodze? — zagadnął po chwilowym milczeniu.

— Tak, proszę pana — odparła młoda kobieta — śpieszy się zakończyć interesu, by mógł być w domu podczas mojej słabości.

— No, bywajcie zdrowi, moje dzieci. Pracujcie więc i pomnażajcie świat, a Bóg niech wam dopomaga.

Genestas z uwielbieniem poglądał na wzorową czystość panującą wewnątrz tego nawpół zrujnowanego domu. Widząc jego zdziwienie Benassis się odezwał:

— To tylko pani Vigneau umie taki ład i schludność w domu utrzymać. Niejednej gospodyni z miasteczka zdałoby się do niej na naukę przychodzić.

Żona ceglarza odwróciła głowę rumieniąc się, a twarze obu matek rozpromieniały radością, jaką im ta pochwała lekarza sprawiła, i wszystkie trzy towarzyszyły swoim gościom aż do miejsca, gdzie stały konie.

— No — rzekł Benassis, zwracając się do staruszek — powinnyście być teraz szczęśliwe. Tak-ście pragnęły zostać babkami.

— Ach! nie wspominaj pan o tém — rzekła młoda kobieta — oni mnie chyba zamęczą! Matki chcą chłopca, mąż dziewczynki, zdaje mi się, że trudno mi będzie zadowolnić ich wszystkich.

— No, a pani, czegoż żądasz? — zapytał z uśmiechem Benassis.

— Ach! panie — ja pragnę dziecka.

— Widzisz pan, już matka przez nią mówi — rzekł lekarz do kapitana, biorąc konia za uzdę.

— Do zobaczenia, panie Benassis — rzekła pani Vigneau. — Mąż mój będzie bardzo żałował, że nie był w domu, gdy się dowie o pańskich odwiedzinach.

— A nie zapomniałże posłać mi obiecanych cegieł do Grange-aux Belles?

— O nie! pan wiesz dobrze, iż zaniedbałby raczej wszystkich obstalunków, aby tylko panu usłużyć. To go tylko martwi, iż musi brać za to pieniądze, ale ja mu powtarzam, że pańskie dukaty przynoszą szczęście i to prawda.

— Do widzenia — rzekł Benassis.

I oddalił się z Genestąsem, a trzy kobiety, woźnica i trzech robotników, którzy wyszli z warsztatu, by zobaczyć lekarza, wszystko to stało jeszcze u bramy cegielni patrząc za odjeżdżającymi, tak, jak to bywa, gdy się traci z oczu ukochane istoty. Jest-to słodki obyczaj przyjaźni wszędzie zachowywanój, i słusznie — bo porywy serca zawsze jednakowo ujawniać się powinny.

Przypatrzwszy się słońcu, Benassis rzekł do swego towarzysza:

— Mamy jeszcze ze dwie dobre godziny dnia, a jeżeli pan nie jesteś zbyt zgłodniały i strudzony, to odwiedzimy pewną uroczą istotę, której prawie zawsze poświęcam czas, jaki mi między ukończeniem wizyt a obiadem zostaje. W kantonie nazywają ją *moją przyjaciółką*; ale nie myśl pan, by ten tytuł, oznaczający zwykle przyszlą małżonkę, dawał pole do najłżejszej obmowy. Choć przyjaźń, jaką jęj okazuję, czyni ją przedmiotem dość zresztą naturalnej zazdrości, wyobrażenie, jakie tu wszyscy o moim charakterze powzięli, usuwa stanowczo możliwość ubliżających podejrzeń. Jeżeli nikt nie może zrozumieć kaprysu, jakim powodowany, lożę na utrzymanie Gabryni, by mogła żyć wygodnie nie potrzebując pracować, każdy wierzy w jęj cnotę, bo każdy wie, iż gdyby uczucie moje raz przeszło granicę przyjacielskiej opieki, nie wahałbym się ani chwili pojąc ją za żonę. Ale — dodał lekarz usiłując się uśmiechnąć — nie masz dla mnie żony, ani tutaj, ani gdzieindziej. Człowiek z usposobieniem wywnętrzającym się czuje nieprzpartą potrzebę przywiązania się wyłącznie do kogoś lub czegoś, zwłaszcza gdy życie dla niego jest pustynią. To też wierzą mi pan, miej zawsze korzystne wyobrażenie o człowieku, który lubi swego psa lub konia. Wśród tęj cierpiącej gromadki, jaką mi przypadek powierzył, to biedne, chore dziewczę jest dla mnie tém, czém słońce dla mego kraju, dla Langwedocy; jest tą ukochaną owieczką, której pasterze spłwiałe wstążki na wełniastym karczku wiążą, z którą się pieszczą, której pozwalają się paść gdzie zechce, i której powolnego chodu nigdy żaden pies nie przyspieszy.

Mówiąc to Benassis, bezwiednie prawie zatrzymał konia, jakby uczucie, jakiego w tęj chwili doznawał, z pośpiesznym ruchem zgodzić się nie mogło.

— Jedźmy! — zawołał — zobaczysz ją pan. Skoro cię do niej prowadzę, to najlepszy dowód, że ją uważam jak siostrę.

Genestas milczał czas jakiś, poczem odezwał się:

— Nie będziez to niedelikatnością z mej strony, jeżeli pana o bliższe szczegóły dotyczące się owęj Gabryni poproszę? Musi to być jedna z najciekawszych osobistości wśród tych wszystkich, z którymi mnie pan zapoznałeś.

— Być może — odparł Benassis, zatrzymując znów konia — że pan nie będziesz podzielał mego zajęcia się Gabrynią. Jój los podobny do mego, jój powołanie równie jak moje zostało zwichnięte, a uczucie, jakie mam dla niej, i wzruszenie, jakiego na jój widok doznaję, pochodzą z pobratymstwa naszych przeznaczeń. Pan, który obrawszy sobie karierę wojskową siedłeś w tém za swoim popędem, lub upodobania w niej później nabrałeś, boć bez tego nie wytrwałbyś aż do téj pory pod ciężkiem jarzmem karności militarnej, ani cierpień istoty skazanej na życie w sferze nie téj, do której się urodziła. Takie cierpienia zostają tajemnicą między Bogiem, a temi, którzy je znoszą, bo im tylko znana jest potęga wrażeń, jakimi na nich oddziaływa życie. Ale i pan, zobojętniały świadek tylu nieszczęść długą spowodowanych wojną, czy nie doświadczyłeś kiedy dziwnego, niepojętego smutku na widok drzewa, o żółkłych na wiosnę liściach, drzewa umierającego przedwcześnie dlatego, że je posadzono w grunt nie posiadający potrzebnych do jego rozwoju soków? Gdy miałem lat dwadzieścia, widok skarłowaciałej, niknącej rośliny napępiał mnie melancholią, dziś patrzeć na nią nie mogę. Dziecinny mój smutek był przecuciem moich cierpień wieku dojrzałego, był rodzajem węzła tajemnego między moją terażniejszością a przeszłością, którą instynktownie odgadywałem w téj nędznej wegietacyi dążącej przed czasem do tego celu, do którego drzewa i ludzie dojść muszą.

— Domyślałem się, widząc pana tak dobrym, że wiele cierpieć musiałeś — rzekł kapitan z uczuciem.

— Widzisz pan — ciągnął dalej lekarz nie odpowiadając na powyższe słowa — mówić o Gabryni — to znaczy mówić o mnie samym. Gabrynia — to ludzka roślina w grunt niewłaściwy posadzona, którą trawią smutne, głębokie, wciąż pomnażające się myśli. Ona biedaczka cierpi ciągle, dusza w niej zabija ciało. Mógłbym więc patrzeć obojętnie na tę słabą istotę, ofiarę najsroźszego a najmniej przez egoistyczny świat pojmowanego nieszczęścia, skoro ja sam, mężczyzna zahartowany na cierpienia, doznaję prawie co wieczór pokusy zrzucenia z siebie ciężaru podobnej niedoli? I być może, żebym jej uległ, gdyby nie religia, która łagodzi moje smutki i w sercu słodką nadzieję rozlewa. Gdybyśmy wszyscy nie byli dziećmi jednego Boga, Gabrynia mogłaby się jeszcze nazwać siostrą moją w cierpieniu.

I mówiąc to, wypuścił konia galopem, wyprzedając Genestasa, jakby się obawiał dalszej w tym duchu rozmowy. Gdy się po chwili zrównali, Benassis zaczął znowu:

— Natura stworzyła to biedne dziewczę na niedolę, jak inne kobiety stwarza na przyjemności i rozkosze. Rozpatrując się w tych dziwnych przeznaczeniach niepodobna prawie nie uwierzyć w jakieś drugie, po za-ziemskie życie. Na Gabrynię wszystko oddziaływa: gdy czas pochmurny i dżdżysty, ona także smutna *placze z niebem* według swego własnego wyrażenia. Śpiewa z chórem ptasząt, uspokaja się i wypogadza w miarę, jak błękitnieją obłoki, jednem słowem staje się piękną w dzień piękny. Woń kwiatów jest dla niej źródłem niewyczerpanej przyjemności; widziałem, jak raz dzień cały napawała się zapachem rezedy, po jednym z tych dżdżystych poranków, które kwiatom życie, a całej naturze świeżość jakąś i blask przynoszą. Gdy powietrze jest ciężkie, elektrycznością przesycone, Gabrynia kładzie się do łóżka, narzeka na tysiące dolegliwości nie wiedząc sama, co ją boli, a gdy pytam, odpowiada mi, że kości w niej miękną, a ciało topnieje. W takich chwilach, jeżeli czuje, że żyje, to tylko dlatego, iż cierpi, *serce gdzieś z niej ucieka*, jak sama się wyraża. Niejednokrotnie zastałem ją płaczącą i wpatrzoną, w jaki z tych cudnych widoków, któremi zachód słońca nasze góry obdarza, gdy pysznie zabarwione i fantastycznie ukształtowane obłoki gromadzą się nad złocistemi szczyty. Czemu płaczesz, kochanko? pytałem. „Nie wiem — odpowiadała mi wtedy — stoję tu, patrzę tam w górę i z tego patrzenia nie wiem już sama, gdzie jestem.” Cóż tam takiego widzisz? „Nie mogę panu powiedzieć”. Wtedy, próżno-byś pan do niej przez cały wieczór zagadywał, nie wydobędziesz z niej ani pół słowa, rzuci ci tylko czasem myślące spojrzenie i będzie siedziała nieruchomo, z wilgotnemi oczyma, w widoczném skupieniu. To skupienie jój jest tak głębokie, że się innym udziela, na mnie przynajmniej Gabrynia oddziaływa wtedy jak chmura przeciążona elektrycznością. Pewnego razu chciałem ją koniecznie do mówienia zmusić, zadawałem tysiące pytań, użyłem nawet słów ostrzejszych, nic to nie pomogło, biedaczka rozplakała się tylko. W innych chwilach, Gabrynia jest wesoła, uprzejma, ży-

wa, uśmiechnięta, dowcipna, rozmawia chętnie i wyraża poglądy świeże i oryginalne. Do pracy ciąglej, obowiązkowej jest zupełnie niezdolną: poszła naprzykład czasem w pole do roboty i godziny całe stała przypatrując się, to jakiej roślince, to biegowi wody, to cudnym, malowniczym widokom, jakie na dnie przezroczystych spokojnych strumieni spoczywają, tym mozaikom złożonym z kamyczków, ziemi, piasku, mchu, roślin wodnych i brunatnych osadów. Kiedym tu przybył, biedna dziewczyna umierała prawie z głodu; upokarzała ją to, że musi jeść chleb łaski, to też tylko ostateczna nędza mogła ją zniewolić, by o miłosierdzie poprosiła? Często wstyd rozbudzał w niej energią, pracowała tedy dni kilka, ale wnet siły ją opuszczały i wyczerpana musiała porzucać rozpoczętą robotę, by się do łóżka położyć. Ozdrowiawszy trochę, szła znów do jakiego sąsiedniego folwarku, najmowała się do paszenia bydła, ale po niejakiem czasie, choć dobrze obowiązek swój pełniła, żądała uwolnienia nie mówiąc dlaczego. Zapewne praca jednostajna była ciężkiem jarzmem dla niej, co jest uosobieniem niezależności i kaprysu. Wtedy brała się do zbierania trufli i grzybów i szła je sprzedawać w Grenobli. Tam, skuszona widokiem jakichś świecideł, i mając trochę pieniędzy, kupowała wstążki, krzyżyki, paciorki, nie myśląc, zaco chleba na jutro dostanie. A jeśli potem jakiej dziewczynie która z tych fraszek przypadła do gustu, Gabrynia oddawała ją zaraz, szczęśliwa, że komus przyjemność zrobić może, bo ona tylko sercem żyje. Ztąd też ludzie kochają ją, obżalowują i pomiatają nią naprzemiennie. Biedne dziewczę cierpi za wszystko: za swe lenistwo, piękność, kokieterę; o! bo jest kokieterką; przytém ciekawą i łakomą, jedném słowem kobietą! Z naiwnością dziecka daje się powodować swoim wrażeniom i upodobaniom; opowiedz jój pan o jakim pięknym czynie, a będzie się rumienić i płakać z radości, wspomni o złodziejach, a zblednie z przerażenia. Jest-to najpiękniejsza natura, najlepsze serce, najwygórowańsza uczciwość, jaką tylko na świecie spotkać można; powierz jój pan sto sztuk złota, a zakopie je w ziemię i dalej na chleb żebrac będzie.

Głos Benassisa zadrżał lekko, gdy wymówił te słowa.

— Chciałem ją wypróbować — ciągnął dalej po chwilowej przerwie — i później żalowałem tego. Boć taka próba nie jest-że szpiegostwem, a przynajmniej dowodem nieufności?

Tu lekarz umilkł i zadumał się, nie zważając, w jakie zakłopotanie powyższe słowa wprawiły kapitana, który chcąc je ukryć, zaczął z pośpiechem rozplątywać niesplątane wcale cugle.

— Pragnąłbym wydać za mąż moję Gabrynię — odezwał się znowu Benassis — podarowałbym chętnie najlepszy mój folwark jakiemu poczciwemu chłopcu, któryby ją uszczęśliwił, a onaby potrafiła być szczęśliwą. Biedactwo! kochałoby dzieci swoje do szaleństwa, ten nadmiar uczuć, który ją przepelnia, znalazłby upływ w tém jedném, wszystkie inne streszczającém w sobie: w *macierzyństwie*; ale dotąd nikt jój się nie zdołał podobać. A jednak, wrażliwą jest nadzwyczajnie, wie o tém i sama mi się do tego przyznała, gdy spostrzegła, że to w niej odkrył. Gabrynia należy do niewielkiej liczby kobiet, w których najłżejsze dotknięcie wywołuje niebezpieczne wstrząśnienie, dlatego tém więcej cenić w niej trzeba jój roztropność i dumę kobiecą. Dzięki-to i niedostępne jak jaskółka! Ach! co to za bogata natura! Ona jest stworzona na kobietę majątną i kochaną. Jaka-by to była dobroczynna pani i wierna żona! A tak, w dwudziestu dwóch latach już upadła pod ciężarem duszy swojej i niknie ofiarą fibr zbyt silnie drgających, organizacyi za bujnej, czy za delikatnej. Gorąca a zdradzona miłość doprowadziłaby ją do waryacyi, tę moję biedną Gabrynię. To też, gdy m zbadał dobrze jój usposobienie, gdy m się przekonał o prawdziwości jój ataków nerwowych i elektrycznych wstrząśnień, o wpływie, jaki na nią atmosferyczne zmiany i lunacye księżycy wywierają, który to fakt ściśle badałem i stwierdziłem: od tej pory zacząłem ją uważać jako istotę wyjątkową, której chorobliwą egzystencyą ja tylko pojąć mogłem. Jest-to tedy, jak-em już powiedział, moja ulubiona owieczka. Ale zobaczysz ją pan wkrótce, bo oto już widać jój domek.

W tej chwili jeźdźcy mieli już po-za sobą prawie trzecią część góry, którą przebywali zwolna po skłonach zarosłych krzakami. Na zakręcie jednego z takich skłonów, Genestas ujrzał domek Gabryni. Parkan dość wysoki, by mógł jakąś rękojmię bezpieczeństwa stanowić, a jednak nie zasłaniający widoku, okrążał ładny, obszerny trawnik zasadzony drzewami i parą srebrnych kaskad przecięty. Sam domek zbudowany z cegieł, pokryty płaskim na parę stóp wystającym dachem, z pomalowanemi nazieleno drzwiami i okien-

nicami, ślicznie wśród tego otoczenia wyglądał. Dzikie róże pięły się koło czystych ścian jego, a rozkwitłe akacje, orzech olbrzymi i kilka drzew pachnących wznosiły nad nim zielone swe głowy. W głębi czerniał las buków i jodeł, na którego tle kontury domku jasno się rysowały. Powietrze przepelnione było tysiącem woni różnych płynących z gór i z ogródka Gabryni. Niebo czyste i spokojne rumieniło się na zachodzie, rzucając odbłask różowy na oddalone szczyty. Z tej wysokości można było widzieć całą dolinę od Grenoble aż do gromady skał i połyskującego u stóp ich jeziora, które wczoraj przebywał Genestas. Po-nad domem w znacznej odległości ciemna linia topoli oznaczała główny gościniec wiodący od Grenoble do miasteczka. Wreszcie miasteczko samo, ukośnemi promieniami słońca przetrzięte błyszczło jak dyament tysiącem szyb, w których łamały się czerwone smugi światła. Z kolei Genestas zatrzymał konia i, ukazując Benassisowi rozciągający się przed ich oczyma widok, wymówił:

— Od czasu zwycięstwa pod Wagram i powrotu Napoleona do Tuileries w 1815 r. nie doznałem jeszcze tak silnego wzruszenia. Panu zawdzięczam tę przyjemność, bo pan nauczył mnie oceniać piękność krajobrazów.

— Zapewne — rzekł lekarz z uśmiechem — lepiej budować miasta, niż je zdobywać.

— O! wybac pan! a wzięcie Moskwy i poddanie się Mantui! To też wieczna dla nas wszystkich chwała! Pan jesteś dzielny człowiek, ale i Napoleon miał złote serce, gdyby nie Anglia, bylibyście się porozumieli, i on-by nie był upadł, cesarz mój kochany! boć teraz kiedy już umarł, a tutaj szpiega nie ma, mogę wyznać, że go kochałem i Kocham! Co to był za człowiek! On każdego przeczuł i odgadnął. Byłby pana z pewnością w radzie państwa umieścił, bo to był administrator, co się nazywa! O wszystkim wiedział! nawet ile któremu żołnierzowi naboju w ładownicy po rozprawie zostało. Biedaczysko! Gdyś mi pan o swojej Gabryni opowiadał, myślałem o nim, jak tam na wyspie Świętej Heleny dogorywał. To mi dopiero klimat i życie dla człowieka przyzwyczajonego wciąż nogi w strzemionach trzymać, a plecy o tron opierać. Powiadają, że się tam ogrodnictwem zabawiał. Do dyaska! nie był on stworzony do sadzenia kapusty! A teraz, my musimy służyć Burbonom, i służyć im wiernie, boć, pomimo wszystkiego, Francja jest zawsze Francją, jak to pan wczoraj powiedziałeś.

Mówiąc to, Genestas zsiadł z konia i idąc machinalnie za przykładem Benassisa przywiązał go do drzewa.

— Czyżby ję w domu nie było? — rzekł lekarz, nie widząc Gabryni na progu.

Weszli do wnętrza, ale dolny pokój zastali pustym.

— Zapewne usłyszała tętent dwóch koni i pobiegła na górę przystroić się w jaki fałaszek — rzekł z uśmiechem lekarz.

Zostawił Genestasa samego i wszedł na schody szukać Gabryni. Komendant tymczasem rozglądał się po pokoju. Ściany jego wyklejone były papierem blado-popielatym usianym różami; na podłodze zamiast kobierca leżała mata słomiana. Meble proste, drewniane i żardynierki plecione z łoziny, przystrojone kwiatami i mchem, zapełniały pokój. Okna zdobiły firanki z białego perkalu z ponsowemi frendlami. Na kominku stało zwierciadło i skromny wazon porcelanowy między dwiema lampami, na stole leżało pokrajane płótno, parę zaczętych koszul i przybory do szycia: koszyczek, nożyczki, nici, igły. Wszystko tu było schludne, świeże, jak muszla wyrzucona falą morską na piaszczyste wybrzeże. Po drugiej stronie korytarza, w którym były schody, Genestas zobaczył kuchnię. Widocznie piętro tak jak parter musiało się tylko z dwóch sztuk składać.

— Pójdź-żeż, nie bój się — ozwał się na górze głos Benassisa.

Genestas usłyszawszy te słowa cofnął się prędko z korytarza do pokoju, do którego wnet weszła młoda, szczupła dziewczyna ubrana w perkalową suknię w różowe paseczki. Twarz ję zapłoniona ze wstydu i trwożliwości nie miała w sobie nic szczególnego, prócz pewnego splaszczania rysów, co nadawało ję podobieństwo do tych fizygnomij rosyjskich i kozackich, które po klęskach 1814 roku tak często we Francji spotkać można było. Gabrynia miała w istocie jak mieszkańcy północy nos nieco zadarty i wklęsły, usta ję były duże, podbródek mały, ręce czerwone, stopy szerokie i silne jak u wieśniaczek. Cera ję, opalona nieco i zgrubiała od słońca, bladą jednak była jak kwiat zwiędły, a barwa ta czyniła ję fizygnomią interesującą od pierwszego spojrzenia; przytém błękitne oczy Gabryni miały tak słodki wyraz, ruchy ję były tak wdzięczne, a głos tak miły i melodyj-

ny, że pomimo pozornej sprzeczności rysów jęj z zaletami, które Benassis komendantowi zachwalał, ostatni poznał w niej fantastyczną i chorobliwą istotę, ofiarę ustawicznych cierpień natury, która się rozwinąć nie mogła. Roznieciwszy żywo ogień z suchych gałęzi, Gabrynia usiadła w fotelu i wzięła zaczętą koszulę, w pół zawstydzona, nie śmiejąca podnieść oczu, ale spokojna na pozór, choć szybkie falowanie jęj biustu, którego piękność uderzyła Genestasa, zdradzały obawę.

— I cóż, moje dziecko, dalekoż już postąpiłaś z twoją robotą? — zapytał Benassis bawiąc się kawałkami płótna pokrajanymi na koszule.

Gabrynia spojrzała na lekarza nieśmiało i błagająco.

— Nie łaj mnie pan — wymówiła — nie tknęłam jęj nawet dzisiaj, choć to pan mi ją dałeś i dla ludzi, którym bardzo bielizny potrzeba, ale, czas był tak piękny! wyszłam się przejść trochę, nazbierałam panu grzybów i trufli i zaniosiłam je Jacencie. Bardzo była kontenta z tego, bo mówiła, że u pana dziś goście na obiedzie; a i mnie to ucieszyło, żem tak odgadła, czego potrzeba. Coś mi szeptało, by iść dziś na grzyby.

I powiedziawszy to, spuściła znów oczy na robotę.

— Śliczny ma panienska domek — odezwał się Genestas.

— Nie jest on moim — odparła patrząc na niego oczyma, które się rumienić zdawały.

— Należy do pana Benassisa — i z wolna spojrzenie na lekarza przeniosła.

— Wiesz dobrze moje dziecko — rzekł ten-że — iż cię z niego nigdy nie wypędzą.

Gabrynia podniosła się raptem i wyszła.

— Jakież ona na pana zrobiła wrażenie? — zapytał lekarz.

— Dziwnie się czuję wzruszonym — odparł Genestas. — A! aleś jęj pan śliczne gniazdko urządził.

— E! trochę papieru po piętnaście czy dwadzieścia su, tylko, że gustownie dobranego, i oto wszystko. Meble niewiele znaczą; zrobił je mój koszykarz, chcąc mi swą wdzięczność okazać! Gabrynia z kilku łokci perkalu sama sobie firanki sporządziła. Ten domek i te skromniuchne sprzęciki wydają się panu ładne dlatego, że je pan spotykasz gdzieś na skłonie góry, w zabitej deskami okolicy, gdzie się pan nic porządnego znaleźć nie spodziewałeś; ale cała tajemnica tego uroku polega na tém, że domek Gabryni harmonizuje niejako z tą naturą, która zgromadziła dookoła niego parę czystych strumyków i kilka wdzięcznie ugrupowanych drzew, i ubrało trawnik najpiękniejszą zielonością i wonnemi fiołkami.

W tęg chwili wróciła Gabrynia i lekarz zwrócił się do niej z zapytaniem: — Co ci jest?

— Nic, nic — odrzekła — myślałam, że się któraś z moich kur zabłąkała.

Mówiła nieprawdę, ale lekarz tylko poznał się na tém i szepnął jęj do ucha: — Płakałaś.

— Dlaczego mi pan to przy kim mówisz? — odparła.

— Nie dobrze panienska robi, że żyje tak samotnie w tęg ślicznej klateczce — odezwał się Genestas. — Potrzeba-by paniencie męża.

— Wiem o tém — odpowiedziała — ale, cóż robić, biedną jestem i trudną w wyborze. Nie mam wcale ochoty nosić w pole dwojaków z jedzeniem, piastować dzieci po całych dniach, łątać odzież męża i cierpieć nad nędzą tych, których-bym kochała, nie mogąc im w niczém ulżyć. Ksiądz proboszcz powiada, że takie myśli są niechrześcijańskie, czuję to dobrze, ale cóż ja na to poradzę! Czasem wolę zjeść kawałek suchego chleba, niż obiad sobie zgotować. Po-cóż mam kogo memi wadami unieszczęśliwiać? Mąż kochający zabijałby się, by moim zachceniom dogodzić, a to-by nie było dobrze. Zły jakiś los nade mną ciąży i sama go znosić muszę.

— A zresztą, ona się już urodziła leniuszkiem, moja biedna Gabrynia — rzekł Benassis — i trzeba ją przyjmować taką, jaką jest. To, co mówiła przed chwilą, znaczy, że jeszcze nikogo nie kochała — dodał śmiejąc się i powstawszy wyszedł na trawnik.

— Panienska musi bardzo kochać pana Benassisa — zapytał Genestas.

— O tak! panie, tak jak wielu ludzi w kantonie dałabym się za niego posiekać. Ale on, który leczy wszystkich, sam cierpi i cierpienia tego nic uleczyć nie może. Pan jesteś jego przyjacielem, może wiesz, co mu jest takiego? Któż mógł takiemu jak on człowiekowi, co jest obrazem Boga na ziemi, zmartwienia narobić? Znam tu takich, co myślą, że zboże im lepiej rośnie, gdy on przez ich pola przejdzie.

— A panienska cóż myśli?

— Ja, proszę pana, gdy go zobaczę — tu zawahała się nieco — ja jestem już na cały dzień szczęśliwą... Schyliła głowę i ze szczególną szybkością szyć zaczęła.

— No i cóż! czy kapitan opowiedział ci co o Napoleonie? — zapytał wchodząc lekarz.

— Pan widział Napoleona — zawołała Gabrynia i wpatrzyła się w komendanta z niepoohamowaną ciekawością.

— Ba! — odparł Genestas — więcej jak tysiąc razy.

— Ach! jakbym pragnęła coś wojskowego usłyszeć.

— Jutro przyjdziemy tu może do ciebie na kawę i wtedy kapitan opowie ci *coś wojskowego*, moje dziecko — rzekł Benassis obejmując ją i całując w czoło. — Widzisz pan to moja córka — dodał zwracając się do Genestasa — gdy nie pocałuję jój w czoło, czegoś mi brak przez cały dzień.

Gabrynia uściśnęła rękę Benassisowi szepcząc: Pan taki dobry! i choć goście pożegnali się z nią, poszła za nimi, by patrzeć jak na koń wsiadać będą. Gdy Genestas był już na siodle, szepnęła do ucha Benassisowi: — Kto to jest ten pan?

— Ha! — odparł lekarz kładąc nogę w strzemiono — może mąż dla ciebie, kto wie!

Gabrynia stała nieruchomie patrząc za odjeżdżającymi, a ci gdy skręcili już na drogę po za ogrodem, ujrzeni ją jeszcze stojącą na stosie kamieni i skinieniem głowy przesyłającą im ostatnie pożegnanie.

— Coś nadzwyczajnego jest w tej dziewczynie — rzekł Genestas do Benassisowi, gdy się już znacznie od domu oddalili.

— Nieprawdaż? — odpowiedział lekarz. — Ze sto razy powtarzałem sobie, że byłaby z niej najmiłsza w świecie żona, ale nie mógłbym kochać ją inaczej jak siostrę lub córkę, serce moje już zamarło.

— Któż są jój rodzice? czy żyją jeszcze? — zagadnął komendant.

— A! to cała historia — odparł Benassis. — Nie ma ona już ani ojca, ani matki, ani nikogo z krewnych. Gabrynia urodziła się w miasteczku. Ojciec jój, wyrobnik z Saint-Laurent du Pont, nazywał się *Grabiec* zapewne przez odmianę grabarza, bo od niepamiętnych czasów smutny obowiązek chowania umarłych dziedzicznym był w jego rodzinie. Wyrobnik ten ożenił się z miłości z pokojówką, nie wiem już jakiej hrabiny, której posiadłość o kilka mil od miasteczka leży. Tutaj, jak wszędzie po wsiach, uczucie przy zawieraniu małżeństw gra bardzo podrzędną rolę. Zazwyczaj wieśniak żeni się dlatego, aby mieć dzieci i gospodynię w domu, która-by mu gotowała obiad, nosiła go w pole, przędła i naprawiała odzież. Oddawna też podobny wypadek nie zdarzył się tutaj, gdzie często młodzieniec porzuca swoją narzeczoną dla drugiej bogatszej od niej o jakie parę morgów gruntu. Los Grabca i jego żony nie był tak szczęśliwym, by mógł odzwyczaić naszych Delfińczyków od wyrachowania w żenieniu się. Grabcowa, która była bardzo piękną, umarła przy urodzeniu córki. Mąż tak się zmartwił tą stratą, że tegoż samego roku w grób się położył nie zostawiając swemu dziecku nic zgoła prócz życia, a i to bardzo wątpliwe i niepewne było. Jakaś litościwa sąsiadka zajęła się biedną Gabrynią i chowała ją do lat dziesięciu. Gdy jednak coraz trudniej przychodziło jój żywić podrastającą dziecinę, wysłała ją żebrac na drodze, bo właśnie była-to pora, kiedy najwięcej podróżnych snuje się w tych stronach. Pewnego dnia, sierotka poszła prosić o kawałek chleba do pałacu hrabiny, gdzie ją przez pamięć matki zatrzymano. Tam przez długi czas biedna mała, mająca zostać pokojówką córki pani domu, która w pięć lat potem za mąż wyszła, była ofiarą fantazyi magnatów. Dobroczynność tych ludzi po większej części żadnej rękami nie przedstawia; zmienną jest i kapryśną jak oni, którzy naprzemian miłosierni, przyjacielscy, despotyczni i wymagający pogorszają i tak oplakane położenie nieszczęśliwych dzieci, lasce ich powierzonych, i bawią się z ich życiem, sercem i przyszłością uważając je za rzecz małej wagi. Gabrynia stała się z początku prawie towarzyszką młodej dziewczynki; nauczono ją czytać, pisać, a przyszła pani nieraz dla zabawy uczyła ją grać na fortepianie. I tak naprzemiany będąc pokojówką i panną do towarzystwa stała się jakąś niekompletną, do życia nieurobioną istotą. Nabrała upodobania w zbytku, w strojach, przyzwyczała się do warunków, zupełnie z jój rzeczywistym położeniem niezgodnych. Wprawdzie, późniejsze nieszczęścia przekształciły ją w ostrą swoją szkole, ale nie zdołały zatrzeć w niej nieokreślonego poczucia, że jest do lepszej stworzona doli. Wreszcie, pewnego dnia, dnia bardzo smutnej pamięci dla biednej dziewczyny, młoda hrabina zastała Gabrynię, która już wtedy tylko jój pokojówką była, jak ustrojona w jój balową

suknię tańczyła przed lustrem. Biedna sierota, podówczas szesnastoletnia, została wydalona bez litości, a nie umiejąc sobie poradzić, cierpiała nędzę, błąkała się po gościńcach, żebrała i pracowała naprzemiany, jak to już panu mówiłem. Często chciała się rzucić do wody, lub oddać pierwszemu lepszemu; zazwyczaj kładła się na słońcu pod murem i leżała tak nieruchoma, milcząca z głową ukrytą w trawie; wtedy podróżni rzucali jęj trochę drobnej monety być może dlatego, że ich o to nie prosiła. Rok cały przeleżała w szpitalu Annecy, odchorowawszy ciężko żniwa, podczas których pracowała w nadziei, że sobie tém śmierć przyspieszy. Potrzeba słyszeć, jak ona sama opowiada swoje uczucia i myśli w tej epoce życia; naiwne jęj zwierzenia wiele mają w sobie wdzięku i żywe budzą zajęcie. Wróciła do miasteczka właśnie wtedy, gdy zamierzałem się w niém osiedlić. Pragnąłem poznać moralną stronę mojej gminy, Gabrynia była jęj dzieckiem, zacząłem więc badać jęj charakter, który mnie niepospolitością swą uderzył, a przekonawszy się o wadliwości jęj fizycznego ustroju, postanowiłem wziąć w opiekę to biedne stworzenie. Być może, iż z czasem przyzwyczai się do jakiej pracy, choćby do szycia; ale w każdym razie los jęj już jest zapewniony.

— To źle tylko, że mieszka tak zupełnie sama — zauważył Genestas.

— Nie zupełnie, jedna z moich pasterek przychodzi do nięj na noc — odpowiedział lekarz. — Niedaleko jęj domku trochę wyżej w górę leży jeden mój folwark; nie mogłeś pan widzieć jego zabudowań, bo zasłaniają je jodły. O! bezpieczną ona tu jest zupełnie! Zresztą, Bogu dzięki, nie masz urwisów w naszej dolinie, a jeżeli się jaki znajdzie, posyłam go do wojska, i bywa z niego doskonały żołnierz.

— Biedne dziewczę! — rzekł Genestas.

— O! ludzie tutejsi nie ubolewają nad nią wcale — przemówił Benassis — przeciwnie uważają ją za bardzo szczęśliwą; ale pomiędzy nią a innymi kobietami zachodzi ta różnica, że tamtym Bóg dał siłę, a tej słabość, lecz oni tego nie widzą.

W chwili, gdy obaj jeźdźcy wyjeżdżali na główny gościniec do Grenobli wiodący, Benassis przewidując, jakie wrażenie ten nowy widok na Genestasię sprawi, zatrzymał konia, by się jego podziwem nacieszyć. Dwa olbrzymie pasy zieloności rozciągały się jak oko zasięgnię po obu stronach drogi szerokiej, czystej jak ogrodowa aleja, uwieńczonej dwoma rzędami pysznych włoskich topoli, których nie strzyżone korony spletały się z sobą w górze tworząc wspaniałe wiszące, szmaragdowe festony. Jedna strona drogi, już cieniem wieczornym osłonięta, wyglądała jak obszerna ściana czarnych liści, podczas gdy druga, silnie oświetlona zachodzącym słońcem, które młodym płonkom złotawą nadawało barwę, mieniła się w fantastycznych grach światła i cieni.

— O! jak pan musisz być szczęśliwym! — wykrzyknął Genestas. — Gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie źródło pociechy i zadowolenia odkrywasz...

— Ukochanie natury — odpowiedział lekarz — to jedyne uczucie, które nadziei człowieka nie zawodzi. W niém nie masz rozczarowań. Patrz pan na te topole. Dziesięć lat już sobie liczą. Prawda, że trudno piękniejsze zobaczyć?

— Bog jest wielkim — wymówił kapitan, zatrzymując się pośrodku tej drogi, której ani początku, ani końca dostrzedz nie mógł.

— Dzięki panu za te słowa — zawołał Benassis. — Miło mi, że pan mówisz to, co ja sobie tu często z cicha powtarzam. Zaprawdę jest w tym widoku coś dziwnie religijnego. Wobec olbrzymiej tej przestrzeni wyglądamy jak dwa maleńkie punkciki, a poczucie naszej nicości zawsze nas ku Bogu prowadzi.

I jechali tak dalej zwolna, w milczeniu uroczystém, jakby sklepienie nawy kościelnej unosiło się nad ich głowami; tylko odgłos kopyt końskich przerywał ciszę.

— Ileż tu wzruszeń, ile wrażeń, o jakich mieszkańcy miast pojęcia nie mają! — ozwał się wreszcie lekarz. — Czujesz pan zapach topoli i modrzewiów? Co za rozkosz!

— Stójmy! — zawołał Genestas — słyszysz pan, co to takiego?

W tej chwili śpiew jakiś doleciał ich z oddali.

— Kto to śpiewa? mężczyzna, kobieta czy ptak? — zapytał cicho komendant — czy może tajemniczy głos natury?

— Wszystko to jest potrochu — odparł lekarz zsiadając z konia i przywiązując go do topoli.

Dał znak Genestasowi, by toż samo uczynił i obaj zwolna poszli ścieżką zarosłą z obu stron krzakami czeremchy, której odurzająca woń rozlewała się tém silniej w wilgot-

nój, wieczornej atmosferze. Promienie słońca przeciskając się z trudnością przez gęste zwoje topoli, z tém większą siłą, zwalczwszy tę zaporę, wpadały na ścieżkę, oblewając czerwonymi strumieniami światła stojącą na końcu jój chatę. Słomiany dach tej chaty, zazwyczaj brunatny jak kasztanowa łupina, wyglądał teraz jakby złocistym piaskiem przysypany, a nędzne ściany, zczerniałe drzwi i niekształtne okna nabrały w tej chwili przelotnego jakiegoś wdzięku i uroku, jak nieraz twarz ludzka pod wpływem namiętności, która ją ożywia i zabarwia. Często wśród pól i lasów odkrywa się oczom podróżnego taki czarowny obrazek wiejski, na którego widok chciałoby się powtórzyć z apostołem, mówiącym do Chrystusa na górze: *Rozbijmy namiot i zostańmy tu*. Genestas głęboko przejęty, wpatrywał się w cudny ów krajobraz, a w powietrzu tymczasem płynął śpiew czysty, słodki, smutny jak światło gasnące, ten obraz śmierci, którą co wieczór słońce zachodzące na niebie przypomina człowiekowi, a o której na ziemi mówią mu kwiaty i owady, co tylko jeden dzień życia mają przed sobą. O zmierzchu niebo obleka się jakąś barwą melancholiczną, i śpiew, który dźwięczał w tej chwili, melancholiczny był, śpiew znany zresztą, śpiew miłości i żalu, który niegdyś podzegał wrozoną nienawiść Francji przeciwko Anglii, a któremu Beaumarchais poetycznego wdzięku użył wprowadzając go na scenę teatru francuzkiego przez usta pafia, który serce swe przed swą matką chrestną otwiera. Niewidzialny śpiewak nucił samą melodyą bez słów, a głos jego był tak tęskny, tak żaloszny, że wnikać musiał do duszy każdego słuchacza i rozrzewnieniem ją napęlić.

— To śpiew łabędzi — wymówił Benassis. — Wiek cały czekać trzeba, by drugi raz podobny głos usłyszeć. Śpieszmy! trzeba mu przeszkodzić. To dziecko się zabija! Byłoby okrucieństwem z naszej strony słuchać go dłużej. I powiedziawszy to — zawołał:

— Cicho bądź! Jasiu! cicho bądź!

Śpiew ucichł. Genestas stał na miejscu nieruchomy i zdumiony. Chmura przysłoniła słońce i piękność krajobrazu znikło wraz z ostatnią nutą. Cień, chłód, milczenie zastąpiły świetność słonecznych blasków, ciepłe wyziewy atmosfery i śpiew dziecka.

— Dlaczego — mówił Benassis — dlaczego mnie nie słuchasz? Nie będę ci już dawał ani ciastek, ani daktyli, ani innych dobrych rzeczy. Chcesz więc umrzeć i zmartwić swoją biedną matkę?

Genestas wszedł na dość czysto utrzymane podwórko i zobaczył piętnastoletniego może chłopca, wątłego jak kobieta. Włosy miał jasne i rzadkie, a policzki mocno rumiane, jakby się uróżował. Na widok lekarza powstał z wolna z ławki, na której siedział pod dużym krzakiem jaśminu, wmieszanego w rozkwitłe gałęzie bzu, który rósł tam dziko i bujnie.

— Wiesz dobrze — mówił lekarz — iż kazałem ci kłaść się przed zachodem słońca i zabroniłem wystawiać się na chłód wieczorny i mówić. Jak śmiesz śpiewać?

— Ach! panie Benassis, tak tam było ciepło! a to tak przyjemnie, gdy ciepło. Mnie zawsze zimno. Siadłem sobie, dobrze mi było, i tak dla zabawki zacząłem sobie nucić: *Malbroug idzie na wojenkę*, i sam siebie słuchałem, bo głos mój podobny był do fujarki pańskich pastuszków.

— No! mój Jasiu, niech się to już nie powtórzy, rozumiesz? Daj mi rękę.

Wziął go za puls i patrzył badawczo w błękitne oczy chłopca, gorączkowym blaskiem błyszczące.

— Widzisz, jesteś cały w potach; byłem tego pewny. Matki twojej nie ma w domu?

— Nie, proszę pana.

Chore dziecko, lekarz i kapitan weszli do izby.

— Zapal pan świecę, kapitanie Bluteau — rzekł Benassis pomagając Jasiowi w rozbieraniu się z grubych łachmanów.

Gdy w izbie jasno się zrobiło, Genestas mógł zauważyć nadzwyczajną chudość chłopca, na którym już nic prócz skóry i kości nie było. Benassis opukał mu piersi, przysłuchując się uważnie złowrogim odgłosom, jakie się z niej pod jego palcami wydobywały, poczem okrył Jasia koldrą i odstąpiwszy parę kroków badawczo się w niego wpatrywał.

— Jakże się czujesz teraz, moje dziecko? — zapytał.

— Dobrze, proszę pana.

Benassis przysunął do łóżka stolik na czterech toczonych nogach, poszukał na kominku szklanki i fiolki i przyrządził jakiś napój domieszawszy do wody kilka kropel brunatnej cieczy, którą z fiolki starannie przy świecy odmierzył.

— Twoja matka coś długo nie wraca.

— Już idzie, proszę pana, słyszę ją na ścieżce.

Lekarz i kapitan czekali rozglądając się po izbie. U stóp łóżka leżało posłanie z mchu, na którym matka Jasia zapewne w ubraniu sypiała. Genestas wskazał je palcem Benassisowi, a ten zlekka pochylił głowę jakby na znak, że i on także zauważył i ocenił ten objaw macierzyńskiego poświęcenia. Wtém na podwórku dały się słyszeć ciężkie stąpania i lekarz wyszedł z izby.

— Trzeba będzie pilnować Jasia tej nocy, matko Colas. Gdyby się skarżył na duszność, dacie mu pić z tej szklanki, co stoi na stoliczku. Uważajcie tylko, aby pił niewiele. Szklanka powinna mu na całą noc wystarczyć. Nie ruszajcie zwłaszcza fiolki, i przedewszystkiem odmieńcie mu bieliznę; cały jest w potach.

— Nie mogłam mu uprać koszul dzisiaj, kochany paneczku; musiałam zanieść konopie do Grenobli, bo mi trzeba było pieniędzy.

— No! to przyślę wam koszulę.

— Więc jemu gorzej, robaczki? — zapytała kobieta.

— Nie spodziewajcie się nic dobrego, moja matko! Popęnił wielką niedorzeczność śpiewając, ale nie gniewajcie się na niego. Gdyby się bardzo w nocy skarżył, przyślijcie po mnie sąsiadkę. Do widzenia.

Lekarz przywołał swego towarzysza i poszli ścieżką napowrót.

— Ten chłopiec ma suchoty? — zapytał komendant.

— Niestety! tak. Jeżeli natura cudu nie dokaże, nauka go nie uratuje. Profesorowie szkoły medycznej w Paryżu mówili nam często o zjawisku, którego pan byłeś świadkiem. Pewne choroby tego rodzaju sprowadzają w organach głosowych zmiany, których skutkiem jest krótkotrwały dar śpiewania z taką doskonałością, jakiej żaden wirtuoz dorównać nie jest w stanie. Smutny dzień przepędził pan dziś ze mną — mówił dalej lekarz wsiadając na konia — wszędzie cierpienie, wszędzie śmierć, ale wszędzie też poddanie się woli Bożej widziałeś. Wieśniacy umierają filozoficznie i cierpią w milczeniu. Ale nie mówmy już o śmierci i popędźmy konie; trzeba nam przed nocą do miasteczka zdążyć, byś pan się mógł jego nową części przypatrzeć.

— Ho! patrz pan! gdzieś się tu pali! — zawołał Genestas ukazując miejsce na górze, z kąd się snop płomieni podnosił.

— Nie jest-to niebezpieczny ogień — odparł lekarz. — Któs tam zapewne wapno wypala. Przemysł ten niedawno wprowadzony spożytkowuje nasze zarośla.

W tej chwili wystrzał z fuzji rozległ się w powietrzu. Benassis wydał mimowolny okrzyk i rzekł z giestem zniecierpliwienia:

— Jeżeli to Butifer, zobaczymy, kto z nas kogo przemoże.

— Strzał padł ztamtąd — rzekł Genestas wskazując laszek bukowy, ponad niemi w górze leżący. — Tak! ztamtąd, wierzaj pan słuchowi starego wojaka.

— Śpieszmy tam co żywo — zawołał Benassis, kierując konia prosto ku wskazanemu miejscu, i popędził jak strzała przez pola i rowy, na nic nie bacząc, tak mu chodziło o to, by mógł schwytać strzelca na gorącym uczynku.

— Człowiek, którego pan szukasz, uciekł — zawołał Genestas, podążający z trudnością za lekarzem.

Benassis żywo zawrócił konia, a poszukiwany ukazał się wkrótce na stromiej skale, o jakie sto stóp po nad goniącymi go jeźdźcami.

— Butifer — krzyknął lekarz ujrawszy go z długą strzelbą w rękę, Butifer! zejdź natychmiast.

Butifer poznał lekarza i odpowiedział pełnym uszanowania skinieniem głowy, wyrażającym zupełne posłuszeństwo jego rozkazom.

— Pojmuję, że człowiek pod wpływem strachu lub innego gwałtownego uczucia, może się dostać na ten szczyt iglasty — rzekł Genestas — ale jakim sposobem zejdzie on ztamtąd, tego sobie wystawić nie mogę.

— Jestem spokojny o niego — odparł Benassis. — Kozy mogłyby temu hultajowi pozazdrościć! Zobaczysz pan.

Wypadki wojenne nauczyły Genestasa sądzić z zewnętrznych objawów o wewnętrznej wartości ludzi; z uwielbieniem też przyglądał się szczególniejszej zwinności i pewności ruchów Butifera, podczas gdy ten zstępował z urwistego szczytu skały, na którą się zuchwale był wdrapał. Smukła i silna postać strzelca, przechylając się z wdziękiem we wszystkich kierunkach, nie straciła ani razu równowagi; stawiał on nogę na spiczastym urwisku z takim spokojem, jakby stąpał po gładkiej posadzce, pewny był bowiem, że bądź-co-bądź utrzymać się potrafi, a długą i ciężką strzelbą wywijał niby ciekłą laseczką. Butifer był — to młody człowiek, wzrostu średniego, chudy, silnie zbudowany, a męzka jego piękność uderzyła Genestasa, gdy go zblizka zobaczył. Należał on widocznie do rzędu tych kontrabandzistów, którzy trudnią się rzemiosłem swém bez gwałtu, a tylko cierpliwością i podstępem walczą przeciw prawu. Opaloną twarz Butifera ożywiały złotawe oczy, błyszczące jak źrenice orla, z którego dziobem nos jego szczupły zlekka na końcu zagięty wielkie miał podobieństwo. Z po-za półotwartych, ponsowych warg jego świeciły zęby nadzwyczajnej białości. Broda, wąsy i faworyty rudawe, bujne i zlekka się kręcące podnosiły jeszcze męzki i straszny wyraz jego twarzy. Wszystko w nim było siłą. Muszkuły rąk rozwinięte miał niepospolicie, piersi szerokie, a gładkie czoło dziką jakąś inteligencją jaśniało. Pozór miał śmiały, rzutny lecz spokojny, jak człowiek, który przyzwyczał się do narażania życia i tyle razy doświadczył swęj fizycznej lub umysłowej potęgi w niebezpieczeństwach wszelkiego rodzaju, że już zgoła o sobie nie wątpi. Ubrany był w bluzę podartą i również zniszczone i dziurawe spodnie z niebieskiego płótna, przez które przeglądały nogi jego, czerwone, suche, muszkularne jak skoki jelenie.

— Widzisz pan człowieka, który kiedyś strzelił do mnie — rzekł pocichu Benassis do komendanta. — Dziś, gdybym się chciał od kogo uwolnić, zabiłby go bez wahania. Butifer — dodał zwracając się do kontrabandzisty — miałem cię za człowieka honoru, poręczyłem za ciebie, wierząc twemu słowu. Przysiągłeś mi, że nie będziesz już polować, że się usatujesz i zrobisz porządnym, pracowitym człowiekiem, a ja odpowiedzialność za dotrzymanie tych obietnic przed prokuratorem królewskim w Grenobli przyjąłem na siebie. Kto strzelał teraz? ty! i jesteś na gruntach hrabiego de Labranchoir. A gdyby cię był dozorca usłyszał? he? co-by się z tobą stało? Szczęściem dla ciebie ja cię nie oskarżę, lecz żałuję teraz, iż zostawiłem ci fuzyę, uwzględnwszy tve do niej przywiązanie.

— Piękna broń! — rzekł komendant.

Kontrabandzista spojrział na Genestasa z niemą za tę pochwałę podzięką.

— Sumienie musi ci robić wyrzuty — ciągnął dalej Benassis. — Jeżeli znów do dawnego wrócisz rzemiosła i do więzienia się dostaniesz, żadna na świecie protekcyja nie uchroni cię od galer i zmarnujesz się, nieszczęsny! Dziś wieczór odniesiesz mi fuzyę, zachowam ją u siebie.

Butifer konwulsyjnym ruchem przycisnął kolbę do siebie.

— Masz pan słuszność, panie merze — wymówił. — Zgrzeszyłem, złamałem przy sięgę, jestem nikczemnikiem. Fuzya moja pójdzie do pana; ale weźmiesz ją pan w dziedztwie po mnie. Ostatni strzał, jaki z niej pod moją ręką padnie, czaszkę mi roztrzaska! Ha! trudna rada, robiłem wszystko, co pan chciałeś, całą zimę siedziałem spokojnie, ale z wiosną natura pociągnęła wilka do lasu. Nie umiem orać, drobiu tuczyć nie chcę, nie mam także ochoty giąć się nad kopaniem jarzyn, ni po całych dniach siedzieć w stajni i konie chędożyć. Mam-że więc z głodu umierać? Ja tam dopiero żyję — dodał po chwilowej przerwie wskazując na góry. Tydzień już tam jestem, a teraz zobaczyłem gienzę, palnąłem i gienza leży na skale, na pańskie usługi. Zostaw mi pan fuzyę, mój dobry, jedyny panie. Jakem Butifer, opuszczę gminę i pójdę w Alpy, tam mi nikt nic nie powie, będę polował na gienzy, a potem zdechnę gdzie w jakim lodniku. I prawdę mówiąc, wolę żyć rok lub dwa w górach w swobodzie, której mi żaden dozorca, ani prokurator, ani rząd tamować nie będzie, niż gnąć z jakie sto lat w tych blockach. Pana mi tylko żal będzie, bo inni już mi kością w gardle stanęli.

— A Ludka? — zagadnął Benassis.

Butifer zamyślił się.

— Słuchaj, mój chłopcze! — rzekł Genestas — naucz się czytać, pisać, zaciągnij się do mego regimentu, wsiądź na konia i zostań karabinierem, a jak raz ozwie się pobudka do

jakięj porządnęj wojny, zobaczysz, że Bóg stworzył cię do życia wśród armat, kul i bitew, i zostaniesz generałem.

— Tak! gdyby Napoleon był powrócił — rzekł Butifer.

— Pamiętasz nasz układ — zwrócił się do niego Benassis. — Za drugiem wykre-
czeniem obiecałeś zostać żołnierzem. Daję ci pół roku do nauczenia się czytać i pisać,
a potem wyszukam jaką rodzinę, której syna mógłbyś w wojsku zastąpić.

Butifer spojrział na góry.

— O! nie! ty nie pójdziesz w Alpy! — zawołał lekarz. — Taki człowiek jak ty, hono-
rowy i pełen wielkich przymiotów powinien służyć krajowi, dowodzić jakieęj brygadzie,
a nie ginąć marnie w pogoni za lada giemzą. Teraźniejszy twój sposób życia zaprowadzi
cię prosto na galery. Szafując naraz zbyt wiele siłami, musisz potem długo wypoczywać;
to przyzwyczaj cię z czasem do życia próżniackiego, stracisz energię, zmarnujesz swoje
zdolności, a ja tego nie chcę; bo pomimo twęj woli muszę cię na dobrą drogę wprowa-
dzić.

— Mam więc schnąć z nudów i smutku? Duszę się w mieście! Gdy Ludkę do Grenobli
zawiozę, nie mogę tam dłużej nad jeden dzień wytrzymać.

— Wszyscy mamy skłonności, popędy, które trzeba umieć albo przezwyciężać, albo
na pożytek bliźnich obracać! Ale już jest późno, a mnie się śpieszy — przyjdź do mnie
jutro, przyniesiesz mi fuzyę i pogadamy o tém wszystkim. Do widzenia, a giemzę sprzedaj
w Grenobli.

Powiedziawszy to, oddalił się ze swoim towarzyszem.

— To mi człowiek, co się nazywa — zawołał Genestas.

— Człowiek na złęj drodze — rzekł Benassis. — Ale cóż na to poradzić? Słyszałeś
go pan! To doprawdy żal bierze patrząc, że się takie piękne zdolności marnują. Niech
nieprzyjaciel najedzie Francję, Butifer na czele stu ludzi cały oddział w jakim przesmyku
przez miesiąc zatrzyma, ale w czasach pokojowych energia jego może się rozwinąć tylko
w okolicznościach pogwałcających prawa. Potrzebuje on koniecznie z czémś walczyć; gdy
nie naraża życia, wchodzi w zatargi ze społeczeństwem i pomaga kontrabandzistom. Hul-
taj ten przepływa Rodan na maleńkiej łódce, wożąc trzewiki do Sabaudyi, i z ładunkiem
swoim chroni się na niedostępne szczyty, gdzie parę dni o suchym chlebie przebyć może.
Jednem słowem, lubi niebezpieczeństwo, jak inni sen i wygodę. Zakosztowawszy w gwał-
townych i nagłych wypadkach i wrażeniach wykoleił się ze zwyczajnego życia. Ja zaś nie
chcę, by taki człowiek, idąc po zdradnej pochyłości, został wreszcie zbrodniarzem i ginął
na rusztowaniu. Ale, spójrz-no kapitanie, jak się ztąd nasze miasteczko przedstawia.

Genestas ujrzał w dali obszerny plac, drzewami zarosły, po środku którego była fon-
tanna otoczona topolami. Wnętrze tego placu dzieliło się na trzy kondygnacye, odznaczo-
ne trzema rzędami z rozmaitych drzew: naprzód szły akacye, potem werniksy japońskie,
a u wierzchu młode wiązy.

— To plac jarmarczny — rzekł Benassis. — Dalej główna ulica, a na wstępie jęj te
dwa piękne domy, sędzięgo pokoju i notaryusza, o których panu mówiłem.

W tęg chwili wjechali w szeroką, dość porządnę wybrukowaną ulicę, zabudowaną
z obu stron nowemi zupełnie domami, a przy każdym z nich był niewielki ogródek. Ko-
ściół o ładnej fasadzie zakończył ulicę, od której w bok szły dwie inne naznaczone dopiero
i zaledwie kilka nowowzniesionych domów mające. Merostwo znajdowało się naprzeciw
plebanii. W miarę jak się Benassis zapuszczał w ulicę, kobiety, dzieci i mężczyźni, któ-
rzy już dzienne roboty pokończyli, wychodzili na jego spotkanie; jedni kłaniali mu się
czapkami, inni uprzejmęmi pozdrawiali słowy; dzieci skakały koło konia, nie obawiając
go się, bo łagodność tego zwierzęcia była im również dobrze znaną jak dobroć jego pana.
Widząc przyjęcie, jakiego doznawał lekarz, Genestas pomyślał, że Benassis zbyt skromnie
odmalował mu we wczorajszém opowiadaniu miłość i uwielbienie, jakie sobie u miesza-
kańców kantonu zjednać potrafił. Był on tu prawdziwym królem, a królowanie jego było
najsłodsze ze wszystkich królowań ziemskich, bo berłem jego była miłość, a prawa nie
w księgach lecz w sercach poddanych zapisane były. Człowiek najwyższą władzę dzierzący
i największą chwałę oprzemiony dochodzi wprędce do poznania swojej nicości widząc,
że w ustroju jego fizycznym nic się przez to nie zmienia, że nic nowego, nic wyższe-
go zdziałać nie może. Królowie, choćby cały świat opanowali, muszą żyć jak inni ludzie,

w swoim własnym kółeczku, którego prawom podlegają, a szczęście ich od osobistych ich wrażeń zawisło. Benassis zaś spotykał wszędzie tylko przyjaźń i posłuszeństwo.

ROZDZIAŁ III. NAPOLEON LUDU

— Przecie, że pan przyjechał — ozwała się Jacenta. — Goście już nie wiem odkąd czekają. To zawsze tak. Kiedy potrzeba, aby obiad był dobry, to pan się spóźnia i potem wszystko przegotowane, przepieczone... lichy wie co warte!

— No! no! jesteśmy już — odparł z uśmiechem Benassis.

Obaj jeźdźcy zsiadli z koni i weszli do salonu, gdzie już znajdowały się zaproszone przez lekarza osoby.

— Panowie! — rzekł Benassis, biorąc za rękę Genestasa — mam zaszczyt przedstawić wam pana Bluteau, kapitana kawalerii grenoblskiego garnizonu, starego wojaka, który jakiś czas spędzić z wami obiecał. — A zwracając się do Genestasa wskazał mu chudą, wysoką, czarno ubraną postać, siwowłosego już mężczyznę — Kapitanie! — przemówił — to jest pan Dufau, sędzia pokoju, o którym już panu mówiłem, a który tak bardzo przyczynił się do podniesienia gminy. To zaś — ciągnął dalej, ukazując młodego człowieka średniego wzrostu, równie w czarnym ubraniu, z okularami na bladej twarzy — to jest pan Tonnelet, zięć pana Gravier'a i pierwszy, który w naszym miasteczku urząd notaryusza sprawuje. Potem zwrócił się do grubego jegomości, wół-wieśniaka, wół-mieszczanina, z twarzą ordynarną ale pełną dobroduszości: — To jest mój zacny pomocnik — wymówił — pan Cambon, trudniący się handlem drzewa, a któremu zawdzięczam ufność, jaką mnie mieszkańcy gminy darzą. Jest on jednym z twórców owego gościńca, którym się pan tak zachwycił. Nie potrzebuję — dodał Benassis, wskazując wreszcie proboszcza — mówić, jakie jest powołanie pana. To tylko powiem, że widzisz pan człowieka, którego nie kochać jest rzeczą niemożliwą.

Twarz duchownego uderzyła Genestasa wyrazem piękności moralnej, pociągającej ku sobie nieprzepartym urokiem. Na pierwsze wejście twarz ta mogła się wydać prawie szpetną, tak linie jej były surowe i nieregularne. Nizki wzrost księdza Janvier, nadzwyczajna jego chudość, pochylona trochę postawa świadczyły o wielkiej fizycznej niemocy, ale w nieruchomych prawie rysach jego malował się ten głęboki, wewnętrzny, iście chrześcijański spokój, przebijała siła, jaką czystość duszy wyraża. Oczy, przez które patrzyło niebo, zdawały się być niewyczerpanymi ogniskami miłosierdzia przepelniającego mu serce. Giestykułował naturalnie i z umiarkowaniem, a ruchy jego miały w sobie coś z dziewiczej skromności i prostoty. Widok księdza Janvier'a wzbudzał szacunek i niewyraźne pragnienie zawiązania z nim serdeczniejszego stosunku.

— A! panie merze! — rzekł z ukłonem, jakby uchylając się od pochwał Benassisa.

Dźwięk tego głosu do głębi wzruszył komendanta; te dwa nic nieznaczące słowa wymówione ustami nieznanego księdza napęłniły go religijną prawie zadumą.

— Proszę panów — rzekła Jacenta, wchodząc na sam środek salonu i zatrzymując się tam z ręką na biodrze — waza jest już na stole.

Benassis zaprosił gości do jadalnego pokoju, zwracając się do każdego z osobna dla uniknięcia zwykłych przy wejściu wzajemnych ustępstw pierwszeństwa; i wszyscy po wysłuchaniu *Benedicite*, odmówionego półgłosem przez proboszcza, zasiedli dokoła stołu. Zaścielający go śnieżnej białości obrus był z tej w deseń wyrabianej tkaniny, którą jeszcze za czasów Henryka IV wynaleźli dwaj bracia Graindorge i nazwisko jej swoje, tak dobrze gospodyniom znane, nadali. Naczynia stołowe były z białego fajansu z błękitnymi brzeżkami, wybornie zachowane. Karafki miały ten starożytny ośmiokątny kształt, które w dzisiejszych czasach już tylko na prowincji się spotyka. Trzonki nożów z rzeźbionego rogu wyobrażały dziwaczne jakieś postaci. Cała ta zastawa, nosząca na sobie ślady odwiecznej wspaniałości, a mimo-to prawie nowa, harmonizowała z uprzejmością i swobodnym obejściem pana domu. Genestas zwrócił zwłaszcza uwagę na pokrywę od wazy, ozdobioną wieńcem wypukło modelowanych, pięknie kolorowanych jarzyn, na sposób Bernarda Palissy, słynnego artysty XVI wieku. Samo zgromadzenie nie było pozbawione oryginalności: Mężkie, silne głowy Benassisa i Genestasa stanowiły piękną w swoim rodzaju sprzeczność z ascetyczną głową księdza Janvier, tak samo jak młodzieńcza twarz notaryusza odbijała przy zwiędłych fizyognomiach sędziego pokoju i pana Cambon'a.

Całe społeczeństwo uwydatniało się w tych rozmaitych postaciach jaśniejących zadowoleniem z siebie, z terażniejszości i wiary w przyszłość. Tylko że pan Tonnelet i proboszcz, mało z życiem mający styczności, lubili zagłębiać się w rzeczy przyszłe, czując, że one do nich należą, podczas gdy reszta gości chętniej ku przeszłości myśli zwracała; ale wszyscy zapatrywali się na świat poważnie, a poglądy ich miały dwojakie tło: jedno blade, jak mrok wieczorny — było wspomnieniem zatartych już chwil szczęśliwych, które się ponowić nie miały; drugie, jak zorza — zwiastowały przecucie pięknego dnia.

— Ksiądz proboszcz musiał się dziś porządnie utrudzić? — spytał pan Cambon.

— W istocie — odparł zagadnięty — oba pogrzeby, biednego kretyna i ojca Pelletier odbyły się dziś, każdy w innej porze.

— Będziemy teraz mogli zburzyć do szczytu starą wioskę — ozwał się Benassis do swego pomocnika. — Grunt z pod domów przyczyni nam z jakie parę morgów łąk, a gmina zyska przeszło sto franków, które wydawała na utrzymanie kretyna Klaudyusza.

— Należało-by nam te sto franków przynajmniej przez trzy lata obracać na zbudowanie mostku nad strumieniem, który dalszą drogę przerzyna. Ludzie z miasteczka i z okolicy przyzwyczaili się omijać tę przeszkodę, chodząc przez pola Jana Pastureau i zniszczą mu je wkońcu tak, że biedak ogromne będzie miał straty.

— Rzeczywiście — rzekł sędzia pokoju — nie możnaby na pożądaną cel tych pieniędzy obrócić! Według mnie jedną z największych klęsk na wsi są nadużycia z chodzenia ścieżkami wynikle, a powodem dziesiątej części procesów, które się przed sądem pokoju rozstrzygają, stają się niesprawiedliwe serwituty. Poszanowanie własności i poszanowanie prawa są-to dwa uczucia bardzo zapomniane we Francji, które-by rozpowszechnić należało. Ale w pojęciu wielu osób dopomagać prawu jest rzeczą nieszlachetną, a to przysłowiowe zdanie: *Idź, niech cię gdzie-indziej wieszają*, które zdaje się z chwalebnej wspaniałomyślności wypływać, jest w gruncie płaszczykiem, pod którym się egoizm nasz ukrywa. Przyznajmy otwarcie: brak nam poczucia patriotyzmu. Prawdziwy patriota tak się potrafi przejąć ważnością praw, że czuwa nad ich wykonaniem nawet z narażeniem własnej osoby. Boć pozwolić przestępcy iść w spokoju — nie jest-że to stać się winnym jego przyszlých zbrodni?

— Wszystko to jedno z drugiego wypływa — rzekł Benassis. — Gdyby merowie utrzymywali w dobrym stanie gościńce, nie byłoby tyle ścieżek i drózek ubocznych. Gdyby znów rada municypalna posiadała więcej wykształcenia, stanęłaby po stronie właściciela i mera, kiedy-by ci opierali się ustanowieniu niesłusznych serwitutów, a wszyscy staraliby się wpoić w nieoświecony lud to przeświadczenie, że, czy pałac, czy chata, czy pole, czy drzewo, są-to rzeczy, których naruszać nie wolno, i że prawo nie traci i nie nabiera mocy względnie do mniejszej lub większej ceny własności. Ale podobne ulepszenia nie mogą iść prędko, bo polegają głównie na moralném udoskonaleniu mas, a tego bez współdziałania proboszczów zupełnie osiągnąć nie możemy. To się nie stosuje do was, księżo proboszczu!

— Ja też tego do siebie nie biorę — odparł z uśmiechem duchowny. — Nie starałem-że się rozwijać dogmatów religii katolickiej łącznie z administracyjnymi widokami pana? Często naprzykład w kazaniach na temat kradzieży usiłowałem wpajać w moich parafian też same pojęcia, jakie pan w zastosowaniu do *prawa* wygłosiłeś przed chwilą. W istocie, Bóg nie sądzi kradzieży wedle wartości ukradzionego przedmiotu, sądzi samego winowajcę. Tém przekonaniem pragnąłem moję trzódkę napęłnić.

— I udało ci się, księżo proboszczu — rzekł Cambon. — Mogę ocenić zmiany, jakie zaprowadziłeś, zestawiając obecny stan gminy z tém, co się poprzednio działo. Śmiało twierdzić mogę, że mało jest kantonów, gdzie-by wyrobnicy tak sumiennie trzymali się wyznaczonych godzin pracy. Bydło pilnie strzeżone, przypadkiem chyba szkodę wyrządza. Drzewa są w poszanowaniu. Wreszcie, dzięki księdzu proboszczowi, wieśniacy nasi zrozumieli to dobrze, że dostatek i wygodą są nagrodą oszczędnego i pracowitego życia.

— Tedy — rzekł Genestas — ksiądz proboszcz musi być zadowolniony ze swojej owczarni?

— Panie kapitanie — odparł duchowny — nie możemy się spodziewać, abyśmy tu gdzie na ziemi aniołów spotkać mogli. Wszędzie, gdzie nędza, tam musi być i cierpienie; a nędza i cierpienia wyradzają tak, jak władza, nadużycia. Jeżeli wieśniak idzie o jakie dwie mile na robotę, i wieczorem zmęczony powraca, a widzi dajmy na to strzelców, któ-

rzy trują łąki i pola, by prędzej do obficie zastawionego zasiąść stołu, dlaczegoż-by ich nie miał naśladować? I pytanie, kto z pomiędzy tych, co to nadużycie popełniają, będzie istotnie winnym? ten, co pracuje, czy ten, co się bawi? Dziś przyczyną złego są zarówno bogaci, jak ubodzy. Wiara i władza powinny zawsze zstępować z wyżyn niebieskich i społecznych, a w naszych czasach klasy uprzywilejowane mają mniej wiary niż lud prosty, któremu Bóg obiecuje niebo w nagrodę za jego nędze doczesne cierpliwie znoszone. Co do mnie, choć ściśle poddaję się przepisom władzy duchownej i wchodzę w myśl moich przełożonych, sędzę wszelako, że jakiś czas powinniśmy być mniej wymagający na punkcie samych obrządków religijnych, a natomiast należałoby nam usiłować rozniecić uczucia prawdziwej pobożności w klasach średnich, tam właśnie, gdzie rozprawiają o chrystyanizmie zamiast wypełniać jego przepisy. Filozofia bogaczy stała się zgubnym przykładem dla biednych i sprowadziła zbyt długie bezkrólestwie w królestwie bożem. To, co pasterze duchowni mogą dziś na swoich owieczkach wymódz, zależy całkowicie od ich osobistego wpływu; i smutno pomyśleć, że wiara całej gminy jest tylko wynikiem poważania, jakie pojedynczy człowiek zjednać sobie potrafi. Gdy duch chrystyanizmu ożywi rozwój społeczeństwa, napelniając wszystkie klasy zachowawczymi swymi doktrynami, obrządki jego same przez się wejdą w praktykę. Czem-że bowiem one są? — formą, w którą się religia sama obleka, a bez form społeczeństwa istnieć-by nie mogły. Dla was chorągwie, dla nas krzyż...

— Księżę proboszczu — przerwał Genestas — chciałbym bardzo wiedzieć, dlaczego zabraniacie tym biednym ludziom rozweselić się trochę tańcem w dni świąteczne?

— Panie kapitanie — odparł ksiądz — nie potępimy tańca samego przez się, ale występujemy przeciwko niemu jako przyczynie niemoralności, która zamąca porządek i psuje obyczaj ludu. Utrzymywać świętość i czystość węzłów rodzinnych nie jest-że to przytłumiać nasiona złego, które-by inaczej łatwo kielkować mogły!

— Wiem — ozwał się pan Tonnelet — iż nie ma kantonu, gdzie-by się od czasu do czasu jakie nadużycia nie popełniały; ale u nas stają się one co-raz rzadsze. Jeżeli zaś który z naszych wieśniaków orząc, zagarnie sąsiadowi jedną brózdę gruntu lub ułamie cudzą gałązkę, gdy mu tego potrzeba, są-to jeszcze błahostki w porównaniu z grzechami, jakich się mieszkańcy miast dopuszczają. To też tutejszy lud bardzo jest religijny!

— A! religijny! — powtórzył z uśmiechem proboszcz — nie można się tu fanatyzmu obawiać.

— Ależ, księżę proboszczu — rzekł Cambou — gdyby chłopci chcieli chodzić na mszę codziennie i co-tydzień się spowiadali, pola-by leżały odłogiem i trzech księży nie nastarczyłoby takiej pobożności.

— Kochany panie — odparł proboszcz — praca jest modlitwą. A wprowadzenie w czyn zasad religijnych, które ożywiają społeczeństwo, więcej znaczy niż sama ich znajomość.

— No, a patriotyzm, księżę proboszczu, czy on w rachubę nie wchodzi? — zagadnął Genestas.

— Patriotyzm — odpowiedział poważnie ksiądz — obudza uczucie przelotne, które dopiero religia utrwalić może. Patriotyzm — to chwilowe zapomnienie interesu osobistego, chrystyanizm zaś jest dokładnym systematem, mającym na celu zwalczanie złych popędów człowieka.

— Jednakże podczas rewolucji patriotyzm...

— Podczas rewolucji dokazywaliśmy cudów — przerwał Genestasowi Benassis — ale w dwadzieścia lat potem, w 1814 roku patriotyzm nasz już ostygł — a Francja z Europą rzucały się na Azyję dwanaście razy w ciągu stu lat powodowane religijną ideą.

— Być może — rzekł sędzia pokoju — iż łatwiej jest stłumić walkę narodu z narodem, gdy idzie o interes materialny; podczas gdy wojny prowadzone w imię dogmatów, które nigdy ściśle określonego celu nie mają, muszą się też do nieskończoności przeciągać.

— No! cóż to, panowie ryb nie jedzą? — wtrąciła w tej chwili Jacenta, która wraz z Mikołajem sprzątała talerze ze stołu.

Wierna dawnym zwyczajom, przynosiła jeden półmisk za drugim, co pozwala żarłokom objadać się należycie, ale odbiera apetyt ludziom wstrzemięźliwym, którzy już głód przy pierwszych daniach zaspokoili.

— A, panowie! — rzekł proboszcz, zwracając się do sędziego pokoju — jak możecie przesądzać, że wojny religijne nie miały ściśle określonego celu. Dawniej religia była tak potężnym węzłem w społeczeństwach, że interesa materialne nie mogły się od niej oddzielić. Każdy żołnierz wiedział, za co się bije.

— Jeżeli tak często z powodu religii wojowano — rzekł Genestas — to widocznie Bóg nie bardzo dobrze gmach swój zbudował. To, co ma być boskie, powinno działać na ludzi potęgą niezaprzeczalnej prawdy.

Wszyscy spojrzeli na proboszcza.

— Panowie! — rzekł ten-że — religia się czuje, ale się określać nie da. Nie jesteśmy sędziami dróg i celów Przedwiecznego.

— Więc według księdza proboszcza potrzeba wierzyć we wszystkie wasze ceregiele? — rzekł Genestas z dobroduszną lekkomyślnością wojaka, który nigdy o Bogu nie pomyślał.

— Panie — odparł poważnie ksiądz — religia katolicka lepiej niż każda inna kładzie kres niedolom i wątpliwościom ludzkim, ale gdyby nawet tak nie było, pozwolisz się pan zapytać, czy rezykujesz pan co, wierząc w jej prawdę?

— Nic prawie — odrzekł Genestas.

— A odwrotnie, czy nie wierząc nie rezykujesz pan zbyt wiele? Ale mówmy tylko o rzeczach ziemskich, które pana najwięcej obchodzą. Uważ pan tylko, jak palec Boży silnie wypiętnował się na sprawach ludzkich, dotykając ich ręką swego zastępcy. Ludzie stracili wiele, opuszczając drogi, jakie chrystyanizm nakreślił. Kościół, którego historią mało kto czyta, a o którym sądzą według mylnych pojęć z umysłu rozsiewanych; Kościół dał światu doskonały wzór hierarchii państwowej, jaką dziś ludzie zaprowadzić usiłują. Zasada elekcyi czyniła z niej długo wielką polityczną potęgę. Nie znalazłbyś pan dawniej ani jednej instytucji religijnej, któraby nie była na wolności i równości oparta. Wszystko współdziałało z tą myślą przewodnią: proboszcze, biskupi, przeorowie zakonów, papieże wybierani bywali sumiennie według potrzeb Kościoła i myśl jego wyrażali; to też należało im się ślepe posłuszeństwo. Pominę już społeczne dobrodziejstwa tej myśli, która ukształtowała narody nowożytne, natchnęła tyle poematów, gmachów, posągów, obrazów i utworów muzycznych, a zwrócę uwagę pana tylko na to, że wasze wybory ludowe, sądy przysięgłych i obie izby winny początek koncyliom prowincjonalnym i ekumenicznym, biskupstwowym i kollegiom kardynalskim, z tą jednak różnicą, że w moich oczach terażniejsze filozoficzne pojęcia o cywilizacji błędne wobec tej wzniosłej i boskiej idei jedności katolickiej obejmującej całą ludzkość, idei, w której słowo i czyn łączą się w dogmacie religijnym. Trudno-to będzie nowym systematom politycznym, jakkolwiek doskonałymi-by były, wznowić te cuda, jakie stwarzały czasy, w których Kościół rządził umysłami ludzkiemi.

— Dlaczego? — zapytał Genestas.

— Najprzód dlatego, że elekcyja, aby się stała zasadą, wymaga bezwarunkowej między wyborcami równości, do czego nigdy nowoczesna polityka nie dojdzie. A potem, wielkie społeczne czyny dzieją się tylko potęgą uczuć, które jedynie mogą połączyć ludzi, a filozofia naszego wieku ugruntowała swe prawa na interesie osobistym, który ich rozdziela. Dawniej częściej niż dzisiaj zjawiali się w narodach mężowie ożywieni szlachetnym duchem współczucia dla cierpienia ludu i pragnieniem przyniesienia im ulgi. Księża, dzieci klas średnich, opierali się przewadze siły materialnej i bronili lud przeciw jego nieprzyjaciółom. Kościół miał posiadłości ziemskie, i właśnie te sprawy doczesne, zamiast wzmocnić, osłabiły go wkońcu. W istocie: jeżeli ksiądz ma jakieś przywileje, uważają go za gnębiela; jeżeli go państwo opłaca, staje się urzędnikiem i winien mu poświęcać swój czas, serce i życie. Ale niech ksiądz będzie biednym, niech będzie księdzem dobrowolnie, niech nie ma innego oparcia prócz Boga, innego majątku prócz serc swoich wiernych, a stanie się misjonarzem, apostołem, księciem dobrego. Jednym słowem, panuje w niedostatku — upada w zamożności.

Ksiądz Janvier oświadczył uwagę słuchaczy. Wszyscy patrzyli na niego z podziwem i milcząc zastanawiali się nad słowami tak niezwykłymi w ustach prostego plebana.

— Księżu proboszczu — rzekł Benassis — wśród tylu prawd, jakie wypowiedziałeś, znajduje się przecież błąd wielki: Wiesz dobrze, iż nie lubię rozprawiać o tych kwestiach społeczno-życiowych, któremi się tak zajmują pisarze i władze tegoczesne. Według mnie, jeśli człowiek ułoży sobie jaki systemat polityczny, a czuje odpowiednie do urzeczywist-

nienia go siły, powinien milczeć i działać; ale jeśli jest niczém więcej jak prostym obywatelem, byłoby szaleństwem z jego strony, gdyby chciał przelewać w masy osobiste swoje poglądy. Mimo to, pozwolę sobie wystąpić przeciwko tobie, kochany księże proboszczu, bo jesteśmy tu w gronie ludzi dobrej woli, którzy chętnie także dzielą się myślami swemi, szukając we wszystkim prawdy. Zapatrywania moje mogą się wydać dziwnymi, ale są one owocem długich rozmyślań, jakimi mnie wypadki ostatnich czterdziestu lat natchnęły. Równość ogólna, żądana dziś przez należących do opozycji tak zwaną konstytucyjną, była doskonałą zasadą w kościele, bo, jak sam zauważyłeś, kochany księże proboszczu, wszyscy członkowie tej hierarchii byli wykształceni, jedną myślą przejęci, wiedzący dobrze, czego chcą i dokąd idą. Ale tryumf idei, w imię których liberalizm nowoczesny nierozważnie wypowiada wojnę pomyślnym rządóm Burbonów, byłby zgubą tak dla Francji, jak dla samych liberałów. Przywódcy lewicy wiedzą to dobrze. Dla nich ta walka jest poprostu kwestią władzy. Gdyby, co nie daj Boże, burżuazya pod sztandarem opozycji odniosła zwycięztwo nad zwierzchnościami społecznymi, przeciw którym jej pycha się buntuje, w ślad za tym tryumfem poszłaby walka burżuazji z ludem, który później, widziałby w niej także pewnego rodzaju arystokracją, niedorastającą tamtej to prawda, ale której przywileje i bogactwa byłyby mu tém wstrętniejszemi, ile że czułby je za blisko siebie. W walce tej społeczeństwo, nie mówię naród, zginęłoby znowu; bo chwilowa zawsze przewaga mas uciśnionych sprowadza największe nadużycia. Walka ta byłaby zaciętą, nieustanną, bo podlegałyby ją rozdwojenia instynktowne lub nabyte między wyborcami, których część najmniej oświecona ale najliczniejsza wzięłaby górę nad szczupłą garstką społecznych wielkości w takim systemacie, gdzie głosy liczą się a nie waga. Ztąd wynika, że najsilniej zorganizowany a więc najdoskonalszy jest ten rząd, który się na zachowaniu ściśle określonego przywileju opiera. Przez *przywilej* nie rozumiem tu nadużycia praw przyznawanych tylko pewnym jednostkom z pokrzywdzeniem ogółu — nie! jest-to jedynie dokładniejsze określenie społecznego koła, w obrębie którego zamyka się działanie władzy. Władza pod pewnym względem może być uważana za serce państwa. Otóż, natura we wszystkich twórcach swoich ścięła pierwiastek życiowy, aby mu więcej siły nadać, to samo i w ciele politycznym być powinno. Ale, by lepiej myślą wyrazić, ucieknę się do przykładów. Dajmy Francji stu parów, a będziemy mieli sto zaburzeń. Znieśmy parostwo, a wszyscy bogacze staną się uprzywilejowanymi i zamiast sta będzie dziesięć tysięcy zamieszek i nierówności społeczne bardziej się jeszcze powiększą. W istocie, w oczach ludu prawo życia bez potrzeby pracy jest jedynym przywilejem. Według niego ten, kto sam nic nie produkując korzysta z pracy innych, jest po prostu łupieżcą. Lud chce czynów dotykalnych, widocznych; prace umysłowe najbardziej kraj wzbogacające w rachunek u niego nie wchodzi. Tak tedy, powiększając starcia, rozszerzamy walkę na wszystkie punkta ciała społecznego, zamiast ją w ciasnym kole uwięzić. Gdy nacisk i opór są ogólne, ruina kraju jest nieuchronną. Będzie zawsze mniej bogatych niż ubogich, tym więc drugim dostanie się zawsze zwycięztwo w walce na pięści. Zasadę moję popiera cała historia. Rzeczpospolita rzymska zawdzięczała zdobycie świata ustanowieniu przywileju senackiego. Senat dzierżył silnie władzę. Ale jak tylko nowi ludzie rozszerzyli działanie rządu, powiększając patrycyat, rzeczpospolita zginęła. Po Cezarze, pomimo Sylli, Tyberjusz zrobił z niej cesarstwo rzymskie, systemat, w którym władza ześrodkowując się w ręku jednego człowieka przedłużyła znów na kilka wieków istnienie tego olbrzymiego państwa. Nie było już cesarza w Rzymie, gdy nieśmiertelne miasto padło ofiarą barbarzyńców. Po zdobyciu naszej ziemi, Frankowie, którzy się nią podzielili, wymyślili systemat feudalny, mający zabezpieczać posiadłości jednostek. Trwał on dopóty, dopóki się w ciasnych granicach mieścił. Ale gdy liczba feudalnych panów z pięciuset urosła do pięćdziesięciu tysięcy, rewolucya wybuchła. Zbyt rozszerzona ich władza nie posiadała ani siły ani sprężystości, i była zresztą bezbronną wobec usamowolnienia się kapitału i myśli, czego nie przewidziała. Tak więc, tryumf burżuazji nad systematem monarchicznym, tryumf powiększający w oczach ludu liczbę uprzywilejowanych, wywołałby z konieczności zwycięztwo ludu nad burżuazją. Jeżeli się ten przewrót stanie, środkiem osiągnięcia go będzie prawo głosowania rozciągnięte na masy. Kto wotuje, może zdania swe objawiać. Władze, które się roztrząsa, o których się dyskutuje, nie istnieją; a czyż można sobie wyobrazić społeczeństwo pozbawione władz? Nie! Dalej. Kto mówi władza, mówi zarazem moc. Moc zaś udziałem wszystkich być nie może. To są przyczyny, które

skłaniają mnie do mniemania, że zasada elekcji jest jedną z najgubniejszych dla rządów tegoczesnych. Tuszę sobie, iż okazałem dosyć współczucia dla klasy cierpiącej, by nie być pomówionym o złe względem niej chęci, ale, o ile uwielbiam ją na tej drodze pracy, cierpliwości, poddania się woli Bożej, jaką idzie, o tyle uważam za niezdolną do współdziałania w rządach. Proletaryat w moich oczach jest zawsze nieletnim i przeto ciąglej potrzebuje opieki. Dlatego, panowie, mam głębokie przeświadczenie, że ten wyraz *elekcya* sprawiłby tyle niemal klęsk jak słowa: *sumienie* i *wolność* źle zrozumiane, źle określone i rzucone ludom jako symbole buntu i rozpasania; ujęcie w karby mas wydaje mi się tedy rzeczą sprawiedliwą i konieczną dla porządku życia społecznego.

— Systemat ten tak dalece godzi na wszystkie nasze dzisiejsze poglądy, że mamy prawo żądać, abyś pan nam jego racje wyjaśnił — rzekł Genestas przerywając lekarzowi.

— Chętnie, kapitanie.

— Cóż też to nasz pan wygaduje! — zawołała Jacenta wchodząc do kuchni. — Słyszał to kto! Każe się pastwić nad biednymi ludźmi a oni go słuchają.

— Nigdy nie byłbym się tego po panu Benassisie spodziewał — rzekł Mikołaj.

— Jeżeli domagam się praw ścisłych dla utrzymania w korbach mas nieoświeconych — mówił dalej lekarz po chwilowym przestanku — żądam także, aby karby te łagodne były i wyrozumiałe, aby pozwalały wybić się z tłumu każdemu, kto pragnie i czuje w sobie zdolności wznieść się ku rzeczom wyższym. Każda władza dąży do utrwalenia praw swoich. Chcąc istnieć, rządy tak dziś jak dawniej, powinny zjednywać sobie ludzi energicznych, biorąc ich zewsząd, gdzie się znajdują. Tym sposobem będą mieli w nich obrońców i ogołocą masy z jednostek, któreby je podburzać mogły. Otwierając tak dla ambicyi ogółu drogi zarazem trudne i łatwe: trudne dla chwilowych zachcianek, łatwe dla istotnych popędów, państwo zapobiegnie rewolucjom, jakie wywołuje tamowanie wstępu na wyżyny tym prawdziwym wyższościom, które się do nich powołaniami czują. Obecne czterdziestolecie zaburzeń i klęsk powinno było przekonać każdego rozsądnego człowieka, że takie wyższości są wynikiem porządku społecznego. Istnieją one niezaprzeczenie pod trzema postaciami a temi są: wyższość umysłowa, wyższość polityczna i wyższość majątkowa; inaczej: sztuka, władza i pieniądz; albo: zasada, środek i skutek. A że, przypuściwszy zupełną *tabula rasa* polityczną, zupełną równość składowych części społeczeństwa, nadawszy każdej rodzinie, z jednakową nawet liczby członków złożonej, jednakową ilość gruntu, musimy być przygotowani na to, że po pewnym przeciągu czasu nierówności majątkowe i inne wytworzyć się muszą; przeto wynika z tej prawdy niezbitej, że wyższość myśli, władzy i majątku jest faktem nieuniknionym, faktem, na który masy zawsze jak na uciemnienie patrzeć będą, nadając nazwę przywileju prawom najsluszniej nabytym. Systemat społeczny, na tej podstawie oparty, będzie wieczystym przymierzem posiadaczy przeciw tym, którzy nic nie mają. Według tej zasady, ci będą ustanawiali prawa, którzy z nich korzystają, bo oni powinni mieć instynkt zachowawczy tych praw i przewidywać grożące im niebezpieczeństwa. Bardziej im chodzi o spokój mas, niż samym-że masom. Ludy potrzebują szczęścia już przygotowanego. Z tego punktu zapatrując się na społeczeństwo i obejmując je w całej jego rozciągłości, musisz pan przyznać wraz ze mną, że prawo wyboru może służyć tylko tym, którzy mają władzę, majątek lub rozum, i zgodzisz się na to także, iż działanie ich pełnomocników winno być nadzwyczaj ograniczone. Prawodawca, panowie, powinien być wyższym nad swój wiek. Ogarniając bystrzym okiem tendencje narodu, ma on pracować raczej dla przyszłości niż dla terażniejszości, raczej dla pokolenia, które wzrasta, niż dla tego, które schodzi z pola. A zatem jeśli powołacie masy do ustanawiania praw, mogą one być wyższymi nad siebie? Nie! Im wierniej zgromadzenie odzwierciedlać będzie pojęcia ogółu, tém ciaśniejsze będą jego poglądy, tém chwiejniejsze jego ustawy, bo tłum, zwłaszcza we Francji, będzie zawsze tylko tłumem. Prawo nakazuje poddanie się przepisom; przepisy zaś są zawsze w sprzeczności z naturalnymi popędami, z interesem jednostek. Będą więc masy stanowić prawa przeciwko samym sobie? Nie! Często dążności praw powinny być w stosunku odwrotnym do dążności obyczajów. Urabiać prawa według naturalnych popędów narodu, byłoby to w Hiszpanii popierać nietolerancją religijną i próżniactwo; w Anglii — ducha spekulacyjnego; we Włoszech — zamilowanie sztuk pięknych, które podnoszą społeczeństwo, ale same przez się utrzymać go nie mogą; w Niemczech — kastowość rodową, we Francji — lekkomyślność, obalamucanie się coraz innymi ideami, skłonność do

rozpadania się na stronnictwa, co nas ciągle nurtuje i osłabia. Cóż wynikło w ciągu tych czterdziestu lat, odkąd zgromadzenia wyborcze biorą udział w ustanawianiu praw? Mamy czterdzieści tysięcy praw. — Naród mający czterdzieści tysięcy praw nie posiada żadnego. Pięćset inteligencji średnich, bo jeden wiek więcej nad sto olbrzymów umysłowych wydać nie może, pięćset takich inteligencji zdolająz wznieść się do wysokości takiego zadania? Nie! Ludzie, wychodzący wciąż z łona pięciuset różnych miejscowości nie będą nigdy w jeden i ten sam sposób rozumieli ducha praw, a prawo właśnie jednolitem być powinno. Ale idę dalej. Wcześniej lub później zgromadzenie podpada pod berło jednego człowieka, i zamiast dynastii królów, nastają zmienne i kosztowne dynastie pierwszych ministrów. U kresu każdego takiego systematu musi się zjawić Mirabeau, Danton, Robespierre lub Napoleon: prokonsulowie, albo cesarz. W istocie. Potrzeba określonej ilości siły dla podniesienia określonego ciężaru; siła ta może być rozdzieloną na większą lub mniejszą liczbę dźwigni, ale ostatecznie musi być zawsze odpowiednią ciężarowi: tutaj ciężarem są masy ciemne i cierpiące, które tworzą pierwszą warstwę, niejako podkład każdego społeczeństwa. Władza, z natury swój represyjna, potrzebuje wielkiej jedności, by stawić opór wyrównywający ciśnieniu mas. Jest-to zastosowanie zasady, którą rozwinąłem, mówiąc o ścieśnieniu przywileju rządzącego. Jeżeli będzie on udziałem ludzi zdolnych, ci poddadzą się temu naturalnemu prawu i skłonią cały kraj do posłuszeństwa; przeciwnie pospolite umysły wcześniej czy później uledez muszą przewadze wyższej inteligencji. Pierwsi stoją mocno przy przewodniej idei państwa, drudzy wchodzą w układy z siłą. Koniec końców zgromadzenie ustępuje idei, jak konwencja podczas terroryzmu, potędze jak ciało prawodawcze pod Napoleonem, kapitałowi lub systematowi jak dzisiaj. Zgromadzenie republikańskie, o jakim niektórzy marzą, jest niemożliwe: ci, co go pragną, są to albo obalamuceni w dobrej wierze głupcy, albo gotowi tyrani; zgromadzenie obradujące o niebezpieczeństwach mogących grozić narodowi; wtedy, kiedy ten naród do czynu powołać należy, nie jest-że śmiesznym? Niech lud ma swoich pełnomocników, którzyby przyjmowali lub odrzucali podatki, to rzecz sprawiedliwa i istniejąca zawsze, zarówno pod najsroższym tyranem jak pod najlaskawszym księciem. Podatek zresztą ma swe granice naturalne, po za którymi naród, albo powstaje, by go odrzucić, lub upada, aby nie podnieść się więcej. Niech to ciało wyborcze i zmienne, jak potrzeby i pojęcia, które przedstawia, występuje przeciw posłuszeństwu względem prawa zgubnego dla wszystkich i to także jest słuszne. Ale przypuścić, aby pięciuset ludzi zebranych ze wszystkich stron państwa mogło stanowić prawa pożyteczne i dobre, to znaczy posuwać za daleko żart, za który wcześniej czy później ludy odpokutować muszą. Zmieniają tylko tyranów i nic więcej. Władza, prawo, winny więc być dziełem jednego, który z porządku rzeczy zmuszonym jest poddawać wciąż swoje czyny pod sąd ogółu. Co się zaś tyczy ulepszeń w samym wykonywaniu władzy, czy-to w ręku jednego, czy kilku, czy całych mas spoczywającej, to tylko religijne pojęcia narodu sprowadzić mogą. Religia jest jedynym, prawdziwie skutecznym równoważnikiem nadużyć władzy najwyższej. Jeżeli naród traci poczucie religijne, staje się niesfornym z zasady, a władca jego musi być tyranem z konieczności. Izby, te pośredniczki między panującym a poddanymi, są tylko chwilowo uśmierzającym lekarstwem. Zgromadzenia, według tego, co powiedziałem, stają się współnikami albo powstania albo tyranii. Jednakowoż, rząd monarchiczny, ku któremu się przechyłam, nie jest bezwzględnie dobrym, bo rezultaty polityki wiecznie zależęć będą od obyczajów i pojęć religijnych. Jeżeli naród się zestarzał, jeżeli błędna filozofia zepsuła go aż do szpiku kości, naród taki pomimo pozorów wolności dąży do despotyzmu tak samo, jak narody pełne sił i zdrowia moralnego umieją prawie zawsze znaleźć wolność nawet pod formami despotyzmu. I z tego wszystkiego wynika konieczność wielkiego ograniczenia w prawach wyborczych, konieczność władzy potężnej i jednolitej, konieczność religii, która bogacza przyjacielem biednego czyni a temu ostatniemu nakazuje zupełne poddanie się losowi. Wreszcie potrzeba zredukować działalność zgromadzeń do kwestyi podatków i akceptowania praw, odbierając im możność bezpośredniego ich stanowienia. Inne jeszcze myśli roją się po wielu głowach; wiem o tém. Dziś, jak dawniej, istnieją jeszcze zagorzali marzyciele szukający wciąż *najlepszego*, którzyby chcieli uczynić społeczeństwa mądrzejszemi, aniżeli one mogą być w istocie. Ale wszelkie zmiany, dążące do zupełnego przerobienia dotychczasowego porządku rzeczy, potrzebują znaleźć poparcie u całego ogółu. Nowatorom cierpliwość jest niezbędną. Gdy biorę pod uwagę czas, jaki upłynął,

zanim się utrwalił chrystyanizm, ta rewolucja moralna nawskroś pokojowa, prawdziwie dreszcz mnie przejmuje na myśl o nieszczęściach, jakieby mogła sprowadzić rewolucja w widokach materyalnych zażegnęta, i całym sercem obstaję za utrzymaniem obecnie istniejącego stanu rzeczy. Każdemu jego myśl — powiedział chrystyanizm; każdemu jego pole — powiedziało prawo nowożytnie, zgodne w tém z duchem chrześcijańskim. Każdemu jego myśl jest uświęceniem praw rozumu; każdemu jego pole jest uświęceniem praw własności pracą zdobytej. Oto i cały ustrój społeczny. Natura życie ludzkie oparła na podstawie instynktu zachowawczego; społeczeństwo ugruntowało się na podstawie interesu osobistego. Takie są dla mnie prawdziwe zasady polityki. Religia poddając te dwa egoistyczne uczucia wyższej myśli o życiu przyszłym, łagodzi ostrość społecznych wymagań. Tak więc, Bóg uśmierza cierpienia wynikłe ze wzajemnego starcia się interesów ludzkich, jak usuwa starcia się w mechanizmie swych światów. Chrystyanizm nakazuje biednemu znosić bogacza, bogaczowi wspomagać ubogiego i te kilka słów są według mnie streszczeniem wszystkich praw boskich i ludzkich.

— Ja, który nie jestem mężem stanu — ozwał się notaryusz — uważam każdego władcę za płatnika społeczeństwa, do nieustannej wypłacalności obowiązanej, który następcy swemu winien przekazać spadek równy temu, jaki sam otrzymał.

— I ja także nie jestem mężem stanu — odparł żywo Benassis, przerywając notaryuszowi — nie potrzeba nic więcej prócz zdrowego rozsądku, aby polepszyć los jakiegoś gminy, kantonu lub okręgu; rządzenie całym departamentem wymaga już pewnych zdolności; ale i tak te cztery sfery administracyjne mają dość ciasny widnokrąg, by go zwyczajny wzrok objąć był w stanie; interesa ich łączą się z olbrzymim ruchem państwa widocznymi węzłami. W sferach wyższych wszystko się powiększa i spojrzenie męża stanu powinno z tego stanowiska, na którym stoi, ogarniać całą społeczną widownię. W departamencie, okręgu, kantonie lub gminie można zdziałać wiele dobrego nie sięgając myślą i obliczeniem skutków dalej jak na jaki dziesiątek lat naprzód, ale gdy idzie o dobro narodu.... o! wtedy to już wiek cały, całą mglistą przyszłość w rachubę wziąć trzeba. Geniusz Colberta, Sully'ego, będzie niczym, jeśli mu zabraknie tej woli żelaznej, jaka stworzyła Napoleona i Cromwella. Wielki minister, panowie, jest-to wielka myśl wypisana na wszystkich latach wieku, którego świetność i dobrobyt przez niego przygotowanymi zostały. Wytrwałość — to najniezbędniejsza cnota dla takiego męża, chociaż i w każdym innym zastosowaniu jest ona najwyższym wyrazem siły. Widzimy od pewnego czasu zbyt wielu ludzi posiadających tylko idee ministeryalne a pozbawionych uczucia narodowego, byśmy nie mieli uwielbiać prawdziwego męża stanu takiego, jakim go nam najwyższa ludzka poezja przedstawia. Wciąż patrzeć w przyszłość i uprzedzać wypadki, wznieść się po nad władzę i dzierżyć ją tylko dlatego że się widzi korzyść, jaką stąd naród osiąga; wyzuc się dlatego ze wszystkich namiętności i ambicji pospolitych, zostać zupełnym panem siebie i mózdz przewidywać, chcieć i działać bezustannie; być sprawiedliwym i nieugiętym; utrzymywać ład w całym państwie; nakazać milczenie własnemu sercu, słuchać tylko rozumu; nie być ani podejrziwym, ani wynętrzającym się, ani łatwowiernym ani sceptykiem, ani wdzięcznym ani niewdzięcznym; żyć wreszcie uczuciami mas, a zawsze wznosić się po nad nie, z rozpostartymi skrzydłami rozumu, potęgą głosu i przenikliwością wzroku, nie jest-że to być trochę więcej jak człowiekiem? To też imiona tych wielkich ojców narodów powinnyby przetrwać na wieki we wdzięcznej pamięci pokoleń.

Nastąpiło milczenie. Biesiadujący spojrzeli po sobie.

— Panowie! a o wojsku to ani słowa! zawołał Genestas — co do mnie, uważam organizacją militarną za wzór każdego dobrego społeczeństwa; miecz jest opiekunem narodów.

— Kapitanie — rzekł śmiejąc się sędzia pokoju — jakiś stary adwokat powiedział, że państwa zaczynają od miecza a kończą na kałamarzu; jesteście w epoce kałamarza.

— A teraz, panowie, kiedyśmy już rozporządzili losami świata, mówmy o czém inném. No, kapitanie, szklankę wina z mojej Pustelni — zawołał śmiejąc się lekarz.

— Choćby dwie — odparł kapitan — a wypiję je za zdrowie wasze, panowie, i człowieka, który zaszczyt rodzajowi ludzkiemu przynosi.

— I którego wszyscy kochamy — rzekł pleban głosem pełnym słodyczy.

— Księżę proboszczu, chcesz-że mnie do grzechu pychy doprowadzić?

— Ksiądz proboszcz powiedział cicho to, co cały kanton głośno powtarza — ozwał się Cambon.

— Panowie — zaproponował lekarz wstając od stołu — odprowadzimy księdza proboszcza do plebanii; użyjemy przechadzki przy blasku księżycy.

Wszyscy chętnie zgodzili się na tę myśl gospodarza domu.

— Pójdźmy do stodoły — rzekł Benassis biorąc Genestasa pod rękę, gdy już pożegnali proboszcza u drzwi jego mieszkania — tam, kapitanie Bluteau, usłyszysz mówiących o Napoleonie, tém bożyszczu ludu, o którym stary piechur Goguelat rozgadać się umie czasem do nieskończoności. Mikołaj przystawi nam drabinę do otworu w dachu, wejdziemy tamtędy i skryjemy się w sianie na górze, tak abyśmy wszystko widzieć mogli. Pójdź pan; wierzaj mi, wieczornica ma swoją wartość. Nie pierwszy-to raz zagrzebię się w sianie, by słuchać opowieści żołnierza, lub bajki wieśniaka. Ale schowajmy się dobrze, bo ci ludzie jak tylko kogoś obcego zobaczą, są już skrupowani i pokazują się innemi aniżeli w istocie.

— Ech! panie kochany — rzekł Genestas — nieraz i ja też udawałem śpiącego, by lepiej słuchać, co prawia biwakujący żołnierze; na honor nigdy się tak nie uśmiełem na teatrach paryzkich, jak raz przy opowiadaniu starego wachmistrza, który nowozaciecznym, bojącym się wojny, nabajał raz niestworzonych rzeczy o odwrocie z Moskwy. Mówił, że umarli zatrzymywali się w drodze, że zamiast zgrzeblem zębami chędożyliśmy konie, że lubiący się ślizgać używali téj przyjemności do syta, a lubownicy zmarzłego mięsa raczyli się niem aż miło, że kobiety były wogóle zimne i że jedyną rzeczywiście przykrą rzeczą był brak wody ciepłej do golenia. Jednem słowem, wygadywał tak cudackie historye, że nawet stary palacz z odmrożonym nosem śmiał się z nich do rozpuku.

— Cyt! rzekł Benassis, jesteście u celu. Wstępuję pierwszy, a pan idź za mną; tylko pocichu.

Obaj weszli po drabinie i usadowili się w sianie, po nad głowami zebranych na wieczornicę ludzi, którzy tego ani nie spostrzegli, ani nie usłyszeli. W bliskości trzech czy czterech świec siedziało kilkanaście kobiet, z których jedne szyły, drugie przędły, inne wreszcie z beczynnymi rękami, wyciągniętą szyją i wlepionemi w jakiegoś starego wieśniaka oczyma słuchały bajki, którą im ten opowiadał. Mężczyźni stali po większej części, lub na wiązках słomy leżeli. Wszystkie te grupy w głębokim milczeniu skupione, słabo oświetlał niepewny połysk świec, wywołując w téj olbrzymiej, ciemnej w górze i w kątach stodoły malownicze światłocienia. Tu połyskiwało opalone ciało i jasne oczy zaciekawionej dziewczyny, tam drżący płomień igrał po spracowanych twarzach starców fantastycznie łamiąc się na ich spłowiałem, zniszczonem odzieniem. Wszyscy ci, w rozmaitych postawach rozrzucony słuchacze, wyrażali nieruchomością swych rysów najzupełniejsze poddanie swéj uwagi i myśli słowom opowiadającego. Był-to ciekawy w swoim rodzaju obraz, przedstawiający ten wpływ potężny, jaki poezya na wszystkie umysły wywiera. Bo czyż wieśniak żądający zawsze od opowiadacza rzeczy cudownych a prostych, niemożliwych, a prawie godnych wiary, nie jest tém samém miłośnikiem najczystszej, najwznioślejszej poezyi?...

— Choć dom ten bardzo lichy wyglądał — mówił wieśniak w chwili, gdy dwaj nowi przybysze powiększyli liczbę słuchaczy — biedna garbata baba była tak zmęczoną noszeniem konopi na targ, a noc już nadchodziła, że weszła do niego. Poprosiła tylko o nocleg, a za całe pożywienie wydobyła kromkę chleba ze zajdów i zjadła. Tak tedy, gospodyni, niby to żona rozbójników, nie wiedząc nic, co oni w nocy robić zamysłali, przyjęła naszą garbatą i umieściła ją na górze po ciemku. Baba kładzie się na lichym sieniaku, odmawia pacierze, myśli o swoich konopiach i zabiera się do snu. Ale nim jeszcze zasnęła, słyszy jakiś szmer i widzi wchodzących do izby dwóch ludzi. Każdy z nich trzymał nóż w rękę, a mieli też i latarnię z sobą. Babę strach zdjął, bo to widzicie, w owych czasach panowie bardzo lubili pasztety z człowieczego mięsa, więc zabijano dla nich ludzi na tę potrawę. Ale, że baba miała skórę twardą jak rzemień, uspokoiła się i pomyślała, że nie byłaby dobrą do jedzenia. A ludzie przechodzą tymczasem koło niéj, idą do łóżka, co stało w wielkiej izbie, i gdzie spał ten pan, co to miał taką dużą walizę i umiał wywoływać umarłych. Wysoki rozbójnik podnosi latarnię i bierze pana za nogi, a mały, ten, co to pijanego udawał, chwytą go za głowę i ciach! ucina za jednym zamachem. Potém oba biorą walizę, zostawiają ciało i głowę całe we krwi i odchodzą. Baba nasza dopióro w kłopotcie!

Nasamprzód chciała zabrać się zaraz i odejść, nie wiedząc jeszcze, że to opatrność tu ją przyprowadziła, by przez nią okazać moc bożą i ukarać morderców. Ale widzicie, baba była w strachu, a jak się człowiek boi, to o niczym nie myśli. Tedy, co się dzieje, gospodyni pyta zbójów, czy widzieli garbulę? Ci przelękli się, i na palcach po drewnianych schodach wchodzą na górę. Biedna baba zwinęła się w kłębek ze strachu i słyszy, jak się oni po cichu kłóca: — Ja ci mówię, że ją trzeba zabić. — A ja ci mówię, że nie trzeba. — Zabij ją. — Nie! — Tak przekomarzając się wchodzą.

Moja baba, nie w ciemną bita, zamyka oczy i udaje, że śpi. Ale to powiadam wam śpi jak dziecko: rękę na sercu położyła i oddycha równiutko niby aniołek. Ten, co trzymał latarnię, otwiera ją i świeci babie w oczy, a ta ani mrugnie, tak się boi o swoją skórę. Widzisz, że śpi jak kłoc — mówi wysoki. — Oj! te stare, to chytre — odpowiada mały. — Zabiję ją, będziemy spokojniejsi. Posoli się babsko i da się wieprzom do zjedzenia. Baba słyszy to, ale ani drgnie. — No, to widać, że śpi — powiada mały i poszli. — Tak się to uratowała stara. I można powiedzieć, że na odwadze jej nie zbywało. Nie znajdzie się tu pewno żadna dziewczyna, co-by oddychała jak aniołek słysząc, że ją chcą dać wieprzom na pożarcie. Tedy znowu rozbójnicy wracają do zabitego pana, owijają go w prześcieradło i wynoszą na podwórze, a stara słyszy, jak wieprze z charchotaniem zbiegają się na tak smaczny kąsek.

Na drugi dzień — ciągnie dalej opowiadający po chwilowym przestanku — baba wstaje, bierze swoje zajdy, płaci dwa grosze za nocleg, gada o tym i owym, jakby nigdy nic, i wreszcie wychodzi. Raz za drzwiami, chce biedz co tchu, a tu ani rusz; strach jej popodcinał nogi. Ale na dobre jej to wyszło, bo jeden zbójca szedł za nią, aby się jeszcze lepiej przekonać, czy też ona nic nie wie. Baba jak go zobaczyła, zaraz to sobie pomiar-kowała i siada na kamieniu. — Cóż wam to moja kobiecino — pyta mały, bo to był mały ten najgorszy z nich, co za nią poszedł. — Ach! moi kochani! — odpowiada — takie ciężkie mam zajdy i się już zdźwigałam! ot, gdyby mi to jaki poczciwy człowiek (widzicie jaka sprytna) rękę podał i do domu zaprowadził! A zbójca na to: — Ja wam pomogę. Baba przyjmuje. On bierze ją za rękę, by się przekonać, czy się boi. Ale nie! ani drgnęła. Idą więc spokojnie przez pola rozmawiając o zbożu, o konopiach, o tym i owym, aż dochodzą do przedmieścia, gdzie mieszkała baba i gdzie ją rozbójnik pożegnał, bojąc się, by kogo z policyi nie spotkał. Baba przyszła do siebie około południa i czekała na męża rozmyślając o tym wszystkim, co jej się w nocy i w drodze przytrafiło. Nad wieczorem wraca mąż głodny okrutnie i woła jeść. Baba bierze patelnię, aby mu co upietrasić i zaczyna opowiadać, jak sprzedała konopie, jak szła, jak to, jak owo, paple i paple babskim zwyczajem, ale ani słówka nie piśnie o zabitym panu i o wieprzach i rozbójnikach. A no dobrze. Bierze tedy, jak-em rzekł, patelnię i chce ją wysmarować tłustością, aż tu patrzy, a ona pełniuteńka krwi. Czémże ty ją zababrał? — pyta męża. Czémże-bym miał znów zababrać? mówi ten na to, — niczym. Baba myśli, że jej się przywidziało, i kładzie patelnię na ogień. Aż tu buc! głowa wypada z komina. Widzisz — mówi baba — to właśnie głowa zabitego pana. Jak ona na mnie patrzy! Czegóż chcesz? gadaj! — *Chcę, abys mnie pomściła!* — odpowiada głos jakiś. — Nie bądź głupia i nie pleć trzy-po-trzy — rzece mąż. Bierze głowę i wyrzuca ją na podwórze, a głowa jak go nie ugryzie w palec! — Smaż dalej, co masz smażyć i nie turbuj się tym — mówi on do baby — to kot! — Kot! odpowiada tamta — co ty gadasz, toć to było okrągłe jak kula. Kładzie znowu patelnię na ogień i znowu buch! wypada noga. — Ta sama historia. — Mąż wcale nie przestraszony łapie nogę, jak złapał głowę, i wyrzuca za drzwi. Potem wypada druga noga, dalej obie ręce, kadłub, krótko rzekłszy, cały zamordowany pan. O smażeniu ani myśleć; a konopiarz głodny aż strach. Klnę się na moje zbawienie — powiada — że jak mi się jedzenie usmaży, zrobię wszystko, czego ten człowiek zażąda! — Aha! mówi baba — więc przekonałeś się teraz, że to człowiek. A dlaczego wmawiałeś we mnie, że to nie była głowa, tylko kot, sprzeko ty jakiś. Co robiący, tłucze ona jajka, przyrządza z nich jakieś jadlo i podaje go mężowi, nie mrucząc już; bo już ją cała ta sprawa zaczyna niepokoić. Mąż siada i zaczyna jeść, ale baba ani tknie, bo ją głód ze strachu ominął. Aż tu: puk, puk, ktoś sztuka. — Kto tam. — Pan, co go wczoraj zabili. Proszę wejść — mówi konopiarz. — Zamordowany wchodzi, siada na rydlu i rzece: — Pamiętajcie na Boga, który daje spokój wieczny tym, co wyznają święte imię Jego. Kobieto! widziałeś, jak mnie zabijali, i milczysz! Wieprze mnie zjadły, a wieprzom do rajy wejść nie można. Więc ja, co jestem

chrześcijaninem, muszę iść do piekła dlatego, że baba trzyma język za zębami; słyszana to rzecz! Musicie mnie wyzwolić. I tam dalej. Baba, w coraz większym strachu, czyści patelnię, kładzie świąteczny przyodziewek, idzie do sądu, opowiada całą rzecz i niedługo złodzieje dyndają na rynku, jak Bóg przykazał. Po tym dobrym uczynku baba i jej mąż mieli zawsze najpiękniejsze konopie, a co ich jeszcze więcej ucieszyło, to to, że urodził im się syn, czego oddawna pragnęli, a ten syn stał się z czasem baronem. Tak się kończy prawdziwa historia o odważnej garbuli.

— Nie lubię takich historii; ciągle mi się potem marzą — rzekła Gabrynia. — Wolę coś o Napoleonie.

— To prawda — potwierdził stróż domowy. — No, panie Goguelat! opowiedzcie nam o Napoleonie.

— Już za późno — odparł piechur — a ja skracać historii nie lubię.

— To nic nie szkodzi; mówcie ino! — Znamy to wszystko, boście nam już nieraz opowiadali; ale zawsze miło takich rzeczy posłuchać.

— Opowiadajcie o cesarzu! — zawołało kilka głosów.

— Ha! skoroć chcecie — odparł Goguelat. — Ale zobaczycie, że to nic nie warto, kiedy się tak galopem opowiada. Wolę wam już jaką bitwę opowiedzieć! Na ten przykład o Champ-Aubert, gdzie już nie było ładunków, tylko się bagnetami dźgali? Cóż, chcecie?

— Nie! Nie! O cesarzu, o cesarzu!

Szeregowiec powstał z wiązki słomy i powiódł po zgromadzonych to ponure, brzemienne nędzą, cierpieniem i wypadkami, spojrzenie, jakie bywa starym żołnierzom właściwe. Obu rękami podwinął sobie poły kapoty w kształcie wałka, w którym niegdyś mieściła się jego odzież, buty i cały majątek, oparł się na lewej nodze, prawą naprzód wystawił i odgarnąwszy swe włosy, wznosił oczy do góry, jakby chciał podnieść się do wysokości zdarzenia, które miał opowiadać.

— Widzicie, moi kochani — zaczął — Napoleon urodził się w Korsyce, a Korsyka to jest wyspa francuzka, ogrzana słońcem włoskim, gdzie się wszystko jak w kotle gotuje i gdzie jedni drugich zabijają z pokolenia na pokolenie, ot tak! nie wiedzieć dlaczego. Aby od najdziwniejszej rzeczy zacząć, powiem wam, że jego matka, co była najpiękniejszą swojego czasu kobietą, a filutką jakich mało, umyśliła poświęcić go panu Bogu, by go od wszelkich niebezpieczeństw życia bronił; bo w dzień rozwiązania śniło jej się, że cały świat w płomieniach widziała. Było to proroctwo! Prosi tedy Boga, aby go miał w swęj świętej pieczy, pod warunkiem, że Napoleon przywróci religię, która wtedy w strasznej była poniewierce. Jak się ułożyło, tak się stało.

A teraz, słuchajcie uważnie, i powiedzcie sami, czy to rzecz zwyczajna, co wam powiem.

Już to nie ma wątpliwości, że tylko człowiek, który zawarł tajemniczy układ z Bogiem, mógł nietykalny przechodzić pośród kul, bomb i kartaczowego ognia, od czego ludzie padali jak muchy. Ja sam się o tym przekonałem pod Eylau. Widzę go jeszcze, jak wchodzi na wzgórek, bierze lunetę, rozpatruje bitwę i mówi: — Dobrze idzie! — A jednemu z tych intrygantów, co to nosili kity, i chodzili za nim krok w krok, nie dając mu spokoju nawet podczas jedzenia, przyszło do głowy udawać cesarza, i gdy Napoleon odszedł, stanął na jego miejscu. W téjże chwili jak kulka nie świśnie i już po nim! Domyślcie się, że Napoleon nikomu sekretu swego nie wydał. Dlatego też wszyscy, co mu towarzyszyli, nawet jego najbliżsi przyjaciele: — Duroc, Bessières, Lannes, ludzie silni jak sztaby żelazne, których on jednak wedle swojej woli niby trzcinowe laski giąć potrafił, padali jak orzechy. Wreszcie, najlepszym dowodem tego, iż Napoleon był dzieckiem Boga zesłanem na to, aby się stał ojcem żołnierzy, najlepszym tedy dowodem mówię jest to, że nie był nigdy ani porucznikiem, ani kapitanem! Tak, tak! od razu dowódcą.

Nie wyglądał na więcej jak na dwadzieścia cztery lat, kiedy już był generałem, a to od wzięcia Tulonu, gdzie zaczął od tego, iż pokazał innym, jak się to z armatami obchodzić trzeba. Tak tedy, moi kochani, jednego dnia spada nam taki chuderlawy generałek na dowódcę armii włoskiej, która nie miała wtedy ani żywności, ani amunicji, ani ubrania, ani butów, jednym słowem goła była jak święty turecki. Moje dzieci! powiada on do nas, jesteście tu razem. Otóż wbijcie to sobie w mózgownice, że od dziś za dwa tygodnie będziecie zwycięzcami, będziecie mieli porządne płaszcze, buty jak się należy i wszystko, ale, moje dzieci, potrzeba zdobyć Medyolan, aby tego dostać. On rzekł, a myśmy

poszli. Było nas trzydzieści tysięcy obdartusów przeciwko osiemdziesięciu tysiącom zuchów niemieckich, tęgich chłopców, dobrze odzianych, jakbym ich dziś widział. Wtedy Napoleon, który był jeszcze tylko Bonapartem, tak jakoś w nas tchnął męztwo i siły, że jakbyśmy się odrodzili! Idziemy nocą, idziemy dniem; tłuczemy Niemców pod Montebotte, sprawiamy im łaźnię pod Rivoli, Lodi, Arcole, Mellesimo i już ich ani popuścim. Żołnierze zasmakowali w zwycięztwach. Napoleon obsacza tych generałów niemieckich, co sami nie wiedzieli, co ze sobą robić, zabiera im czasem po dziesięć tysięcy ludzi od jednego razu, zabiera działa, żywność, amunicję, pieniądze, wszystko, co pod rękę podpadło, i gdzie-bądź na wodzie, na ziemi, na górach, w dolinach, wszędzie ich bije na kwaśne jabłko. A tymczasem armia podpasła się aż miło; bo widzicie, cesarz, który był także bardzo sprytny, wszędzie gdzie przyszedł, mówił mieszkańcom, że ich oswobodzić przychodzi. Więc oni też karmili nas i kochali; kochały nas i kobiety, bo to były bardzo sprawiedliwe istoty. Koniec końców w *Ventozie* 96 roku, co podówczas nasz dzisiejszy miesiąc marzec znaczyło, zostaliśmy panami Włoch, jak to przepowiedział Napoleon, a następnego roku także w marcu, spotkaliśmy się oko w oko z Wiedniem, uprzątnąwszy wszystko przed sobą jak miotłą. Zniszczyliśmy trzy różne armie z kolei i wyprawili na tamten świat czterech generałów, z których jeden siwy już dziad upiekł się jak szczur w słomie podczas wzięcia Mantui. Królowie na kolanach łaski żebrali. Zawarto pokój. I pytam, czy człowiek sam przez się mógł to wszystko zdziałać? Nie! Bóg mu dopomagał, to pewna. Bo uważcie tylko, Napoleon rozmnażał się jak te pięć chlebów ewanigelicznych i w dzień staczał bitwę, w nocy przygotowywał plan nową utarczki, a warty widziały go wciąż chodzącego tam i napowrót. Ani jadł, ani spał. Więc żołnierze, uznając te cuda, tłoczyli się do niego jak do ojca, i naprzód! Tamci zaś w Paryżu, widząc co się dzieje, powiedzieli sobie: — „To ci dopiero człowiek! Z nieba mu chyba rozum przychodzi; mógłby jak nic zagarnąć Francję; trzeba go pchnąć na Azyę lub Amerykę; może na nich poprzestanie.” Już to było mu zapisane, jak panu Jezusowi. Ni z tego, ni z owego, każą mu się gotować na wyprawę do Egiptu. I tu jeszcze podobieństwo z Synem Bożym. Ale nie na tym koniec. Napoleon zbiera najlepszych swoich zuchów i mówi im w ten sens: — Moje dzieci! Dają nam teraz Egipt do zgryzienia. Nie taki to twardy orzech! Połknijmy go, jak połkniliśmy Włochy; a prości żołnierze będą mieli za to swoje grunta, jak udzielnicy księżęta. Naprzód!” „Naprzód wiara” powtórzyli sierzanci i tak docieramy do Toulonu, kędy droga na Egipt. A trzeba wam wiedzieć, że morze było wtedy pełne angielskich okrętów. To też, kiedy my wsiadamy na nasze, Napoleon powiada: — „Oni nas nie zobaczą; i dobrze jest, abyście odtąd wiedzieli, że generał wasz ma swoją dobrą gwiazdę w niebie, która go prowadzi i osłania.” Jak rzekł, tak się stało. Płynąc morzem, po drodze bierzemy Maltę, niby pomarańczę, aby nią pragnienie zwycięztw ugasić; bo to był człowiek, który ani chwili beczynnie usiedzieć nie mógł. Już tedy jesteśmy w Egipcie. Dobrze. Tam znów — inna sprawa. Egipcyanie, widzicie, są-to ludzie, którzy jak świat światem mieli zawsze olbrzymów za władców, a armie liczne niby mrowiska; bo jest-to kraj geniuszów i krokodyłów, gdzie stoją piramidy wielkie jak nasze góry, a pod temi piramidami leżą egipcyscy królowie, zachowani świeżo niby w marynacie, co mi się wogóle podoba. Kiedy przyszło do wylądowania, nasz mały kapral powiada: — Moje dzieci! Kraje, które macie zdobywać, mają mnóstwo swoich bogów i tych uszanować należy, bo Francuz powinien być przyjacielem całego świata, choć się z kim bije, nie drażnić go bezpotrzebnie! Pamiętajcie więc: — Niczego nie ruszać, a potem wszystko będzie nasze! Marsz! — Dobrze więc. Ale ci ludzie, którym Napoleon był przepowiedziany pod imieniem *Kebir-Bonaberdis*, co w ich narzeczu znaczy *Sultan daje ognia*, bali się go jak dyabła. Tak tedy, Turcyja, Azja i Afryka uciekają się do magii i przysyłają nam czarownika zwanego Mody, o którym mówiono, że zstąpił z nieba wraz ze swoim białym koniem, że obce kule szkodzić mu nie mogły i że żywił się samém powietrzem. Byli tacy, co to widzieli, ale za prawdę tego zaręczyć wam nie mogę. Myślę, że to tylko władze Arabii i mamelucy chcieli wmówić w swoje wojska, iż Mody uchroni ich od śmierci w bitwach, i rozgłaszali, że to był anioł zesłany z nieba dla zwyciężenia Napoleona i odebrania mu Salomonowej pieczęci, którą niby-to generał nasz miał ukraść. Domyślacie się, że mimo te gadaniny kule zrobiły swoje.

Ale powiedzcie-no tylko, zkąd oni wiedzieli o układzie Napoleona z Bogiem? Byłoż to rzeczą naturalną?

Wszyscy przecież wierzyli, że się porozumiewał z duchami i mógł w jednym mgnieniu oka przenosić się z miejsca na miejsce jak ptaszek, że przybył po to, aby im porwać piękną jakąś królową i ofiarował za nią wszystkie swoje skarby i dyamenty wielkie jak gołębie jaja; ale mameluk, do którego ona należała, nie chciał w żaden sposób na ten targ przystać, chociaż miał kilka innych. W takim położeniu nie mogło się obejść bez częstych-gęstych bitew, czego też i nie szczędzono; każdemu się za swoje dostało. Stawaliśmy w szeregach pod Aleksandryą, pod Giseh i przed piramidami. Trzeba było maszerować pod słońce, po piaskach, gdzie ludzie skłonni do ćmienia w oczach widywali źródła, z których pić nie można było i cieniste gaje, wtedy gdy wszystkim pot dziurkiem lał się z czoła. Ale mimo to, pobiliśmy mameluków jak zawsze; Napoleon zagarnął wtedy wyższy i niższy Egipt, Arabią i stolice nie istniejących już królestw, gdzie było do dyabła cudackich posągów, jaszczurek jeszcze więcej i ziemi tyle, że każdy mógł sobie brać tyle gruntu, ile mu się żywnie podobało. Tymczasem, gdy Napoleon gospodarzy w zwojowanych krajach, gdzie chciał nielada rzeczy zdziałać, Anglicy palą mu flotę w bitwie pod Abukir, bo już nie wiedzieli, co mają robić, aby nam dokuczyć. Ale Napoleon, którego wschód i zachód szanował, któremu papież mówił „kochany synu”, a krewny Mahometa „kochany ojciec”, postanowił zemścić się na Anglikach i odebrać im Indye w zamian za spaloną flotę. Już miał nas prowadzić do Azji przez morze Czerwone, w kraje, gdzie złoto i dyamenty pełnemi garściami zbierać można, a tu ten czort Mody wchodzi w konszachty z zarazą i przysyła ją, by nam na drodze do zwycięstw stanęła. Masz tobie! Żołnierze jeden za drugim paradują na tamten świat; ani myśleć o wzięciu Świętego Jana z Akry, pomimo, żeśmy do niego trzy razy, jak przystało na waleczne i wytrwałe wojska, wchodzili. Ale zaraza nas przemogła. Wszyscy chorowali, jeden tylko Napoleon zdrow był jak ryba i świeży jak róża, choć ciągle lękał tę przeklętą zarazę.

No, powiedźcie sami, czy to nie wyraźny cud? Mamelucy, widząc, że jesteśmy w ambulansach, chcą nam zagrozić drogę, ale nie z Napoleonem takie sztuki! Woła on tych, co mieli najtwardszą drogę, i mówi im: — Uprzątnijcie mi drogę. Tedy Junot, rębacz pierwszego rzędu i jego serdeczny przyjaciel, bierze tylko tysiąc ludzi i z tą garstką bije na łeb na szyję całą armię paszy, któremu się zdawało, że nam wpoprzek stanie. Zaraz potem wracamy do Kairu, naszej głównej kwatery. Tu znów inna historia. Podczas nieobecności Napoleona we Francji działy się niesłychane rzeczy. Ci, co nią owdładnęli, nie chcieli płacić żołdu wojsku, nie dawali im ani bielizny, ani odzienia, pozwalali zdychać z głodu, a mimo to, żądało im się, aby to biedne wyniszczone żołnierstwo wojowało z całym światem. Byli-to bowiem głupcy, którzy rozprawiali zamiast wziąć się do dzieła, jak tego potrzeba. Więc, cóż się dzieje? Armie pobite, granice Francji zagrożone, a człowieka nie ma. Mówię *człowieka*, bo tak tam oni nazywali Napoleona, choć-to głupstwo wierutne, skoro on miał swoją gwiazdę i inne nadziemskie przywileje; to myśmy byli ludźmi! Napoleon dowiedział się o nieszczęściach Francji po słynnej bitwie pod Abukir, gdzie nie straciwszy więcej nad trzystu ludzi i z jedną tylko dywizją zwyciężył wielką dwudziestopięć-tysięczną armię turecką i przeszło połowę tych zuchów jak szczenięta w morzu potopił. Był-to ostatni jego tryumf w Egipcie. Powiedział sobie bowiem: „Jestem zbawcą Francji; wiem o tém; trzeba mi tam iść.” Ale uważcie tylko, że armia nic o jego wyjeździe nie wiedziała; bo inaczej bylibyśmy go siłą zatrzymali i cesarzem Wschodu zrobili. Posmutnieliśmy więc wszyscy, gdy go zbrakło, bo on był naszą radością. Dowództwo Napoleon zostawił Kleberowi; dzielny-to był człowiek, ale wprędce pomaszerował na tamten świat, zamordowany przez jakiegoś Egipcjanina, którego za to wświdrowano na bagniet, bo tam w taki sposób gilotynują ludzi; ale to jest tak okrutna śmierć, że któryś z żołnierzy ulitował się nad zbrodniarzem i podał mu czarękę; a ten skoro się napił wody, lępnął tylko oczami i już po nim!

Ale to drobnostka i mówić o tém nie warto. Napoleon tymczasem wsiada na statek, mały niby orzechowa lupina, który on nazwał *Fortuną* i w jednym mgnieniu oka, tuż pod samym nosem Anglii, która strzegła granic statkami liniowymi, fregatami i czém tylko mogła, wylądowuje we Francji. Tak-to on umiał przebywać morza, jednym susem! I to może było rzeczą zwyczajną? Co? — Jak tylko dotarł do Frejus, to tak samo jak-by już był w Paryżu. Tam znów, wszyscy go wielbią, ale on zwołuje rząd. „Coście zrobili z memi dziećmi żołnierzami? — pyta tych nicponiów. Jesteście marnotrawcy, oszukuje-

cie świat i pasiecie się kosztem Francji. To niesprawiedliwie, a ja w imieniu wszystkich powstaję przeciwko temu!” Oni dopiero w hałas, w krzyki; chcą go zabić, ale ba! Jak ich ścisną! aż oknami wyskakowali. I tak ich utresował, że ucichli jak ryby a pokorni byli niby baranki. Od jednego zamachu wyrósł na konsula; a że nie jemu—to było wątpić o potęgę Najwyższej Istoty, więc też zaraz uścił się z obietnicy Panu Bogu, który mu tak słowa dotrzymywał; przywrócił kościoły, religią i wszędzie bito we dzwony *dla Boga i dla niego*, na chwałę Boga i jego. I otóż wszyscy kontenci: *po pierwsze*, księża, których od poniewierki wybawił; *po drugie* mieszczanie, którzy mogą prowadzić dalej handel i nie bać się *rapiamus’a* niesprawiedliwych praw; *po trzecie* szlachta, którą zaprzestano mordować, jak-to już było nieszczęśliwie w zwyczaj weszło. Ale nie dosyć na tém. Trzeba potać z nieprzyjacielem. Napoleon nie zasypia gruszek w popiele, bo widzicie, on tak potrafił okiem cały świat prześwidrować jak jabłko nożem. Buch więc napowrót do Włoch, spojrzął na nie, jak przez okno na ulicę i to starczyło. Pobiliśmy Austryaków pod Marengo, ho! ho! była tam rąbanina, aż wióry leciały! Zwycięstwo Francji tak głośno zaśpiewało swoją pioszeczkę, że ją cały świat usłyszał. „Bastujemy” rzekły Niemcy. „Dosyć tego dobrego” powiedzieli inni. Cała Europa stchórzyła i nastąpił pokój ogólny, w którym królowie i narody udawali, że się caują. Wtedy-to Napoleon wymyślił legię honorową! rzecz bardzo piękną, moi kochani. „We Francji — powiedział on do całej armii zebranej w Boulogne — we Francji wszyscy są odważni! a więc cywilni będą braćmi żołnierzy i połączą się z nimi pod chorągwią honoru.” Gdy się to dzieje, my, cośmy tam za morzem zostali, wracamy z Egiptu. Wszystko się zmieniło. Pożegnaliśmy Napoleona generałem, a w krótkim czasie witamy go cesarzem. Na moją duszę, Francja oddała mu się tak, jak ładna dziewczyna dziarskiemu ułanowi. Tak tedy, gdy się to wszystko ku ogólnemu można powiedzieć zadowoleniu zrobiło, nastąpiła święta uroczystość, jakiej jeszcze świat nie oglądał. Papież i kardynałowie w swoich złocistych i purpurowych szatach przebyli Alpy umyślnie, aby go wobec ludu i armii bijącej w dłonie z radości poświęcić. I tu się stała rzecz, o której zamilczeć nie mogę. Jeszcze w Egipcie w pustyni blisko Syrii ukazał się Napoleonowi *czerwony człowiek* na górze Mojżesza i powiedział mu: „Dobrze idzie!” Potem pod Marengo, po zwycięstwie, znów ten sam *czerwony człowiek* stanął przed nim i rzekł: „Cały świat u nóg twoich zobaczysz, będziesz cesarzem Francuzów, królem Włoch, panem Hollandyi, władcą Hiszpanii, Portugalii i prowincyj illiryskich, opiekunem Niemiec, oswobodzicielem Polski, pierwszym orłem legii honorowej i wszystkiem!” Ten *czerwony człowiek*, moi kochani, to był niby pośrednik między nim a jego dobrą gwiazdą. Ja temu nigdy nie wierzyłem; ale co się tyczy *czerwonego człowieka*, to święta prawda; Napoleon sam o tém wspominał i mówił, że w chwilach ciężkich ten człowiek przychodził do niego do pałacu Tuileries z pociechą i radą. Otóż, w dzień koronacji, Napoleon zobaczył go po raz trzeci i bardzo długo radzili ze sobą o rozmaitych rzeczach. Zaraz potem, cesarz idzie prosto do Medyolanu i każe się na króla Włoch koronować. Tu dopiero rozpoczęły się prawdziwe tryumfy dla żołnierzy. Kto tylko umiał czytać i pisać, zostawał oficerem. Pensje, donacje księstw sypały się gradem, skarby dla sztabu, które Francją nic nie kosztowały, a legia honorowa dostarczała rent, z których ja jeszcze dzisiaj pensją pobieram. Jednym słowem, armia była w takim stanie jak nigdy. Ale cesarz, który wiedział, że będzie cesarzem całego świata, pomyślał i o mieszczanach; każe im więc budować według ich pomysłów rozmaite pomniki tam, gdzie było tak pusto jak na dłoni. Powiadam wam, istne dziwy. Wracamy naprzykład z Hiszpanii, by iść na Berlin, a tu widzimy łuki tryumfalne a nad nimi posągi prostych żołnierzy zarówno jak generałów, Napoleon, w ciągu dwóch, trzech lat nie nakładając podatków na was, napełnił piwnice złotem, powznosił mosty, pałace, pobudował porty, statki, drogi i wydawał miliony milionów, ale to takie masy, że, jak mówiono, mógłby być całą Francją wybrukować frankowemi sztukami, gdyby mu się było podobało. Wtedy dopiero, gdy się już należycie usadowił na tronie i był tak panem wszystkiego, że Europa nic bez jego pozwolenia zrobić nie śmiała; powiada do nas pewnego razu (a trzeba wam wiedzieć, że miał czterech braci i trzy siostry), otóż powiada: Moje dzieci! czy to się godzi aby rodzęństwo waszego cesarza zebrało po świecie? Nie! Ja chcę aby oni wszyscy byli potężni i możni, jak ja nim jestem. Na to trzeba zdobyć królestwo dla każdego z nich, ażeby Francja stała się panią całego świata, aby wszyscy przed nią drżeli i aby pluła, gdzie ję się podoba i niech-by ję wszędzie mówili to, co jest wypisane na moich pieniądzach: „Bóg

z wami” — „Dobrze — odpowiada armia — pójdziemy łowić ci królestwa na bagnety, jak na wędkę.” Bo to, widzicie, jemu nie można się było opierać, i gdyby mu przyszło do głowy zdobywać księżyc, trzeba-by było zbierać manatki i drapać się do góry; na szczęście nie miał po temu chęci. Marsz tedy, idziemy na nowe wojny, że aż ziemia drży! Oj! oj! naniszczyło się to wtedy ludzi i obuwia, a biliśmy się tak zażarcie i tak nas rąbali, że każdego innego odpadłaby była ochota w tej siekaninie. Ale Francuz, moi kochani, rodzi się filozofem i wie, że wcześniej, czy później umrzeć potrzeba. Umieraliśmy więc bez szemrania, bośmy mieli przyjemność widzieć, jak cesarz robił ot to na mapach (tu piechur zakreślił nogą koło na podłodze stodoły) i mówił: „To będzie królestwo” i było królestwo. Dobrze-to były, dobre czasy! Pułkownik wychodził na generała, generał na marszałka a marszałek na króla. Jeszcze teraz jest jeden taki, który to światu powiedzieć może, chociaż to Gaskończyk i zdrajca, bo przeniewierzył się Francji dla zatrzymania korony i nie wstydzi się tego, niegodziwiec! Wreszcie, saperowie umiejący czytać dostawali szlachectwo. Ja sam, który wam to mówię, widziałem jedenastu królów i tłumy książąt otaczających Napoleona jak promienie dokoła słońca. Pojmujecie, że skoro wtedy każdy żołnierz mógł się dochrapać tronu, byleby na to zasłużył, to na niego wszyscy jak na jaką osobliwość patrzyli; na każdego też przypadła część zwycięstwa, co w buletynach ściśle było wykazane. A ile to tych bitew było! Pod Austerlitz, gdzie się armia jak na paradzie popisowała; pod Eylau, gdzieśmy Rosyan w jeziorze topili; pod Wagram, gdzie bitwa trzy dni bez odpoczynku trwała. Krótko mówiąc, było ich tyle co świętych w kalendarzu. To też wtedy jasnym się to już oczom wszystkim stało, że Napoleon miał w pochwie prawdziwą Bożą szpadę. A jaki-to był dobry ojciec dla żołnierzy! Każdego szanował, dbał jak o własne dziecko, aby miał bieliznę, odzież, obuwie, ładunki i chleba podostatkiem; a przytém umiał zachować swoją godność cesarską; bo panowanie było jego rzemiosłem. Ale swoją drogą sierżant, ba nawet prosty żołnierz mógł przyjść do niego i powiedzieć „cesarzu” tak jak nie przymierzając wy do mnie mówicie „przyjacielu”. A on każdego wysłuchał, każdemu sprawiedliwość wyrządził; razem z nami na śniegu sypiał, ot, jak zwyczajny człowiek. Ja sam widziałem go pośród kartaczów tak swobodnym jak wy tutaj, a wciąż czynnym, wciąż przez lunetę, to w tę to w ową stronę patrzącym; to też my byliśmy przy nim tak spokojni, jak oto teraz Baptysta. Nie wiem doprawdy, jak on się brał do tego, ale dość, że gdy do nas przemówił, to jakby nam kto ognia w piersi nasypał! i wnet, aby mu pokazać, żeśmy rzeczywiście jego dziećmi i nie damy się zjeść w kaszy, szliśmy śmiało naprzeciw armat, co rozdziawiały gardziele i wyrzucały z nich miliony kul, aż się jasno robiło! Nawet umierający zbierali ostatki sił, by się podnieść, gdy przechodził, i zawołać „niech żyje cesarz”.

No, a to jak wam się zdaje? zrobilibyście to dla zwyczajnego człowieka? Tedy, moi kochani, skoro Napoleon siebie i wszystkich swoich postanowił jak się należy, gdy już każde miało co żywnie zapragnęło; wtedy musiał rozwieść się z cesarzową Józefiną, choć ją bardzo kochał, bo to była dobra kobieta, tylko że w niej coś było na wywrót i dzieci mu nie rodziła. A on właśnie potrzebował koniecznie następcy. Gdy się o tém dowiedzieli królowie Europy; ubiegali się i bili między sobą, który z nich da mu żonę. Nakoniec pojął sobie, jak nam mówiono, Austriaczkę, córkę cesarów. A Cezar, to był wielki człowiek w dawnych czasach, o którym mówią wszędzie nie tylko u nas, gdzie wszystko zrobił, ale w całej Europie. I to taka prawda, że ja, co wam to opowiadam, widziałem na Dunaju szczątki mostu zbudowanego przez tego człowieka, który musiał być jakimś krewnym Napoleona, co też upoważniło cesarza do wzięcia jego państwa Rzymu w dziedzictwie dla syna. W rok po weselu, co było uroczystością dla całego świata i podczas którego Napoleon uwolnił lud od podatków na lat dziesięć, choć płacono je mimo to, bo poborcy nie zważali na cesarskie postanowienie, żona jego urodziła syna, co został zaraz królem rzymskim, rzecz dotąd niesłychana, bo nigdy jeszcze dziecko się królem za życia swego ojca nie rodziło. Tego dnia wysłano balon z Paryża do Rzymu, aby mu tę wieść zaniósł, i balon w ciągu jednego dnia z całą drogą się uwinął. No! albo to, może kto powie, że to także była rzecz zwyczajna i naturalna? Nie! To już tak było w wyrokach boskich zapisanem i niech dyabli porwą każdego, coby śmiało przeczył, że Napoleon nie był zesłanym z nieba umyślnie po to, aby Francja tryumfowała przez niego. Ale cóż się dzieje dalej! Oto cesarz rosyjski, niby jego przyjaciel pogniwał się srodze, że cesarz nie wziął Rosyanki za żonę i nuże w spółkę z Anglią, co była zawsze naszą nieprzyjaciółką, a szcze-

gólniej zienawidziła Napoleona. Trzeba było raz skończyć z temi wodnemi kaczkami. Napoleon zniecierpliwił się i powiada nam: „Żołnierze! byliście panami wszystkich stolic europejskich. Zostaje Moskwa, stronniczka Anglii. Otóż, aby módz zdobyć Londyn i Indye, należy koniecznie iść na Moskwę.” Zbiera się tedy największa armia, jaką kiedykolwiek ta ziemia nosiła, a tak była mądrze uszykowana, że w ciągu jednego dnia cesarz zrobił rewizyą miliona ludzi. Hura! zawołali Moskale. I cała Rosya powstaje codonogi, i te czorty kozaki zaczynają latać jak nietoperze. Był-to więc cały kraj przeciwko krajowi, Azya przeciw Europie, jak *czzerwony człowiek* powiedział do Napoleona. A Napoleon mu na to: — To dobrze. Zabezpieczę ja się przeciwko niéj! Jakoż wszyscy królowie zaczynają się łaścić naszemu cesarzowi: Austria, Prusy, Bawarya, Saksonia, Polska, Włochy, wszystko to nam schlebia i nadskakuje. Było na co patrzeć, oj było! Nigdy nasze siły tak wysoko jak wtedy się nie wzbily, bo jaśniały ponad chorągwiemi całej Europy. Polacy nie posiadali się z radości, bo cesarz postanowił ich oswobodzić, a to z téj przyczyny, że Polska i Francya zawsze sobie były siostrami. „Nasza Rosya!” krzyczy armia. Wchodzimy tam jak do siebie zaopatrzeni we wszystko, idziemy, idziemy, a Rosyan ani widu ani slychu. Znajdujemy ich wreszcie obozujących pod Moskwą. Tam-to dostałem krzyż, mam przeto racyę mówić, że to była święta bitwa! Jednak cesarz zaniepokoił się trochę, bo widział znów *czerwonego człowieka*, a ten mu rzekł: — „Moje dziecko, idziesz prędzéj, jak nadażyć mozesz, ludzi ci zabraknie, przyjaciele cię zdradzą.” Napoleon tedy proponuje pokój; ale nim go podpisał, powiada: — „Przetrzemy trochę Rosyan”. „Zgoda” woła armia. — Naprzód! krzyknęli sierżanci. Miałem dziurawe buty i podarte odzienienie od tamtejszych przeklętych dróg, ale powiedziałem sobie: — „Nic to nie szkodzi. Skoro niedługo ma być koniec wszystkiego, trzeba całą duszą wytrwać do ostatka”. Stanęliśmy nad wielkim parowem; ja byłem w pierwszych szeregach. Dają hasło i siedemset dział jak utną ze sobą pogadankę, aż krew uszami tryskała! Tu trzeba oddać sprawiedliwość Rosyanom, choć to nasi nieprzyjaciele; ale bili się jak Francuzi i padali trupem na krok nie ustępując. „Naprzód” — krzyczą — nam cesarz jedzie.” Jakoż przemknął koło nas galopem, dając znak, że mu bardzo o to chodzi, abyśmy wzięli redutę. To nas zagrzewa; biegniemy, ja pierwszy docieram do parowu. Boże ty mój! co tam wtedy padło i poruczników i pułkowników i żołnierzy. Ale zato były tutaj buty dla tych, co ich nie mieli, i epolety dla umiających czytać. Zwycięstwo! krzyczy wreszcie armia. Jednakże dwadzieścia pięć tysięcy Francuzów na placu, co się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Jak spojrzeć było niby pole żżete zamiast kłosów ludźmi zaslane. My, cośmy zostali, tłoczmy się dokoła cesarza, a on nas pociesza, pieści, bo gdy chciał, potrafił być takim, że człowiek o głodzie, o chłodzie i o wszystkiém zapomniiał. Sam więc rozdaje krzyże, umarłym pogrzeb uczciwy sprawiać każe, a potem powiada „Na Moskwę, dzieci!” „Niech będzie na Moskwę” — odpowiada armia, i bierzemy Moskwę. Aż tu Rosyanie palą miasto! No! luna na dwie mile całe dwa dni gorzała, ołów i żelazo roztopione deszczem się lało, a pałace padały niby dachówki. Skóra cierpła patrzeć na to, i mogę wam powiedzieć, że to był niby błysk przyszłych naszych nieszczęść. Wtedy cesarz rzekł — „Dosyc już tego! wszyscy moi żołnierze zostaliby tutaj.” Jakoż gotujemy się do odwrotu, pokrzepiwszy nieco siły, bośmy się nielada zmęczyli. Zabieramy złoty krzyż z Kremlina, a każdy żołnierz siaki taki mająteczek niesie ze sobą w tornistrze. Ale cóż! Zima o miesiąc wcześniéj przychodzi, czego ci głupcy uczeni wytłomaczyć nie umieli, i zimno jak nas ściśnie! Przepadła armia! słyszycie, potraciliśmy generałów i sierżantów nawet zabrakło. Wtedy to rozpoczęło się panowanie głodu i nędzy, pod którym wszyscy rzeczywiście byliśmy sobie równi. O niczém już, o niczém nie myślano tylko o najrychlejszym powrocie do Francyi. Upadła komu strzelba lub trzosik, to i zostało na drodze; nikt się po niego nie schylił, każdy biegł naprzód, aby prędzéj, nie dbając o sławę i mienie. A czas był taki szkaradny, że cesarz już swojej gwiazdy dojrzyć nie mógł. Coś między nim a niebem stanęło; biedaczysko! jak mu się serce krajać musiało na widok zwycięzkich swoich orłów, co jak zmokłe kury skrzydła opuścić musiały. Ale nie dosyc na tém. Stajemy nad Berezyną. Tu, mogę wam przysiędz na to, co jest najświętszego pod słońcem, że jak ludzie ludźmi, nie było jeszcze takiéj siekaniny, takiego natłoku wozów, artyleryi, w takim śniegu i pod takim niewdzięczném niebem. Kolby strzelb tak pomarżyły, że aż parzyły tego, co się ich dotknął. Wtedy to pontonierowie zbawili armię postąpiwszy sobie, jak wypadało na dzielnych żołnierzy, i wtedy to Gondrin, jeden jedyny pozostały z tych, co mieli odwagę wleźć w wodę i budować most, po którym

przesła armia, sprawił się doskonale. O! bo Gondrin — mówił stary wojak wskazując pontoniera, patrzącego nań z natężeniem właściwem głuchym, — bo Gondrin to żołnierz skończony, żołnierz co się zowie, pełen honoru i dzielności, i wart jest tego, byście dla niego z największym uszanowaniem byli. Widziałem — ciągnął dalej — widziałem cesarza, jak stał nieruchomy przy moście zimna nie czując. Albo to? nie było to nadzwyczajną rzeczą? Stał tedy i patrzył na stratę swych przyjaciół, skarbów, starych wojaków egipskich, wszystkiego zgoła! Najodważniejsi strzegli orłów, to była Francya, to był jój honor cywilny i wojskowy, który powinien był zostać czystym i nienaruszonym pomimo najsiarczystszego mrozu. Myśmy rozgrzewali się tylko przy cesarzu, bo gdy mu groziło niebezpieczeństwo, bieглиśmy co tchu na pomoc zmarznięci i zsiniali; choć żaden z nas nie byłby się zatrzymał w drodze, aby rodzonemu bratu rękę podać. Ale też Napoleon był nam droższym nad brata, nad wszystko i słusznie. Bo powiadano, że jak ojciec płakał nocami nad swoją biedną armią. Tylko on i Francuzi mogli się z tego wydobyć i wydobyli się wreszcie, ale z jakimi stratami! Sprzymierzeńcy pozjadali nam żywność. Wszystko zaczynało go zdradzać, jak mu to *czerwony człowiek* powiedział. Plotkarze paryscy, co siedzieli cicho od ustanowienia gwardyi cesarskiej, teraz dopiero rozpuścili języki, myśląc, że cesarz umarł, i uknuli spisek z prefektem policyi na czele, by wyrzucić cesarstwo. Napoleon dowiaduje się o tém; nie w smak mu to poszło, ma się rozumieć, jedzie tedy, ale przedtém powiada do nas: — „Do widzenia, moje dzieci. Trzymajcie się tu na waszych posterunkach.” Ja wrócę. Ale ba! generałom ani to w głowie i rejterują na gwałt, bo bez niego poradzić sobie nie umieli. Marszałkowie zaczynają się kłócić, robią głupstwa po głupstwach i nie mogło być inaczej. Napoleon, poczciwy człowiek, opychał ich złotem, to też tak się opasli, że już iść nie chcieli i nie mogli. Ztąd poszły nasze nieszczęścia; bo kilku z nich zostało z garnizonami, nie nacierając na nieprzyjaciela, podczas gdy nas popychano ku Francyi. Ale cesarz powrócił wkrótce z nowo-zacieżnym wojskiem, a były-to pułki co się zowie! tak ich wytresował niby psów do polowania. Mieszczanie trzymali straż honorową, cóż kiedy i to także rozplynęło się jak masło na patelni! Wszystko się przeciw nam sprzysięgło, choć staliśmy murem, ho! ho! Dokazywała ta armia cudów waleczności w takich bitwach jak pod Dreznem, Lützen, Bautzen. Zapamiętajcie sobie te nazwy dobrze, bo to są perły bohaterstwa Francuzów, którzy tak się w tych czasach popisywali, że żaden dobry grenadyr dłużej nad pół roku nie wytrzymał. Zwycięzamy więc ciągle, ale Anglicy znów nam bruździć zaczynają, podburzając ludy głupimi gadaninami. Torujemy sobie drogę wśród tych tłumów i gdzie tylko się cesarz ukaże, tam już pewni swego jesteśmy; bo czy-to na lądzie, czy na morzu, jak powiedział: „trzeba przejść”, przechodziliśmy. Wreszcie stajemy na francuzkiej ziemi, a samo powietrze już niejednego biednego piechura na nogi postawiło. Mówię to z własnego doświadczenia, bom się jakby odrodził za powrotem do kraju. Ale tuż zaraz trzeba było bronić Francją, tę naszą piękną Francją przeciw całej Europie, co się na nas zaindyczyła za to, żeśmy chcieli nauczyć rozumu Rosyan i wepchnąć ich we właściwe granice, aby nas nie zjedli; co jest obyczajem północy bardzo na południe łakomej; jak to z ust kilku generałów słyzałem. Wtedy cesarz zobaczył własnego teścia, przyjaciół, których na tronach posadzał, i tych łotrów, którym korony odzyskał, sprzysiężonych przeciwko sobie. Nawet Francuzi i sprzymierzeńcy nasi opuszczali szeregi i przechodzili na stronę nieprzyjacielską, jak się to w bitwie pod Lipskiem zdarzyło! Toż to okropności, na jakie prości żołnierze nigdyby się nie zdobyli. Trzy razy na dzień niegodziwcy ci łamali dane słowo i to byli książęta! Tfu! z takimi książętami! Robi się więc ogólny najazd na Francją. Gdzie tylko cesarz swoje łwie oblicze ukazał, tam nieprzyjaciel cofnąć się musiał i powiadam wam, że Napoleon więcej działał cudów broniąc Francyi, jak kiedy zdobywał Włochy, Wschód, Hiszpanią, Rosją i całą Europę. Tak naprzykład postanowił sobie sprawić pogrzeb wszystkim cudzoziemcom na naszych ziemiach, aby się nauczyli szanować Francją. Pozwala im więc podejść pod sam Paryż i za jednym zamachem, dosięgając najwyższego szczytu swego geniuszu, rąbie ich w bitwie nad bitwami, co ją słusznie matką wszystkich bitew nazwać można. Ale cóż! Paryżanie przelekli się o swoją grubą skórę i mizerne kramiki, dalej tedy otwierać bramy najeźdźcom, powiewać białymi chorągwiemi, buntować cesarzową i tak rokoszanie byli górą i wszystko w łeb wzięło, aż serce boli pomyśleć. Najlepsi jego przyjaciele, generałowie opuścili ich dla Burbonów, o których nikt nigdy nie słyzał. Wtedy cesarz pożegnał się z nami w Fontainebleau. „Żołnierze” powiedział. Zdaje mi się, że go

widzę jeszcze; płakaliśmy wszyscy jak dzieci; chorągwie i orły były pochylone jakby na pogrzebie, boć prawdę rzekłszy był-to pogrzeb cesarstwa i tych armij dzielnych, z których tylko szkielety pozostały.

Więc Napoleon mówił tak dalej, stojąc na pałacowym tarasie.

— Moje dzieci, zostaliśmy zwyciężeni przez zdradę, ale zobaczymy się w niebie, w tój ojczyźnie walecznych. Brońcie mego malca, którego wam powierzam: „Niech żyje Napoleon II!” Bo trzeba wam wiedzieć, że cesarz chciał sobie życie odebrać, aby go świat zwyciężonym nie widział; zażywa tedy trucizny, ale to tyle, że starczyłoby na wypędzenie ducha z całego szwadronu, bo już zdawało mu się, jak Panu Jezusowi przed męką, że go Bóg opuścił, ale trucizna nic mu nie zrobiła. A! skoro tak! to co innego. Przekonał się Napoleon, że był nieśmiertelnym, i otucha w niego wstąpiła. Udał się na jakąś wyspę i ztamtąd patrzy, co się dzieje we Francji, gdzie ci mądrale robią głupstwa bez końca. Tymczasem Chińczycy i te afrykańskie małpy Barbareski i inni, którzy wcale z ludźmi nie żartują, tak go za coś wyższego nad człowieka uważali, że szanowali jego schronienie, mówiąc, iż dotknąć go, byłoby to samo, co z Panem Bogiem zadzierać. Boć on zawsze nad całym światem panował, choć go tamci z Francji wyrzucili. Aż tu jednego dnia, siada on znowu na tę lupinę, którą z Egiptu przyplął, znowu pod nosem angielskich statków wylądowuje we Francji, i Francja go poznaje, bije we wszystkie dzwony i krzyczy: Niech żyje cesarz! Teraz zapal dla tego cudu wieków był niezachwianym. Delfińczycy bardzo dobrze się sprawili i nie umiem wam wypowiedzieć, jak mnie to cieszyło, gdym widział, że wszyscy też płaczą na widok jego szarego surduta. Napoleon wylądował 1-go marca, by z dwustu ludźmi zdobyć królestwo Francji i Nawarry, a 20-go marca już ono było napowrót cesarstwem francuzkiem. Tego dnia Napoleon wszedł do Paryża, wszystko umiół przed sobą, odebrał swą drogą Francją i zgromadził wojska powiedziawszy im tylko: Otóż mnie macie! I nie byłże to największy z cudów, jaki kiedykolwiek Bóg zdziałał? Czy słyszano, aby człowiek pokazawszy tylko swój kapelusz, mógł całym cesarstwem ować? Myślano, że się Francja już nie podniesie. Ale gdzie tam! Na widok orła, cała armia ożyła i dalej na Waterloo. Tam, cała gwardya pada od razu, Napoleon w rozpacz trzy razy rzuca się z pozostałą garstką na armaty nieprzyjacielskie i śmierci znaleźć nie może. Widzieliśmy to na własne oczy. Przegrywamy tedy bitwę. Wieczorem Napoleon zwołuje swoich starych wiarusów i na polu, krwi naszej pełnem, pali chorągwie orły, te biedne, zawsze zwyciężkie orły, co całą Europę tryumfalnym lotem przebyły, wołając wciąż na nas „naprzód”. One przynajmniej uniknęły tój hańby, aby popaść w ręce nieprzyjaciela! Anglia za wszystkie swoje skarby jednego piórka dostaćby z nich nie mogła. Nie ma już orłów! Każdy wie, co się później stało. *Człowiek czerwony* przechodzi na stronę Burbonów; lotr jakiś! Francja upada, żołnierz nic już nie znaczy, nie dają mu żołdu i odsyłają do domu, a biorą na jego miejsce szlachtę, co się ruszać nie umiała, aż przykro było patrzeć! Angli cy zdradą chwytają Napoleona i więżą go na bezludnej wyspie, gdzieś pośród wielkiego morza, na skale o dziesięć tysięcy stóp ponad ziemię wzniesioną. Koniec końców, musi on tam siedzieć dopóty, dopóki *czerwony człowiek* znów mu władzy dla szczęścia Francji nie odda. Ci tutaj gadają, że umarł! Ale! umarł! widać, że go nie znali. To bajka wierutna, którą rząd ludowi zamydla oczy, aby cicho siedział. A ja wam powiadam, i w to wierzyć macie, że przyjaciele Napoleona zostawili go samego na puszczy, aby się nad nim jeszcze jedno prorocstwo sprawdziło, bo zapomniałem wytłómaczyć wam, iż imię „Napoleon” znaczy: *lew pustyni*. A to taka prawda jak Bóg w niebie. Wszystko zaś inne, co wam będą pletli o cesarzu, są to banialuki, niucha tabaki nie warte. Bo widzicie, nie zwyczajnemu to człowiekowi mogło być danem, aby imię swe czerwono na ziemi wypisał, która o tём zawsze pamiętać będzie. Niech żyje Napoleon, ojciec ludu i żołnierzy!

— Niech żyje generał Eblé — zawołał pontonier.

— Ale jak się to stało, żeście nie zginęli w tym moskiewskim parowie? — zagadnęła jedna z wieśniaczek.

— Albo ja wiem? Wpadliśmy tam we stu piechurów, bo tylko piechurowie wziąć go mogli. Widzicie, w armii piechota to wszystko znaczy.

— A kawalerya? — wykrzyknął Genestas, zeskakując z siana i stając pośrodku zebra nych, którzy to nagle ukazanie się obcego przybysza okrzykiem trwogi przyjęli. — Cóż to mój stary! zapominasz o czerwonych ułanach Poniatowskiego, o kirasyerach, o dragonach! Gdy Napoleon niecierpliwił się, że zwycięstwo to w tę, to w drugą stronę się

chwieje, mawiał wtedy do Murata: „Przetnijcie mi to na połowę”, a my bieглиśmy naprzód klusem, potem galopem, *raz, dwa* i armia nieprzyjacielska padała, rozkrojona niby jabłko nożem. Szarża kawaleryi, mój stary, to grunt!!

— A pontonierowie! — zawołał głuchy Gondrin.

— No! moje dzieci! — ponowił Genestas zawstydzony swoim nagłym ukazaniem się i widząc dokoła siebie milczące i zdumione twarze — nie lękajcie się, nie jestem agentem tajnej policyi. Macie, wypijcie za zdrowie małego kaprała.

— Niech żyje cesarz! — jednogłośnie zawołali wszyscy.

— Cicho, dzieci — rzekł komendant, usiłując ukryć głęboką swą bolesć. — Cicho! on już *umarł* mówiąc: „Chwała, Francya i bitwa!” Moje dzieci on musiał umrzeć, ale jego pamięć... nigdy!

Goguelat uczynił znak niedowierzania i szepnął najbliższemu stojącemu: Ten oficer jest jeszcze w służbie, a oni mają nakazane mówić ludowi, że cesarz umarł. Nie trzeba mu mieć za złe, bo widzicie, dla żołnierza obowiązek przedewszystkiem.

Wychodząc ze stodoły, Genestas usłyszał Gabrynię mówiącą:

— Patrzcie, ten pan jest przyjacielem cesarza i pana Benassisa.

Na te słowa wszyscy rzucili się do drzwi, by jeszcze komendanta zobaczyć, i przy świetle księżycy ujrzeli go idącego pod rękę z lekarzem.

— Palnąłem głupstwo — rzekł Genestas. — Wracajmy do domu. Te orły, te kampanie..... pomieszały mi w głowie. Nie wiedziałem sam, co się ze mną dzieje.

— No, i cóż pan mówisz o moim Goguelat? — zapytał Benassis.

— Powiem to, kochany panie, że z takimi opowiadaniem Francya będzie zawsze miała czternaście armij republiki i będzie mogła prowadzić kartaczową pogadankę z całą Europą. Takie moje zdanie!

W kilka minut potem byli już obaj w mieszkaniu Benassisa i zadumani siedzieli w salonie przy kominku, na którym gasnący ogień świecił, pobłyskiwał jeszcze blademi iskrami. Pomimo tylu już dowodów ufności, jakie lekarz Genestasowi okazał, ten ostatni wahał się przeciw w zadaniu mu ostatniego pytania, które się mogło niedyskretnym wydawać; ale rzuciwszy na niego kilka badawczych spojrzeń, został zachęcony uśmiechem pełnym uprzejmości, jawiącym się na ustach ludzi prawdziwie mężnych, a jakim Benassis zdawał się zgóry na jego życzenie przystawać. Rzekł mu więc:

— Panie kochany! życie twoje tak dalece różni się od życia ludzi zwyczajnych, że nie zdziwisz się pewno, gdy cię poproszę o wytlómaczenie mi powodów, jakie cię do niego skłoniły. Jeżeli ciekawość moja wydaje się panu niewłaściwą, przyznasz pan przynajmniej, iż jest bardzo naturalną. Wiesz pan! miałem kolegów, którym nigdy „ty” nie powiedziałem, pomimo, żeśmy kilka kampanij wspólnie odbyli, i takich, do których mówiłem: „Idź do kasyera, aby nam dał pieniędzy”, w trzy dni po zrobieniu z niemi znajomości i upiciu się razem, co się i najuczciwszym ludziom w koleżeńskij bibce przytrafia. Otóż pan jesteś jednym z tych ludzi, których staję się przyjacielem, nie czekając ich przyzwolenia w tym względzie i nie wiedząc sam dlaczego.

— Kapitanie Bluteau!

Od niejakiego czasu, ile razy lekarz wymawiał fałszywe nazwisko swego gościa, ten nie mógł się od skrzywienia powstrzymać. Teraz także Benassis zauważył tę dziwną oznakę jakby wstrętu czy bólu i wpatrzył się bystro w komendanta, chcąc zbadać jój przyczynę; że jednak trudno mu było odgadnąć prawdziwą, przypisał ją cierpieniom fizycznym i ciągnął dalej.

— Kapitanie! będę mówił o sobie. Już i tak kilka razy zadałem sobie gwałt, opowiadając panu o ulepszeniach, jakie tu poczyniłem, ale wszystko to tyczyło się gminy i jój mieszkańców, z których sprawami i moje z konieczności się łączyły. Teraz, chcąc panu historią mego życia skreślić, będę musiał wyłącznie sobą uwagę jego zająć, a to rzecz nie ciekawa.

— Choćby jeszcze mniej ciekawą była jak historia Gabryni — odparł Genestas — pragnąłbym ją usłyszeć, by się dowiedzieć, jakie przejścia i wstrząśnienia mogły rzucić w ten zapadły kąt kraju takiego jak pan człowieka.

— Kapitanie, od dziesięciu lat milczałem. Teraz, gdy stojąc już prawie nad grobem czekam chwili, która mnie weń pogrąży, wyznam otwarcie, iż milczenie to ciężyc mi już zaczynało. Od dwunastu lat cierpię nie zaznawszy pociech, jakich przyjaźń sercom

strapionym udzielać umie. Moi chorzy, moi wieśniacy dają mi wprawdzie przykład najzupełniejszej rezygnacji; ale ja ich pojmuję, i oni to czują; podczas gdy nie ma tu nikogo, co-by mi lży tajemne osuszył i dał mi to uściśnienie uczciwej dłoni, najpiękniejszą nagrodę, na jakiej nikomu, nawet Gondrinowi nie zbywa.

W tej chwili, Genestas nagłym ruchem wyciągnął rękę do Benassisa, którego to silnie wzruszyło.

— Może Gabrynia byłaby mnie pojęła anielską swą duszą — rzekł zmienionym głosem — ale byłaby mnie także może pokochała; a ja bym to za nieszczęście uważał. Tak kapitanie! tylko stary doświadczony wojak, jakim pan jesteś, lub pełen złudzeń młodzieniec słuchać może méj spowiedzi; bo tylko człowiek, któremu życie dobrze jest znaném, i dziecko, któremu ono całkiem jeszcze obce, zrozumieć ją potrafią. W braku księdza, umierający na polu bitwy spowiadali się krzyżowi swego miecza, obierając go sobie za powiernika wobec Boga. Pan, który jesteś jednym z najlepszych brzeszczotów Napoleona, pan twardy i mocny jak stal, być może zrozumiesz mnie dobrze. Ale aby opowiadanie moje choć trochę zainteresować mogło, potrzeba przejąć się pewnymi subtelnościami uczuć i wiarą serc prostych, które wydałyby się śmiesznymi oczom filozofa, przyzwyczajonego stosować do spraw osobistych zasady właściwe tylko rządowi. Będę mówił szczerze, jak człowiek, który nic usprawiedliwiać, nic ukrywać nie chce, bo żyje już zdala od świata, obojętny na sąd ludzki i pełen nadziei w Bogu.

Benassis zatrzymał się, poczem rzekł wstając:

— Zanim zacznę, muszę kazać sobie przyrzadzić herbatę. Od dwunastu lat Jacenta nie zaniedbała nigdy przyjść i spytać, czy ją pić będę; przeszkodziłaby nam z pewnością. A ty, kapitanie, może pozwolisz także filiżankę?

— Nie, dziękuję.

Benassis wrócił wprędce.

ROZDZIAŁ IV. SPOWIEDŹ LEKARZA WIEJSKIEGO

— Urodziłem się — zaczął Benassis — w małym miasteczku Langwedocyi, gdzie mój ojciec osiedlił się był oddawna i gdzie najwcześniejsze lata dzieciństwa mego spędziłem. W ósmym roku życia oddano mnie do collegium w Sorreze, z kąd wyszedłem kończyć nauki w Paryżu. Ojciec mój był w młodości swój najbardziej szalonym marnotrawcą; ale strwoniony majątek zdołał napowrót odzyskać, ożeniwszy się bogato i żyjąc oszczędnie, jak to bywa zwyczajem na prowincyi, gdzie nie w wydatkach, ale w zbieraniu pieniędzy próżności szukają i gdzie ambicya wyradza się w skąpstwo w braku szlachetniejszych podniet. Zostawszy bogatym i mając tylko jednego syna, ojciec mój chciał przelać weń to chłodne doświadczenie, jakie kosztem rozwianych złudzeń zdobył; co bywa jednym z ostatnich znacznych błędów u starców, którzy napróżno usiłują wpoić swoje cnoty i rozsądne poglądy w dzieci, pragnące żyć i używać. W myśl tej przezorności wychowaniu memu nadano kierunek, którego padłem ofiarą. Ojciec mój ukrywał przede-mną rzeczywisty nasz stan majątkowy i mając dobro moje na celu, skazał mnie na spędzenie najpiękniejszych lat młodości w niedostatku prawie i trudach, towarzyszących człowiekowi, usiłującemu wywalczyć sobie niezależne stanowisko. Pragnął on natchnąć mnie cnotami ubóstwa i cierpliwości, żądzą wiedzy i miłością pracy. Mniemał, iż poznawszy, z jakim trudem dochodzi się do majątku, będę umiał cenić i przechowywać to, co mi w puściznie po sobie zostawi; to też, gdy m tylko skończył szkoły, zaczął nalegać, abym się jakiemu zawodowi poświęcił. Medycyna nęciła mnie najwięcej. Z Sorreze, gdzie mi dziesięć lat w klauzurze niemal klasztornej Oratoryanów i ciszy prowincjonalnego collegium ubiegło, zostałem nagle przeniesiony do stolicy. Ojciec towarzyszył mi, by mnie jednemu ze swych przyjaciół powierzyć. Bez mojej wiedzy, obaj starzy przedsięwzięli drobiazgowo ostrożności, by mnie zabezpieczyć od wybryków młodemu wiekowi groźących. Pensały moją obliczono ściśle wedle istotnych potrzeb życia i pobierać ją miałem nie inaczej, jak za okazaniem kwitów z kwartalnych wpisów w szkole medycznej. Ta nieufność, dosyć ubliżająca, upozorowana była względami porządku i rachunkowości. Ojciec mój zresztą okazał się szczodrym w łożeniu na koszt nauki i na rozrywki paryzkiego życia. Przyjacieli jego, kontent, że stanie się przewodnikiem młodego człowieka po tym labiryncie, jaki się przede-mną otwierał, należał do rzędu tych ludzi, którzy uczucia swe klasyfikują z równą

skrzętnością, z jaką porządkują papiery. Spojrzawszy w swój dziennik, mógł każdej chwili powiedzieć, co w roku zeszłym, w danym miesiącu, dniu i godzinie robił. Życie było dla niego rodzajem przedsiębiorstwa, którego księgi systematycznie prowadził. Zresztą był-to człowiek zasłużony, ale przebiegły i podejrzliwy. Umiał on zawsze wynaleźć jakieś napozór słuszne przyczyny, któremi usprawiedliwiał przedsięwzięte względem mnie ostrożności; kupował mi książki, opłacał nauki, słowem czuwał nad wszystkiem. Zapragnąłem uczyć się konnej jazdy; pocziwiec ten wywiedział się o najlepszej ujeżdżalni, sam mnie do niej zaprowadził i uprzedzając moje chęci dał mi do rozporządzenia konia na dni świąteczne. Mimo tych drobnych podstępów, które zresztą w razie potrzeby wniwecz obracać umiałem, był on dla mnie drugim ojcem. — Mój kochany — rzekł raz do mnie, poznawszy, iż potargam cugle, jeżeli mi ich nie popuści — młodzi ludzie popełniają często szaleństwa, wynikające z ich niedoświadczenia i burzącej się krwi jeszcze nieostudzonej, i tobie się to zdarzyć może; a gdyby ci brakło pieniędzy — przyjdź do mnie. Niegdyś ojciec twój zobowiązał mnie w ten sposób, pamiętam o tém i znajdę zawsze kilka dukatów na twoje usługi; tylko nie kłam nigdy, nie wstydz się wyznać mi swoich błędów; i ja byłem młodym; porozumiemy się, jak dobrzy koledzy. — Ojciec ulokował mnie w zacnym domu mieszczańskim, gdzie miałem dość porządną pokoiik. Ten przedsmak niezależności, dobroć ojca, poświęcenia, jakie się zdawał dla mnie robić, nie bardzo mnie ucieszyły. Być może, iż trzeba wprzód użyć wolności, aby ją ocenić. Co do mnie zaś, wspomnienia swobodnego dzieciństwa zatarły się pod surowym kolegialnym rygorem, z którego choć wyzwolony, nie otrząsnąłem się jeszcze; przestrogi i zalecenia ojca wkładały na mnie nowe obowiązki, a Paryż był dla mnie zagadką; bo w Paryżu można się bawić dopiero wtedy, gdy się jest w jego przyjemności wtajemniczonym. Nie widziałem więc żadnej zmiany w mojem położeniu, z wyjątkiem téj chyba, iż nowe moje liceum było obszerniejsze i zwało się szkołą medyczną. Wszelako wziąłem się zrazu z wielką odwagą do pracy, uczęszczałem pilnie na kursa, ciałem i duszą oddałem się nauce, nie biorąc udziału w żadnych rozrywkach, tak dalece te skarby wiedzy, w jakie obfituje stolica, ośwładnęły moją wyobraźnię. Ale wkrótce nierozważne stosunki, jakie pozawiazywałem ze współtowarzyszami, stosunki, których niebezpieczeństwo osłania ta szalona, pełna ufności przyjaźń, tak łatwo powstająca w sercach młodzieży, pociągnęły mnie nieznacznie w wir zabaw i oszołomień paryżkich. Teatry, które namiętnie polubiłem, rozpoczęły dzieło mego zepsucia. Widowiska bardzo zgubny wpływ wywierają na młodych ludzi, którzy prawie zawsze bezowocnie walczą przeciw rozbudzonym niemi wzruszeniom; dlatego téż twierdę, iż społeczeństwo i prawa, nie sprzeciwiające się temu, stają się współnikami nadużyć, jakie oni wówczas popełniają. Prawodawstwo nasze zamknęło, że tak powiem, oczy na te wszystkie namiętności, jakim podlega młodzieniec, między dwudziestym a dwudziestym piątym rokiem życia; w Paryżu zaś żądze jego podniecane są na każdym kroku. Religia mówi mu o cnotach, prawa mu je nakazują, a obyczaje i wszystko, na co tylko spojrzysz, ciągnie go do złego. Czyż w Paryżu wstrzemięźliwość nie jest przedmiotem szyderstwa najuczciwszego mężczyzny i najpobożniejszej kobiety? Wielkie to miasto wzięło sobie prawie za zadanie, aby do występku drogę torować, bo przeszkody, jakie młodzieniec napotyka na drogach, któremiby w uczciwy sposób mógł przyjść do majątku i znaczenia, liczniejsze są jeszcze niż sidła zastawione na jego namiętności i pieniądze. Przez jakiś czas bywałem codziennie w teatrze i przyzwyczajałem się do próżniackiego życia. Zacząłem wchodzić w układy z mojami obowiązkami, pozostawiałem na dzień następny najpilniejsze zajęcia; i wkrótce, zamiast się uczyć, wypełniałem tylko to, co mi było koniecznem do uzyskania w przyszłości stopnia doktorskiego. Na kursach nie słuchałem profesorów, którzy według mnie bredzili. Pokruszyłem więc moje bóstwa, stawałem się Paryżaninem. Jednym słowem, wiodłem chwiejne życie młodzieńca, który z prowincyi do stolicy rzucony zachował jeszcze trochę uczuć prawdziwych, wierzy jeszcze w pewne przepisy moralności, ale psuje się złemi przykładami, choć się od nich broni. Ja broniłem się źle, miałem zresztą współników w samym sobie. Tak, kapitanie, fizyognomia moja nie jest zwodniczą; podlegałem wszystkim tym namiętnościom, których ślady na niej się wyryły. Jednakowoż, nawet w chwilach największego zapomnienia i szału miałem w sercu pewne postacie doskonałości moralnej; a poczucie to wcześniej, czy później, przez skruchę lub przesynt musi przywieść do Boga człowieka, który w młodości swój pragnienie u czystego źródła religii ugasał. Ten, kto się rozsmakował w pożądliwościach ziemskich, doznał

z czasem czczości i tęskni do niebieskich owoców. Zrazu natrafiałem na tysiące złudzeń i tysiące rozczarowań, będących każdej młodości udziałem; naprzemiany brałem energią za wolę niezłomną i przerachowywałem się na moich zdolnościach, lub przy najłżejszym potknięciu spadałem o wiele niżej, aniżeli rzeczywiście zejść mogłem; tworzyłem obszerne plany na przyszłość, marzyłem o sławie, chwyciłem się niby pracy, ale lada rozrywka obracała wniwecz te piękne przedsięwzięcia. Pamięć zaś o nich nie dozwalała mi zwątpić o sobie, nie budząc jednak energii do czynu. Takie lenistwo z zarozumiałością połączone robiło ze mnie głupca, bo głupcem jest każdy, kto nie usprawiedliwia dobrego wyobrażenia, jakie ma o sobie. Nie umiałem wytknąć celu dla mojej działalności, pragnąłem zrywać kwiaty życia bez pracy, która je rozwija. Nieznającemu przeszkód wszystko się łatwem wydawało! Powodzenie naukowe i majątkowe przypisywałem szczęśliwym trafom; nie wierzyłem w gieniusz, uważając go za szarlataneryę. Wyobrażałem sobie, że byłem uczonym, bo mogłem nim zostać; a nie myśląc ani o cierpliwości, która wielkie dzieła wytwarza, ani o pracy, która z ich trudnościami obznajmia; liczyłem tylko na procent sławy. Wkrótce przesytyły mnie rozrywki. Teatr nie bawi długo. Paryż więc stał się pustym dla biednego studenta, mającego za całe towarzystwo starca, który już o świecie zapomniał, i rodzinę, składającą się z ludzi niepomrotnie nudnych. To też na podobieństwo wszystkich młodych ludzi, zniechęconych do obranego już zawodu, nie mających żadnej jasno określonej drogi przed sobą, nie wiedzących, czego się czepić, włóczyłem się całymi dniami po ulicach, bulwarach, muzeach i ogrodach publicznych. Życie bezczynne ciąży bardziej w tym wieku niż kiedyindziej, bo pełnem jest wtedy marnujących się zasobów i bezskutecznych porywów. Nie miałem pojęcia o tém, czego może dokazać młodzieniec, kiedy ma mocną wolę, umie sobie cel jakiś postawić, i aby go osiągnąć, rozporządza wszystkimi siłami życiowymi, spotęgowanemi żywą, młodzieńczą wiarą. Jako dzieci jesteśmy naiwni, nie znamy niebezpieczeństw życia; doszedłszy do pewnego wieku spostrzegamy jego trudności i na ten widok odwaga często nas opuszcza; początkujący jeszcze w warsztacie społecznego ruchu podlegają odrętwieniu, jak-byśmy się w kraju zupełnie obcym bez żadnej pomocy znajdowali. W każdym wieku rzeczy nieznanne mimowolną obudzają trwogę. Młody człowiek jest jak żołnierz, który idzie śmiało naprzeciwko armat, a cofa się przed widmami. Żyje w stanie ciągłej niepewności, nie wie, co ma przyjąć a co odrzucić, przeciw czemu się bronić a na co napadać; kocha kobiety i czci je, jakby się ich lękał; własne zalety mu szkodzą; jest wspaniałomyślny, wolny od wszelkich interesownych obrachowań i skąpstwa; jeżeli kłamie, to dla przyjemności, nie dla zysku; sumienie, któremu się jeszcze nie przeniemierzył, wskazuje mu dobrą drogę wśród mnóstwa wątpliwych ścieżek, ale jemu wejść na nią nie śpieszno. Ludzie przeznaczeni na to, aby żyli bardziej sercem niż rozsądkiem, długo w tém położeniu zostają. Tak było ze mną. Stałem się igraszką dwóch naraz sprzecznych kierunków. Pragnienia pchały mnie naprzód, niedołęztwo czułościowości wstrzymywało w zapędzie. Wzruszenia Paryża okrutnymi są dla dusz bardzo wrażliwych: korzyści, jakich tam używają ludzie wyżsi umysłowo lub bogaci, drażnią namiętności mniej uprzywilejowanych; a zazdrość w tym świecie wielkich rzeczy i małości bywa częściej zabójczym narzędziem, niż skuteczną podniętą; wpośród tej bezskutecznej walki ambicji, pragnień, nienawiści, trzeba koniecznie stać się albo ofiarą, albo współdziałaczem ogólnego ruchu; nieznacznie widok uwieńczonego występku i wyszydzonej cnoty zachwiewa młodzieńca w jego przekonaniach moralnych, życie paryżkie zdmuchuje mu puszek drażliwości sumienia i wtedy zaczyna się i dopełnia piekielne dzieło zepsucia. Pierwszą przyjemność, jakiej zakosztuje, a jaka zrazu wszystkie inne w sobie mieści, tyle niebezpieczeństw otacza, że trzeba baczyć na wszystko, co do niej prowadzi i obliczać wszystko, co za nią idzie. Z takich obliczeń wytwarza się egoizm. Jeżeli jaki biedny student, pociągnięty namiętnem uniesieniem, jest gotów się zapomnieć, spotyka dokoła siebie tylu nieufnych i tylu nieufność w nim wzbudzających, że sam się tém uczuciem przejąć musi i stać na straży swoich szlachetnych popędów. Walka ta wysusza, ścieśnia serce, wszystkie władze w mózgu koncentruje i wytwarza tę nieczulość paryżką, te obyczaje, w których pod pozorem płochości i szlachetnego zapału kryją się zawsze wyrachowania polityczne lub pieniężne. Tam każda, najbardziej nawet naiwna kobieta umie w upojeniu szczęścia zimną rozwagę zachować! Taka atmosfera musiała oddziaływać na moje uczucia i postępowanie. Błędy, których wspomnienie zatruwa mi dni moje, nie zaciążyłyby wcale na sumieniu wielu ludzi; ale południowcy mają w sobie silnie rozwi-

nięte uczucie religijne, które im każe wierzyć w prawdy katolickie i w życie przyszłe. Ta zaś wiara nadaje wielką głębokość ich namiętnościom i wielką łatwość ich żalowi za grzechy. W czasach, gdy studiowałem medycynę, wojskowi byli wszędzie panami; aby się przypodobać kobietom, trzeba było zostać przynajmniej pułkownikiem. Cóż mógł znaczyć w świecie biedny student? Nic! Pobudzany ciągle namiętnościami, które sobie ujścia znaleźć nie mogły, brakiem pieniędzy na każdym kroku, w każdej zachciance krępowany; uważając naukę i sławę jako drogi zbyt spóźnione do osiągnięcia tego, co mnie w tej chwili nęciło, wahając się pomiędzy tajemniczą mą wstydlivością a złemi przykładami, mając sobie ułatwiony przystęp do miejsc rozpusty, utrudnione wejście w przyzwoite towarzystwa, pędziłem dni smutne trawiony gorączką żądź, beczynnością i zwątpieniem, przeplataném chwilowemi porywami. Przełom ten rozwiązał się w sposób dość pospolicity u młodych ludzi. Zawsze czułem wstręt nieprzewyciężony do zamącenia spokoju domowego ogniska; przytém otwartość charakteru nie pozwalała mi ukrywać tego, co czułem. Fizyczném więc niepodobieństwem byłoby dla mnie żyć w stanie ciągłego udawania. Rozkosze chwywane naprędce nie nęciły mnie wcale, bo lubię szczęściem napawać się długo i powoli. Nie będąc zepsutym jeszcze, czułem się bezsilnym w mojem osamotnieniu po tylu daremnych usiłowaniach dostania się w lepsze towarzystwa, gdzie-by się może była znalazła jaka kobieta, któraby mi słodziła gorycz rozczarowań, umacniała do walki z losem, dawała dobre rady, nie podrażniając dumy, i ułatwiała zawiązywanie stosunków potrzebnych mi na przyszłość. W rozpaczy byłbym się może na jaki rezykowny krok odważył, ale zbywało mi na wszystkim, nawet na niebezpieczeństwach; samotność tylko i zawiedzione nadzieje były moim udziałem. W końcu wszedłem w tajemne zrazu związki z młodą dziewczyną, której miłość moję narzucałem dopóty, dopóki mnie nie pokochała. Pochodziła ona z zacnej ale niezamożnej rodziny i opuściła ją wraz z tém życiem skromném, spokojném, jakie wiodła dotychczas, by mi powierzyć całą swą przyszłość, którą jęj cnota piękną uczyniła. Mierny mój stan majątkowy wydawał jęj się zapewne najlepszą rękojmnią trwałości naszego związku. Od tej chwili wszystkie burze wstrząsające mém sercem, wszystkie pragnienia i ambicje uciszyły się w mém szczęściu! szczęściu, jakiego może doznać tylko młodzieniec, nie znający jeszcze obyczajów świata, potęgi jego przesądów, szczęściu zupełném, dziecinném! W istocie. Pierwsza miłość nie jest-żę drugim dziecinstwem rzewném, wpoprzek ciężkiej drogi życia, znojem i trudem utorowanej? Bywają ludzie, którzy poznają życie odrazu, sądzą je takiem, jakiem jest, wiedzą, jakie są błędy świata, jakie przepisy społeczne i umieją je na korzyść swoją obrócić, jak również ocenić doniosłość każdej rzeczy. Ci ludzie zimni zowią się rozumnymi. Ale istnieją takie biedne, poetyczne, nerwowe natury, które czują żywo i błędzą ciągle; ja-m do tych ostatnich należał. Pierwsza moja miłość nie była prawdziwa; szedłem raczej za popędem naturalnym, niż za głosem serca. Poświęciłem przejściowej namiętności młode, niewinne dziewczę i umiałem sobie wytłómaczyć, iż nic złego w tém nie ma. Co do nięj, było-to złote, pełne poświęcenia serce, umysł prawy, piękna dusza. Zawsze mi tylko jak najlepsze rady dawała. Zrazu miłość jęj natchnęła mnie odwagą, z czego korzystając nakłoniła mnie powoli do uczęszczania znów na zaniechane kursa, przepowiadając mi powodzenie, sławę, majątek. Dziś medycyna obejmuje wszystkie nauki, odznaczyć się w nięj jest rzeczą trudną, ale sownie wynagradzaną. W Paryżu sława zawsze w parze z majątkiem chodzi. To dobre dziewczę zapominało dla mnie o sobie, dzieliło moje zmienne, studenckie życie, a oszczędność jęj zdołała nawet pewien zbytek w skromniuchném naszym gospodarstwie zaprowadzić. Miałem więcęj pieniędzy na zadawalnianie moich zachcianek, niż wtedy, gdy byłem sam jeden. Były-to zresztą najpiękniejsze chwile mego życia. Pracowałem usilnie, miałem cel przed sobą, doznawałem zachęty, mogłem myśli moje, zamiary, czyny dzielić z ukochaną istotą, która mnie pojmowała, a co więcęj potrafiła mnie natchnąć głębokim szacunkiem dla swego rozsądku, jaki rozwijała w położeniu, gdzie rozsądek zdawał się niemożliwym. Jeden dzień upływał mi za drugim spokojnie, bez zmiany. Ale właśnie ta jednostajność szczęścia, której całą rozkosz dopięro po przejściu nawałnic świata się ocenia, ten stan słodki, kiedy życie nie męczy, kiedy się jest zrozumianym, kiedy najskrytsze myśli z kimś drugim zamieniać można, stan taki, takie szczęście przesyciło wkrótce namiętnego, wdychającego do znaczenia i bogactw młodzieńca, któremu przykrzyło się dążyć za sławą, zbyt wolnym krokiem idącą. Dawne moje mrzonki wróciły. Pragnąłem gwałtownie rozkoszy, jakie daje majątek i żądałem ich w imieniu miłości, spowiadając się

z tego naiwnie, ilekroć ona słodkim, przyjaznym swym głosem pytała mnie, co mi jest, gdy wieczorami zadumany i milczący zagłębiałem się w ponęty wyrojonych dostatków. Dręczyłem wtedy tę anielską istotę, dla której największym zmartwieniem było wiedzieć, że pragnę czegoś, a nie mózdz zaspokoić tych pragnień. A! kapitanie! poświęcenia kobiety są wzniosłe!

Wymówiwszy te słowa z pewną goryczą, lekarz popadł w chwilową zadumę, którą uszanował Genestas.

— Wreszcie — mówił dalej Benassis — wypadek, który powinien był utrwalić nasz związek, rozerwał go i stał się pierwszą mych nieszczęść przyczyną. Ojciec mój umarł, zostawiając mi znaczny majątek; interesa z odbioru spadku wynikające zawezwały mnie na kilka miesięcy do Langwedocy; pojechałem sam jeden. Byłem więc znów wolnym. Każde zobowiązanie, choćby najśłodsze, ciąży w młodym wieku; potrzeba doświadczyć życia, by się przekonać, jak koniecznym jest jarzmo powinności i pracy. Z żywością Langwedogczyka napawałem się swobodą, możliwością robienia, co mi się podobało, bez potrzeby zdawania z tego komuś sprawy, nawet dobrowolnie. Nie potargałem wprawdzie odrazu krępujących mnie więzów, ale wspomnienie ich zacierało się w rozlicznych zajęciach, jakim zresztą z przyjemnością się oddawałem i prawie z żalem myślałem o tém, że je znów nawiązać trzeba będzie. Potém doszło do tego, że mówiłem sobie: po-co je nawiązywać napowrót? Wszelako odbierałem listy tkliwe i kochające; ale dwudziesto-dwu-letni młodzieniec wyobraża sobie wszystkie kobiety zarówno tkliwemi i kochającemi, nie umie jeszcze szalu chwilowego od prawdziwego uczucia odróżnić. Później dopiero, poznawszy lepiej świat i ludzi, zrozumiałem, ile było istotnej szlachetności w tych listach, gdzie względ osobisty ani jednego nie podyktował słowa, gdzie ta pełna zaparcia się siebie kobieta, radowała się majątkiem tylko z uwagi na mnie, nie przypuszczała, żebym ją mógł zdradzić, bo sama zdolną do zdrady nie była. Ja zaś już tworzyłem ambitne plany, myślałem o rozkoszach życia bogacza, o świetnych związkach. Mówiłem sobie obojętnie: „ona mnie bardzo kocha”, jednocześnie zachodziłem w głowę, jakby się od téj miłości uwolnić. Tego rodzaju położenie doprowadza do okrucieństwa; człowiek, który już zranił swą ofiarę, dobija ją, aby się przed nią nie rumienić. Zastanawiając się później nad temi błędami méj młodości, odkryłem mnóstwo przepaści w sercu ludzkim ukrytych. Wierząc mi pan, ci, co poznali z gruntu występki i cnoty ludzkie, przedewszystkiem szukali ich z dobrą wiarą w sobie. Sumienie własne jest punktem wyjścia w tym razie. Sądźmy ludzi według siebie, nie siebie według ludzi. Powróciwszy do Paryża, zamieszkałem w pięknym lokalu, który kazałem nająć, nie uprzedziwszy ani o téj zmianie, ani o mym powrocie jedynéj osoby, którą-to obchodzić mogło. Pragnąłem odgrywać ważną rolę w kołach tak zwanej złotej młodzieży. Zakosztowawszy przez kilka dni pierwszych rozkoszy bogactwa i upoiwszy się niemi na tyle, że w postanowieniu mojem zmięknąć nie mogłem, poszedłem wreszcie odwiedzić tę biedną istotę, którą zamierzałem opuścić. Wiedziona wrodzoną kobietom przenikliwością, odgadła tajemne me uczucia i lży mi swoje ukryła. Musiała mną gardzić, ale zawsze dobra i słodka, nigdy mi tego nie okazała. Poblążliwość jéj dręczyła mię srodze. Każdy zabójca, czy-to szalony, czy rozbójnik na gościńcach, lubi, gdy ofiary jego się bronią; walka wtedy niejako śmierć ich usprawiedliwia. Z początku bywałem bardzo często u pierwszéj méj kochanki. Jeżeli nie byłem czułym, okazywałem się przynajmniej grzecznym; doszło do tego, że zacząłem traktować ją jak obcą, czemu ona nie sprzeciwiała się wcale, a ja mniemałem, iż postępuję bardzo uczciwie. Jednocześnie rzucałem się w szalony wir świata, by stłumić w nim tę odrobinę wyrzutów, jakie mnie jeszcze czasem dręczyły. Kto nie ma szacunku dla siebie, nie może żyć samotnie; wiedłem więc życie rozwiązłe, hulaszce, będące udziałem bogatéj młodzieży w Paryżu. Mając dosyć wiadomości i olbrzymią pamięć, wydawałem się uczeńszym, aniżeli byłem w istocie, i sądziłem, że więcej wart jestem niż inni; ci, którzy mieli w tém swoje wyrachowanie, by wmawiać we mnie wyższość umysłową, zastali mnie już zupełnie w tym względzie przesiadczonym. Wyższość ta była mi tak łatwo przyznana, że nie zadawałem sobie nawet trudu, aby ją usprawiedliwić. Ze wszystkich światowych wybiegów pochwała najrzęczniejszą używać się daje. W Paryżu zwłaszcza przewrotność polityki, w każdym kierunku rozwijanej, potrafi stłumić talent w samym jego zawiązku; zagrzebać go pod przedwczesnemi wieńcami, jakie mu do kolebki rzuca. Nie czyniłem więc wcale zaszczytu opinii, jaką o mnie miano, korzystałem z niéj tylko, by sobie karierę otworzyć; o pożyteczne zaś

stosunki nie chodziło mi wcale. Dopuszczałem się płochości wszelkiego rodzaju. Podlegałem tym miłośkom przelotnym, które są wstydem paryzkich salonów, gdzie każdy idzie, szukając prawdziwego uczucia, obojętnie na nie w nadaremnych poszukiwaniach i dochodzi zwolna do tego libertynizmu dobrego tonu, który dziwi się czystej, głębokiej miłości, jak świat dziwi się pięknemu czynowi. Szedłem w tém za przykładem drugich. Ranilem serca niewinne temi samemi ciosami, jakie mnie zadawano. Pomimo takich fałszywych pozorów, miałem zawsze w głębi duszy poczucie delikatności, któremu byłem posłuszny. Ztąd też padałem ofiarą oszukaństwa w okolicznościach tego rodzaju, że byłbym się rumienił przed sobą, gdybym się oszukać nie dał, i w oczach świata traciłem z powodu właśnie téj dobrej wiary, za którą sobie w duchu przyklaskiwałem. W istocie, świat jest pełen poszanowania dla zręczności, pod jakąkolwiek ukazuje się ona formą. W jego pojęciach skutek staje się prawem we wszystkim. Przypisywano mi więc wady, zalety, zwycięstwa i niepowodzenia, do jakich się bynajmniej nie poczuwałem; ja zaś przez dumę nie prostowałem fałszywych zarzutów, a przez miłość własną przyjmowałem pochlebijące mi plotki. Z pozoru prowadziłem żywot szczęśliwy, w istocie nędzny. Gdyby nie okropne ciosy, jakie mnie wkrótce dotknęły, byłbym stopniowo stracił wszystkie dobre popędy i dał się powodować ujemnym; byłbym doszedł do zupełnego moralnego bankructwa, przez nieustanną grę namiętności, nadużycia wyniszczające ciało i szkodliwe przyzwyczajenia egoizmu, zużywające jak rdza najszlachetniejsze sprężyny duszy. W dodatku rujnowałem się majątkowo, co jest nieuniknionem prawie następstwem życia w Paryżu, gdzie człowiek, jakkolwiek byłby bogatym, znajdzie zawsze bogatszego nad siebie, któremu chce dorównać. Stawszy się, jak tylu niedowarzeńców, ofiarą téj walki nierównej, musiałem po upływie lat czterech sprzedać kilka posiadłości i długi na inne zaciągnąć. Wtedy też uderzył we mnie cios straszny. Od dwóch lat zaprzestałem już odwiedzać zdradzoną kochankę. Jednego wieczoru, w trakcie wesołej biesiady odebrałem bilecik, słabą kreślony ręką, te mniej więcej zawierający słowa: *Kilka już tylko chwil pozostaje mi do życia, mój drogi przyjacielu, chciałabym cię zobaczyć, by porozmawiać z tobą o losie mego dziecka, dowiedzieć się, czy je przyjmiesz za swoje, a także osłodzić ci żal, jaki-by ci może śmierć moja kiedyś sprawiła.* Ten list mię zmroził! Odślaniał on mi ukryte bóle przeszłości i tajemnice przyszłości. Nie czekając na powóz, wyszedłem piechotą i przebiegłem gwarne ulice Paryża, gnany wyrzutami i owładnięty potęgą pierwszego uczucia, które odnowiło się, gdym tylko moją ofiarę zobaczył. Porządek i czystość, pokrywające dotkliwą nędzę téj kobiety, świadczyły o trudach, jakie ponosić musiała. Szlachetna jak zawsze oszczędziła mi wstydu, mówiąc do mnie z pełnym godności umiarkowaniem, gdy jęj obiecałem, że dziecko jęj przyjmę za swoje. Kobieta ta umarła, mimo starań, jakich nie szczędziłem, mimo wyczerpania wszystkich środków, jakimi nauka posługiwać się może. Moja troskliwość i poświęcenie dokazały tylko tego, że osłodziły jęj trochę gorzkie chwile ostatnich. Od rozstania się ze mną pracowała ciężko i nieustannie na wyżywienie i wychowanie dziecka. Miłość macierzyńska dodawała jęj siły, nie mogła jednak ulagodzić boleści, jaką ją przeniewierstwo moje nappełniło. Sto razy chciała odezwać się do mnie i sto razy duma kobieca zamknęła jęj usta; nie przeklinając mnie, płakała tylko gorzko, ilekroć przychodziło jęj na myśl, że z tego złota, które garściami na zadowolenie mych zachcianek wyrzucałem, ani jedna sztuka nie zabłądziła pod jęj ubożuchny dach dla podtrzymania życia matki i dziecka. Nieszczęście, jakie ją dotknęło, uważała za słuszną karę błędu. Idąc za pobłażliwym, łagodnym głosem jakiegoś księdza od św. Sulpicyusza, zaczęła u stóp ołtarzy szukać pociechy i nadziei i tam gorzkie, jaką postępowanie moje nagromadziło w jęj sercu, uśmierzyła się zwolna. Raz usłyszawszy, jak syn jęj wymienił słowo: „ojciec”, którego nigdy go nie uczyła, darowała mi zbrodnię moją. Ale ciągła praca, ciągłe lzy i cierpienia moralne podkopały jęj zdrowie. Religia zbyt późno przyniosła jęj osłodę i odwagę do dźwigania ciężkiego krzyża życia. Dotknęła ją choroba serca, spowodowana nurtującą ją zgryzotą i bezustannym wyczekiwaniem mego powrotu; która-to nadzieja zawsze się w nią odradzała i zawsze zawiedziona była. Wreszcie, czując się już jak najgorzej, z łoża śmierci napisała do mnie te słów kilka, które jęj podyktowała religia i ufność w dobroć moją. Wiedziała, jak mi to sama mówiła, że byłem bardziej zaślepionym niż zepsutym; uniewinniając mnie, oskarżała nawet siebie.

— Gdybym była napisała wcześniej — rzekła — bylibyśmy może mogli uprawnić dziecko nasze małżeństwem.

Dla niego też tylko pragnęła tego związku i nie byłaby go żądała, gdyby nie czuła, że śmierć go natychmiast rozwiąże. Ale nie było na to czasu; życie jej na godziny się już liczyło. — Kapitanie! przy tém łożu śmierci, gdzie poznałem wartość kochającego serca, zaszła we mnie stanowcza zmiana. Byłem jeszcze w wieku, w którym oczy płakać umieją. W ciągu paru ostatnich dni tego drogiego mi życia, czyny moje, słowa i lzy świadczyły o szczerym żalu człowieka, do głębi serca dotkniętego. Zbyt późno poznałem, jak wzniosłą duszą wzgardziłem, zbyt późno, przypatrzwszy się dopiero małostkom świata, egoizmowi i lekkomyślności modnych kobiet, nauczyłem się ją cenić! Znudzony widokiem tylu masek, słuchaniem tylu kłamstw, wzdychałem do prawdziwej, czystej miłości i ujrzałem ją wreszcie, konającą z mojej ręki, należąca jeszcze do mnie, a mającą mnie za chwilę nazawsze opuścić! Czteroletnie doświadczenie odsłoniło mi istotne tło mego charakteru. Usposobieniem, wyobraźnią, zasadami religijnymi, które drzemały we mnie, lecz nie znikły, umysłem, sercem, słowem, wszystkiem skłaniałem się już od niejakiego czasu ku cichemu, domowemu szczęściu, ku rozkoszom rodzinnym, najrzetelniejszym ze wszystkich. W miarę jak miotalem się w próżni bezcelowego życia, jak karmiłem się przyjemnościami, ogołoconemi z uczuć, które je zdobić powinny, spokojne obrazy domowego ogniska stawały mi w myśli, budząc najżywsze ich pragnienie. To też zmiana w obyczajach moich stanowczą była, choć tak nagłą. Południowy mój temperament, pobyt w Paryżu skażony, nie byłby mnie zapewne skłonił do litowania się nad losem biednej uwiedzionej dziewczyny, i byłbym może śmiać się z jej łez i cierpień, gdyby mi o nich jaki żartowniś w wesołym gronie opowiadał. We Francji zbrodnia, w dowcipne słówka ujęta, wstrętu nie budzi; ale wobec tej nadziemskiej istoty, której żadnego zarzutu zrobić nie mogłem, wszelkie wybiegi sumienia miejsca mieć nie mogły; zamiast nich stała trumna i dziecko moje, które uśmiechało się do mnie, nie wiedząc, że byłem mordercą jego matki. Umarła ona wreszcie; umarła szczęśliwa, że ją napowrót ukochałem i że ta nowa miłość nie wypływała ani z politowania, ani nawet z łączących nas silnie rodzicielskich węzłów. Nigdy nie zapomnę ostatnich chwil jej konania, których cierpień nie czuła prawie, będąc uspokojona, jako matka i uszczęśliwiona, jako kochanka. Dostatek, zbytek prawie, otaczający ją wtedy, radość dziecka, ślicznego jak aniołek, w ładnych, właściwych jego wiekowi sukienkach, były jej rękojmą szczęśliwej przyszłości dla tej istotki niewinnej, w której siebie samę zmartwychwstałą widziała. Wikaryusz od św. Sulpicyusza, świadek mojej rozpacz, pogłębił ją, jeszcze, nie darząc mnie zużytemi frazesami pociechy, ale przeciwnie wskazując ważność nowych moich obowiązków; chociaż i tak nie potrzebowałem podniety, bo sumienie głośno na mnie wołało. Szlachetna kobieta oddała mi się duszą i ciałem, zawierzyła memu sercu, a ja zdradziłem ją niegodnie, udając jeszcze miłość wtedy, gdy już knulem zdradę; stałem się przyczyną nieszczęścia biednej dziewczyny, która skazawszy się dla mnie na upokorzenia i pogardę świata, powinna mi była być świętą; która umierała przebacząc mi wszystko, i polegając na honorze człowieka, który już raz słowa jej nie dotrzymał. Oddawszy mi swą wiarę dziewczę, Agata powierzyła mi jeszcze swoje macierzyńskie nadzieje! Och, kapitanie! to dziecko! Bóg tylko wiedzieć może, czém dla mnie było to dziecko!! Maleństwo to przypominało matkę wdziękiem w ruchach, w mowie, w myślach, ale ja w niem więcej daleko nad ten obraz widziałem. Przez nie tylko mogłem odzyskać honor, stać się godnym udzielonego mi naprzód przebaczenia. Kochałem je jak ojciec, pragnąłem zastąpić mu matkę i wyrzuty moje w szczęście zamienić, gdyby sieroctwo nigdy mu się uczuć nie dało; tak więc wiązały mnie do niego wszystkie węzły ludzkie i wszystkie nadzieje religijne. Z miłością dla tego dziecka wstąpiła mi w serce tkliwość iście macierzyńska. Dźwięk jego głosu przejmował mnie drżeniem; godzinami całemi wpatrywałem się w nie, gdy spało i niejedna łza zwiliżyła wtedy jasne jego czołko! Przyzwyczailem mego syna, aby pacierze zawsze przy moim łożku odmawiał. Ileż słodkich wzruszeń sprowadziła mi prosta, czysta modlitwa Pańska odmawiana różowemi usteczkami tej dzieciny, ale ileż bolesnych zarazem! Pewnego rana zacząwszy: *Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiach*, zatrzymał się i: dla czego nie: *matko nasza?* — zapytał. Słowo to jak kamień ciężki na serce mi padło. Boże mój! ja-m tak kochał mego jedynaka, a przecież własną ręką na drodze jego życia nieszczęście sieroctwa postawiłem! I nie tylko to jedno! Wprawdzie kodeksy cywilne uznały i niejako upoważniły błędy młodości, dając legalną egzystencję dzieciom naturalnym, ale dały ją niechętnie, a świat niezwalczonemi przesądami niechęć tę umocnił. Od tego to czasu, kapitanie, zacząłem

rozmyślać poważnie nad podstawami społeczeństw, nad ich ustrojem, nad obowiązkami człowieka i nad moralnością, jaka obywateli ożywiać powinna. Gieniusz obejmuje odrazu wszystkie węzły kojarzące jednostkę ze społeczeństwem; religia wskazuje duszom prawym istotne zasady szczęścia; ale skrucha tylko i żal za grzechy może niemi natchnąć umysły burzliwe i namiętne; mnie także żal oświecił. Żyłem tylko dla mego dziecka, i ze względu na nie doszedłem do zastanawiania się nad ważnymi społecznymi kwestyami. Powiedziałem sobie, że uzbroję go zawczasu we wszystkie sposoby, jakie-by mu do wzniesienia się dopomódz mogły. I tak: Chcąc go nauczyć niemieckiego, angielskiego, włoskiego i hiszpańskiego języka, sprowadzałem mu kolejno nauczycieli tych narodowości, którzy go od dzieciństwa w poprawnej wymowie kształcili. Z radością odkryłem w nim umysł bystry i zdolny i korzystałem z tego rozwijając go stopniowo. Baczyłem, aby ani jedna fałszywa myśl nie skrzywiła jego pojęć; starałem się wdrożyć go w umysłowe prace, nadać mu ten rzut oka szybki i pewny, który uogólnia naukę, i tę cierpliwość, która schodzi aż do najdrobniejszych szczegółów danej specjalności; wreszcie nauczyłem go cierpieć i milczeć. Nigdy wobec niego słowo nieczyste ani nawet nieprzyzwoite wymówionem nie było. Dzięki moim staraniom, wszystko, co go otaczało, tak ludzie, jak rzeczy, przyczyniało się do uszlachetnienia jego duszy, do napełnienia go miłością piękną, nienawiścią kłamstwa, prostotą w czynach, słowach i myślach. Żywa jego wyobraźnia ułatwiała mu przyswajanie sobie wiadomości. O! z jakąż rozkoszą hodowałem tę cudną roślinkę! Wtedy zrozumiałem, jak wielkiem jest szczęściem macierzyństwo i jak ono jedynie mogło dać biednej mojej Agacie siłę do dźwigania ciężkiego brzemienia, jakie jej na barki włożyłem. Otóż, masz już, kapitanie, najważniejszy wypadek mego życia; teraz przychodzi do katastrofy, która mnie na drogę, jaką teraz idę, popchnęła. Jest-to najpospolitsza, najprostsza w świecie historia; ale, jak dla mnie, najstraszniejsza! — Spędziwszy lat kilka w zupełnym oddaniu się dziecku, pomyślałem wreszcie o sobie i przeraziłem się samotnością, która mi po dorostaniu syna groziła. Głównym czynnikiem mego życia była miłość. Czułem potrzebę kochania, która wciąż zawiedziona odradzała się ciągle i rosła w miarę wieku. Czułem w sobie wtedy wszystkie warunki prawdziwego przywiązania. Przebyłem już szkołę doświadczenia, pojmowałem, jak łatwo jest wytrwać w uczuciu, jak szczęście w poświęceniu znaleźć można, jak kobieta ukochana powinna być zawsze pierwszą w myślach i czynach mężczyzny. Lubowałem się w marzeniach o miłości takiej, która dwie istoty zespoli tak ściśle, że myślą, czują i działają — jednakowo, która staje się dla życia tępem, czem religia dla duszy, oświeca je, ożywia i podtrzymuje. Miłość małżeńską pojmowałem inaczej niż większa część mężczyzn i doszedłem do przekonania, iż największy jej urok leży właśnie w tępem, co ją w wielu małżeństwach zabija. Czułem żywo moralną wielkość życia we dwoje, tak ściśle zjednoczonego, że najpospolitsze jego strony nie są w stanie świeżości uczuć osłabić. Ale gdzie znaleźć serca, tak zupełnie podług jednego kamertonu nastrojone (daruj mi pan to naukowe określenie), by tę niebiańską harmonię wytworzyć zdołały. Jeżeli istnieją, natura lub przypadek rzuca je zbyt daleko od siebie, aby się złączyć mogły; i, albo się poznają zapóźno, albo śmierć ich zawczasem rozdziela. Fatalność ta musi mieć swój cel i przyczynę, ale ja-m ich nigdy nie szukał. Rana, jaką w sercu noszę, nadto mnie boli, abym się w nią miał zagłębiać. Być może, iż szczęście zupełne jest potwornością, któraby się w rodzaju ludzkim rozpowszechnić nie mogła. Pociąg mój do małżeństwa takiego, jakim je sobie wymarzyłem, wypływał jeszcze z innych źródeł. Nie miałem wcale przyjaciół i świat był dla mnie pustynią. Jest we mnie coś, co się sprzeciwia słodkiemu związkowi dusz. Kilka osób szukało stosunków ze mną, ale pomimo moich w tym względzie usiłowań nikogo przywiązać do siebie nie umiałem. Byli ludzie, dla których tłumiliem w sobie to, co świat wyższością nazywa, szedłem ich krokiem, przejmowałem się ich pojęciami, śmiałem się ich śmiechem; usprawiedliwiałem ich błędy; byłbym im oddał wszystko za trochę przyjaźni. Ludzie ci odstąpili mnie bez żalu. W Paryżu wszystko jest tylko zwodniczym sidłem i powodem do rozczarowania dla dusz, chcących tam szukać prawdziwego uczucia. Gdziekolwiek stąpiłem, próżnia otwierała się pod memi nogami. Dla jednych dobroć moja była słabością, a jeżeli im pokazałem silną dłoń człowieka umięjącego dźwżyć w niej władzę, nazywali mnie złym; inni sztydziłi z mojej wiary młodzieńczej, z tego śmiechu swobody, który już w dwudziestym roku zamilka i którego ludzie dojrzały wstydzą się prawie. Za dni naszych świat nudzi się, a mimo to, w najbłahszych nawet rozmowach żąda powagi! Straszne to czasy! kiedy schy-

lamy się przed człowiekiem grzecznym, miernym, zimnym, którego nienawidzimy, ale któremu wszelako jesteśmy posłuszni. Później dopiero rozwiązałem zagadkę tych pozornych sprzeczności. Mierność, kapitanie, wystarcza na każdą chwilę życia, jestto codzienne ubranie społeczeństwa; wszystko, co wyskakuje po za ten łagodny cień, jaki rzucają ludzie mierni, ma w sobie coś rażącego; gieniusz i oryginalność są-to klejnoty, które się chowa i wkłada tylko na ważniejsze uroczystości. Będąc więc tak zupełnie samotnym wśród gwarne Paryża, nie odbierając od świata nic w zamian za wszystko, co mu oddałem, nie mogąc poprzestać na miłości dziecka, bo byłem mężczyzną; czułem, że życie zastyga we mnie, i wtedy to, w chwili gdy upadałem już pod ciężarem wewnętrznej mej niedoli, poznałem kobietę, która miała mi dać uczuć miłość w całej jej potęgde, miłość w całej jej świętości, miłość ze wszystkimi nadziejami szczęścia, jedném słowem: miłość! Byłem odnowił stosunki ze starym przyjacielem ojca, który się niegdyś mną opiekował i tam-to ujrzałem istotę, która natchnęła mnie najsilniejszém, tak długo jak życie moje mającém trwać uczuciem. Im więcej człowiek się starzeje, tém jaśniej widzi potężny wpływ pojęć na wypadki. Przesady bardzo zresztą poszanowania godne, wypływające ze świętych religijnych zasad, stały się przyczyną mego nieszczęścia.

Dziewica, którą pokochałem, była córką nadzwyczaj pobożnych rodziców, należących do pewnej katolickiej sekty, niewłaściwie jansenistyczną nazwanej, która niegdyś takie zaburzenia we Francji wywołała; wiesz pan dlaczego?

— Nie! — odparł Genestas.

— Janseniusz, biskup Yprejski, napisał książkę, której poglądy ogłoszono za sprzeciwiające się zasadom stolicy apostolskiej. Później zdjęto z nich zarzut herezyi; niektórzy autorowie zaprzeczali nawet ich istnieniu. Małoważne te sprzeczki wytworzyły w kościele gallikańskim dwa stronnictwa: jansenistów i jezuitów. Z obu stron znaleźli się wielcy ludzie, i walka toczyła się uparcie. Janseniści oskarżali jezuitów o rozluźnienie moralności a sami przejęli się wygórowaną czystością pojęć i obyczajów; byli-to więc, że tak powiem, purytanie katolicy, jeżeli te dwa wyrazy w parze ze sobą iść mogą. Podczas rewolucyi francuzkiej w skutek nic nie znaczącej schizmy, jaką spowodował konkordat, utworzyło się znów stowarzyszenie katolików, nie uznających biskupów, których władza rewolucyjna na mocy układów z papieżem mianowała. Ta garstka wiernych, znana pod nazwą *małego kościoła*, przyjęła na wzór jansenistów surowy, regularny sposób życia, zdający się być koniecznym warunkiem istnienia dla wszystkich sekt potępionych i prześladowanych. Kilka rodzin jansenistycznych należało także do małego kościoła, a między niemi i rodzice mej ukochanej. Ostrość tych dwóch purytanizmów nadaje wyznawcom swym coś imponującego w charakterze i postawie, bo właściwością zasad bezwzględnych jest powiększać najzwyczajniejsze czyny odnosząc każdy do życia przyszedłego: ztąd też pochodzi ta niezrównana pogoda i czystość serca, poszanowanie siebie i drugich, ztąd nadzwyczajna drażliwość w odczuciu tego, co słuszne a co niesłuszne; ztąd wielkie miłosierdzie, ścisła ale i nieubłagana sprawiedliwość, wreszcie odraza do grzechów a zwłaszcza kłamstw, które je wszystkie w sobie mieści. Nie pamiętam rozkoszniejszych chwil nad te, jakie spędziłem u starego mego przyjaciela, gdy pierwszy raz zobaczył to dziewczę uroczę, nieśmiałe, wdrożone do wszelkiego rodzaju posłuszeństwa, jaśniejące wszystkimi cnotami tej sekty, a jednak nie wynoszące się ponad innych, nie chlubiące się tém bynajmniej. Kibić jej wiotka i ślicznie utoczona poruszała się z wdziękiem, którego nawet wpojona w nią sztywność zatrzeć nie mogła; owal jej twarzy i rysy miały delikatność właściwą kobietom pochodzącym ze starożytnych szlacheckich rodzin; spojrzenie jej było zarazem słodkie i dumne, czoło spokojne, a główkę jej zdobiły bujne, z prostotą zaczesane włosy. Jedném słowem, kapitanie, była ona w moich oczach typem doskonałości, jaki zwykle widzimy w ukochanej kobiecie, boć, aby ją ukochać, potrzeba koniecznie znaleźć w niej tę piękność wymarzoną, zgodną z naszymi osobistemi w tym względzie pojęciami. Gdy do niej mówił, odpowiadała mi naturalnie, bez pośpiechu, ani fałszywego wstydu, nie domyślając się, jaką rozkosz sprawiały mi dźwięki jej melodyjnego głosu i powierzchowne jej powaby. Wszystkie te ziemskie anioły posiadają jednakowe uroki, po których ich serce poznaje: też samą słodycz w mowie, też samą tkliwość w spojrzeniu, też samą białość cery i coś ujmującego w ruchach. Zalety ze zlewają się harmonijnie ze sobą i czarują każdego, choć nikt określić-by nie mógł, na czém właściwie czar ten polega. Wyższa dusza objawia się we wszystkiém. Pokochałem szalenie! Miłość ta zaspokoila wszystkie miotające mną

żądze: ambicyi, majątku, uczuć! Piękna, szlachetnego rodu, bogata i dobrze wychowana panienka ta posiadała wszystkie warunki, jakich świat wymaga od kobiet stojących na wysokim stanowisku, do którego dążyłem. Obdarzona bystrym i starannie ukształconym umysłem, wyrażała się z tą dowcipną łatwością tak rzadką, a tak zarazem pospolitą we Francyi, gdzie u wielu kobiet najpiękniejsze słowa są puste, podczas gdy każda jęj uwaga była trafną i głęboką. Wreszcie wzbudzała ona wysoki szacunek, wypływający z poczucia osobistej godności, co według mnie jest największą zaletą kobiety, którą mężczyzna za małżonkę sobie obrać pragnie. Ale daję pokój dalszemu opisowi; nigdy dość dokładnie ukochanej kobiety odmalować nie można; pomiędzy nią a nami istnieją tajemnice wymykające się zimnemu rozbiorowi. Wkrótce zwierzyłem się z moich uczuć staremu przyjacielowi, który mnie do domu rodziców jęj wprowadził i poparł swoją powagą. Przyjęto mnie zrazu z zimną grzecznością, właściwą ludziom wyjątkowym, którzy nie zrywają nigdy raz zawiązanych przyjaznych stosunków; ale później okazałem tego, że mnie poufalej traktowano. Zapewne ten objaw szacunku zawdzięczałem memu postępowaniu z niemi. Pomimo gwałtownej miłości, nie zrobiłem nic, coby mnie mogło we własnych oczach poniżyć: nie nadskakiwałem, nie schlebiałem tym, od których los mój zależał; pokazywałem się takim, jakim byłem, a przedewszystkiem człowiekiem. Gdy już mnie dobrze poznali, stary mój przyjaciel, pragnąc równie jak ja, aby mój smutny celibat raz przecie się zakończył, objawił im moje zamiary, które przyjęto laskawie, ale z tą oględnością, jakiej ludzie światowi rzadko się pozbywają. Przyjaciel zaś mój, w chęci zapewnienia mi *dobrej partyi*, które-to określenie czyni z uroczystego aktu małżeństwa jakieś przedsięwzięcie handlowe, gdzie obie strony wzajemnie się oszukać starają, przemilczał o tém, co błędem męj młodości nazywał. Według niego wiadomość o istnieniu mego dziecka obudziłaby przeszkody moralne, wobec których względy majątkowe byłyby niczém, i które sprowadziłyby zerwanie. Miał słusność — „Rzecz ta, powiedział mi, ułoży się potem między tobą i żoną, od której łatwo zupełne rozgrzeszenie uzyskasz.” Wreszcie, by stłumić moje skrupuły, nie zaniedbał żadnego z tych mamiących rozumowań, jakie mądrość światowa podszeptuje. Powiem ci kapitanie, że mimo obietnicy milczenia, jaką pocziwemu staruszkowi dałem, pierwszym moim popędem było odkryć wszystko szczerze ojcu rodziny, ale sztywność jęgo onieśmiałła mnie i przestraszały skutki takiego wyznania; tchórzliwie więc zacząłem wchodzić w układy z sumieniem i postanowiłem czekać, aż moja najdroższa okaże mi swoje przywiązanie do tyła, by już ta straszna spowiedź szczęściu memu grozić nie mogła. Zamiar taki czekania na sposobną chwilę z wyznaniem usprawiedliwiała sofizmaty świata i przezornego staruszka. Byłem więc, bez wiedzy przyjaciół domu, przyjmowany tam jako przyszły małżonek córki. Wybitną cechą tych pobożnych rodzin jest nieograniczona dyskrecya, która nakazuje milczenie nawet w nic nieznaczających sprawach. Nie uwierzyłbyś pan, jak ta słodka powaga przebijająca się we wszystkiem, dodaje głębokości uczuciom. Życie tam płynęło spokojnie i pożytecznie: kobiety w chwilach wolnych szyły bieliznę dla biednych; rozmowa nie była nigdy cczą i płochą; śmiano się przecie chętnie ale bez szyderstwa i przekąsu. Pogawędki tych surowych ortodoksów mogły się zrazu wydać dziwne, pozbawione tęj werwy dowcipnej, jaką obmowa i skandaliczne historyjki nadają światowym paplaninom, bo tylko ojciec i stryj czytawali tam dzienniki; moja przyszła zaś nigdy nawet nie rzuciła okiem na te szpalty, z których najniewinniejsza mówi jeszcze o zbrodniach i występkach publicznych. Później przecie dusza doznawała w tęj atmosferze czystęj wrażenia podobnego temu, jakie oczy od popielatęj barwy odbierają, a więc spokoju i wypoczynku. Jednostajność tęgo życia była przerażającą na pozór. Samo urządzenie domu miało w sobie coś lodowego; codziennie widziałem wszystkie sprzęty nawet do najczęstszego użytku służące, ustawione w jeden i ten sam sposób i zawsze niepokalanie czyste. Jednakowoż można się było przyzwyczać, a nawet bardzo silnie do tęgo rodzaju życia przywiązać. Przewyciężywszy wstręt człowieka nawykłego do rozmaitości, zbytku i paryskiego gwaru, oceniłem korzyści takiego systematycznego spędzania czasu: rozwija ono myśli w całej ich rozciągłości i wywołuje mimowolne zadumy; serce w niem przeważa i nie rozprasząc się w błahostkach umie, gdy potrzeba, znaleźć w sobie niewyczerpane zasoby uczuć. Tam, jak w klasztorach, myśl spotykając ciągle jedne i te same rzeczy, odrywa się od nich z konieczności i bez podziału może się wznosić ku wyższym, nieuzmysłowionym celom. Dla człowieka, tak szczerze zakochanego jak ja byłem, cisza, prostota życia, powtarzanie się tých samych czynności w oznaczonych na nie godzinach

mogły tylko spotęgować miłość. Na tle tego głębokiego spokoju najdrobniejszy ruch, słowo, spojrzenie rysowały się z dziwną wyrazistością nabierając niezmiernego znaczenia. Dla serc rozumiejących się wzajemnie uśmiechy i spojrzenia dostarczają niewyczerpanego zasobu obrazów malujących ich rozkosze i smutki. Wtedy dopiero pojąłem, że mowa w całej wspaniałości swych zwrotów nie dorównywa ani rozmaitością ani potęgą tej niemiej wymianie myśli. Ileż-to razy gdy byłem zmuszony milczeć, przychodziła mi ochota przelać całą moją duszę w oczy lub usta, by uśmiechem lub spojrzeniem wypowiedzieć wszystko tej dziewczęce niewinnej, tak spokojnie ze mną obcującej, której jeszcze powód mego bywania w jej domu nie był wiadomy, bo rodzice chcieli zostawić jej najzupełniejszą wolność w tej najważniejszej sprawie życia. Ale gdy się kocha prawdziwie, sama obecność ukochanej istoty zaspakaja najgorętsze pragnienia. Gdy jesteśmy tuż przy niej, nie doznajemyż szczęścia chrześcijanina wobec Boga? Widzieć nie jest-że to samo co ubóstwiać? Jeśli dla mnie, więcej jak dla kogo innego, było męczarnią nie mieć prawa wyrażania porywów mego serca; jeśli byłem zmuszony zagrzebywać w grobie milczenia ogniste słowa, które są tylko słabym oddźwiękiem ognistszych jeszcze uczuć: to przymus ten, wiążąc moją namiętność, tém żywił ją w drobnych i dozwolonych objawach zdradzał. Wpatrywać się w nią godzinami całemi, rozkoszować się każdym słowem z jej ust różanych wychodzącem i skrytych jej myśli szukać w odcieniach melodyjnego głosu, śledzić drżenie jej paluszków, gdy ją podawał jakiś przedmiot, którego potrzebowała, wynajdywać sposobności dotknięcia się jej sukni, włosów lub ręki: były-to dla mnie rzeczy niesłychanej ważności. W chwilach takiego upojenia, oczy, głos i ruchy dostarczały spragnionemu memu sercu nieujętych, nieokreślonych oznak przywiązania. Taką była moja mowa, jedyna, jakiej mi dozwalała dziewczęco-zimna skromność mej ukochanej; bo w zachowaniu się jej nie zaszła żadna zmiana; była zawsze ze mną jak siostra z bratem; tylko w miarę jak namiętność moja rosła, sprzeczność między moimi a jej słowami, moimi a jej spojrzeniami stawała się wyraźniejszą, i w końcu odgadłem, iż nieśmiałość to milczenie było jedynym sposobem, w jaki ona uczucia swe wyrażać mogła. Ile razy przyszedłem, zawsze zastawałem ją w salonie; siedziała w nim ciągle, przez cały czas mojej bytności, oczekiwanej może i przeczutej, słuchając z nietajoną przyjemnością tego, co mówiłem. Naiwne i melancholijne objawy naszej miłości zniecierpliwiły wreszcie rodziców, którzy widząc mnie tak prawie nieśmiałym jak ich córka nabrali o mnie korzystnego wyobrażenia i osądzili godnym swego szacunku. Oboje wynurzyli się z tém przed moim starym przyjacielem, nie szczędząc mi pochwał, nazywając mnie przybranym swoim synem, unosząc się zwłaszcza nad moralnością moich uczuć. Bo téż wtedy byłem rzeczywiście jakby odrodzonym. W tym świecie religijnym i czystym, ja mężczyzna trzydziesto-dwu letni stawałem się pełnym wiary młodzieniaszkiem. Tak zbiegło lato. Z powodu interesów rodzina ta dłużej niż zazwyczaj bawiła w Paryżu, wreszcie na początku września zaczęła się wybierać do majątku swego w Owernii i ojciec zaprosił mnie, bym razem z nią spędził dwa miesiące w starém zamczysku gdzieś w górach Cantalu położonym. Nie odpowiedziałem mu zrazu na to przyjazne zaproszenie i wahaniami temu byłem winien najśladzki, najrozkoszniejszy z mimowolnych objawów, jakimi skromne dziewczę może zdradzić tajemnicę swego serca. Ewelina... Boże! wykrzyknął nagle Benassis i umilkł pogrążając się w zadumie.

— Wybacz mi, kapitanie Bluteau — ozwał się po długim przestanku. Pierwszy-to raz od dwunastu lat wymawiam imię, które wciąż w myślach moich krąży i które głos jakiś we śnie mi powtarza. Ewelina więc, skoro już ją nazwałem, podniosła głowę ruchem szybkim stanowiącym dziwną sprzeczność z wrodzoną słodyczą i powolnością jej gościów; popatrzyła na mnie bez dumy ale z bolesnym niepokojem i zarumieniona spuściła oczy. Ten rumieniec, to wstydlive przymknięcie powiek napełniło mnie nieznanem dotychczas szczęściem. Zaledwo mogłem wybełkotać jakąś odpowiedź, a to moje wzruszenie przemówiło żywo do jej serca, bo podniosła znów cudne swoje źrenice i podziękowała mi słodkiem, wilgotnem prawie spojrzeniem. Powiedzieliśmy sobie wszystko w tej chwili. Pojechałem więc z niemi na wieś. Od tego dnia, w którym serca nasze się zrozumiały, innemi oczyma spoglądaliśmy na otaczające nas przedmioty; nic nam już obojętnem nie było. Miłość prawdziwa jest zawsze taż sama jako pojęcie; ale form, w jakich się objawia, musi sobie zapożyczać od naszych usposobień i myśli; ztąd téż każdy owładnięty nią człowiek inaczej ją uzewnętrznia, choć w gruncie jednakowo czuje. Poeci i filozofowie tylko

rozumieją całą głębokość tego określenia miłości, które się już tak pospolitem stało, że jest-to egoizm we dwoje. Tak jest; swoje to własne *ja* kochamy w kimś *drugim*. Ale jeżeli objawy miłości są tak różne, że nie ma na świecie dwóch par kochanków podobnych do siebie, wszystkie one przecież podlegają jednemu prawu w wynurzaniu swoich uczuć. Wszystkie młode dziewczęta nawet najskromniejsze i najpobożniejsze mają jeden i ten sam język miłosny, różniący się jedynie większym lub mniejszym wdziękiem i urokiem. Tylko tam, gdzie dla innej niewinne wynurzenie uczuć byłoby rzeczą naturalną, Ewelina widziała ustępstwo konieczne dla mnóstwa wzruszeń gwałtownych, burzących zwykły spokój jej religijnej młodości; ztąd też zdawało się, że nawet najprzelotniejsze spojrzenie było jej jakby przemocą wyrwane. Ta ciągła walka serca z zasadami nadawała każdemu wydarzeniu jej życia, co niby tak ciche na pozór tak w głębi miotano się i wrzało, piętno mocy, o wiele wyższej nad egzaltację właściwą dziewczętom, których wyobraźnię obyczaj świata zwichnęły. Podczas drogi Ewelina widziała ciągle jakieś nowe piękności natury i mówiła o nich z zachwyceniem. Gdy nam się zdaje, że nie mamy prawa objawiania szczęścia, jakie nam obecność ukochanej istoty sprawia, wylewamy wtedy przepelniające nam serce uczucia na przedmioty zewnętrzne, które wtedy niepojętym urokiem odziewają się w naszych oczach. Widoki okolic, któreśmy przebywali, były dla nas dwojga dobrze rozumianym pośrednikiem do wypowiedzania sobie tajemnic serc naszych, co się w pochwałach nieszczędzonych wzgórzom, dolinom i drzewom ukrywały. Matka Eweliny kilkakrotnie całowała córkę, uśmiechając się z kobiecą przenikliwością: „Tyle razy przejeżdżałaś tędy, drogie dziecko, a nigdy się tak nad tym wszystkim nie unosiłaś” — rzekła po jakimś zbyt gorącym wykrzykniku Eweliny. „Widocznie, mamó, nie byłam jeszcze w wieku, kiedy się tego rodzaju piękności oceniać może” — odrzekła ona. Daruj mi, kapitanie, ten szczegół bez żadnego uroku dla ciebie; ale prosta ta odpowiedź przejęła mnie nieopisaną radością, zacerpniętą w spojrzeniu, jakie jej towarzyszyło. Tak więc, to wioska promieniami wschodzącego słońca oświetlona, to ruiny bluszczem uwieńczone, na któreśmy razem patrzyli, silniej jeszcze utrwały w duszach naszych słodkie wzruszenia, rozstrzygające o całej naszej przyszłości. Przybyliśmy wreszcie do celu podróży, starego zamczyska, w którym czterdzieści dni spędziłem. Były-to jedyne chwile zupełnego szczęścia, jakim mnie niebo obdarzyło. Napawałem się tam przyjemnościami nieznanymi mieszkańcom miast. Cóż-to była za rozkosz dla dwojga kochanków żyć pod jednym dachem, chodzić razem po łąkach i polach, mieć czasem słodkie sam-na-sam, usiąść pod drzewem w głębi jakiej ładnej dolinki, prowadzić te niby nic nieznaczące rozmowy, udzielać sobie tych drobnych zwierzeń, które tak serca bijące dla siebie zbliżają. Al! kapitanie, życie na świeżym powietrzu, piękności nieba i ziemi godzą się tak dobrze z rozkoszami duszy... Uśmiechać się do siebie patrząc razem na czyste błękity, mieszać pełne prostoty słowa ze śpiewem ptasząt i szmerem liści, wracać z wolna do domu, przysłuchując się w wieczornej ciszy dźwiękowi dzwonka, który nas zbyt wcześnie przyzywa, podziwiać wspólnie jaki drobny szczegół krajobrazu, śledzić kapryśny lot owadu, przypatrywać się złotej muszce, jaką trzymają drżące paluszki kochającej, czystej dziewicy: nie jest-że to zanurzać się w nadziemskich rozkoszach! Te czterdzieści dni szczęścia dostarczyły mi wspomnień na ubarwienie całego życia, wspomnień tém piękniejszych i rozleglejszych, że już nigdy potem chwil takich zaznać nie miałem. Dziś, obrazy pospolite na pozór, ale pełne gorzkiego znaczenia dla złamanego serca przywiodły mi na pamięć moją idyllę rozwianą lecz nigdy nie zapomnianą. Nie wiem, czy zauważyłeś pan grę światła zachodzącego słońca na chacie biednego Jasia. W jednej chwili cała natura zapłonęła purpurowymi ogniami gwiazdy dzienniej, i nagle potem krajobraz stał się ponurym i ciemnym. Te dwa tak różne widoki przedstawiły mi wierny obraz tego peryodu mego życia. Kapitanie! otrzymałem od niej wtedy pierwszy, jedyny, wzniosły dowód miłości, jaki dać mogła kochające, dziewicze usta, tę słodką obietnicę szczęścia, która im bardziej jest przelotną, tém silniej wiąże: to wspomnienie mowy lepszego świata. Pewien już wtedy jej serca, przysiągłem sobie wyznać jej wszystko, wstyd mnie prawie było, że tak długo zwlekał z odkryciem jej dręczących mnie wątpliwości i smutków. Nieszczęściem, nazajutrz po tym dniu rozkosznym odebrałem list od nauczyciela mego syna, donoszący mi o jego chorobie. Zaniepokojony o to drogie mi życie, odjechałem nie wyznawszy mej tajemnicy Ewelinie i powiedziawszy tylko jej rodzicom, że ważna sprawa wzywa mnie do natychmiastowego porzucenia ich gościnnego dachu. Przydługa nieobecność moja zaniepokoiła ojca i matkę. W obawie

czy nie mam jakich zobowiązań sercowych, napisali do Paryża, by wiadomości o mnie zasięgnąć. Wbrew swoim zasadom religijnym zaczęli mi nie dowierzać, nie objawiwszy mi wprost tego i odbierając mi tём samém możność rozproszenia powziętych podejrzeń. Jeden z przyjaciół powiadomił ich bez mojej wiedzy o wypadkach mojej młodości, przesadzając w opisie błędów i kładąc główny nacisk na to, że miałem dziecko, którego istnienia, jak utrzymywał, chciałem się zaprzeczyć przed niemi. Gdy napisałem potem do przyszłych moich rodziców, nie otrzymałem odpowiedzi, następnie dowiedziawszy się o ich powrocie do Paryża, poszedłem ich odwiedzić i nie zostałem przyjęty. Zaniepokojony do najwyższego stopnia, posłałem starego mego przyjaciela, aby wy badał przyczynę postępowania, którego pojąć nie mogłem. Dowiedziawszy się o wszystkiém, zacny ten staruszek, przyjął na siebie winę mego milczenia, chciał mnie usprawiedliwić, ale na próżno. Materyalne i moralne względy, silnie ugruntowane przesady tój rodziny oparły się wszelkim przełożeniom. Rozpacz moja była bez granic. Z początku usiłowałem zażegnać burzę, ale listy, które pisałem, odsyłano mi nierozpieczętowane. Kiedy już wszystkie środki, jakie tylko w ludzkiej są mocy, wyczerpane zostały, gdy ojciec i matka oświadczyli staruszkowi, sprawcy mego nieszczęścia, że nigdy nie zezwolą na połączenie córki swój z człowiekiem, który ma sobie do wyrzucenia śmierć kobiety i życie naturalnego dziecka, nawet gdyby Ewelina na kolanach ich o to błagała: wtedy została mi jedna tylko jeszcze nadzieja, słaba jak gałązka wierzby, której tonący się chwyta. Mniemałem, iż miłość Eweliny silniejszą będzie niż postanowienie jój rodziców, że je zwyciężyć potrafi; ojciec mógł zataić przed nią powód odmowy, zabijającej nasze szczęście, chciałem więc, aby sama ze znajomością istotnego stanu rzeczy zawyrokowała o moim losie, i napisałem do niej! Niestety! kapitanie, ze łzami i miotany najsroźszym niepokojem, nie bez wahania się skreśliłem jedyny w całym moim życiu list miłosny. Nie pamiętam już prawie, co mi w nim rozpacz podyktowała; zapewne, mówiłem mojej Ewelinie, iż jeśli była szczerą, nie powinna już kochać nikogo prócz mnie, że życie jój byłoby inaczej zwichniętém; bo czyż nie musiałaby skłamać przyszłemu swemu małżonkowi, albo mnie? że wzbraniając się poświęcić dla kochanka, z którym ją ślub duchowy spoił, tak jakby się poświęciła dla męża, gdyby z nim wobec świata złączoną była, przeniewierzała się popędowi kobiecego serca, które woli być zawsze związane uczuciem niż prawem. Usprawiedliwiałem się z błędów moich, nie zaniedbując niczego, coby czystą i szlachetną duszę poruszyć mogło. Ale, skoro już panu wszystko mówię, przyniosę ci jój odpowiedź i list mój ostatni.

Po tych słowach Benassis poszedł do swego pokoju na górę i wrócił wkrótce trzymając zużyty portfel, z którego drżącą od głębokiego wzruszenia ręką wyjął jakieś papiery.

— Oto jest ów list fatalny — rzekł — Dziecko, co te wyrazy kreśliło, nie domyślało się jak ważną one w moim życiu odegrają rolę. A to — ciągnął dalej pokazując drugą ćwiartkę papieru — to ostatni jęk, który mi cierpienia z piersi wyrwały. Stary mój przyjaciel zaniósł sam moją błagalną odezwę, oddał ją pokryjomu, upokorzył siwe swoje włosy prosząc Ewelinę, aby przeczytawszy odpowiedź na nią dała — i oto owa odpowiedź:

„Panie...”

— Nazywała mnie *panem*, mnie, który kiedyś byłem *jój ukochanym*, to czyste imię swój miłości dla mnie znalazła. Ten jeden wyraz wszystko mi już powiedział — ale słuchaj pan dalej:

„Zawód to okrutny dla serca młodej dziewczyny, gdy się przekonywa o fałszywości człowieka, któremu życie swoje powierzyć miała! Jednakże ja usprawiedliwiam pana, jesteśmy wszyscy tak słabi! List pana mnie wzruszył, ale nie odzywaj się już do mnie; pismo pańskie sprawia mi wrażenia, których znieść niepodobna. Jesteśmy rozdzieleni nazawsze. To, coś mi pan w liście swoim powiedział, stłumiło budzące się w duszy mojej uczucie żalu do pana, żeś zawiódł moje wyobrażenia o sobie. Ja cię tak czystym widzieć pragnęłam! Ale i pan i ja jesteśmy za słabi wobec woli mego ojca. Tak. Wiedz pan, iż ośmieliłam się wstawić za tobą. By się na ten krok odważyć, by błagać moich rodziców, musiałam przewyciężyć najsroźsze obawy, jakie mną kiedykolwiek miotaly, i niemal własnemu życiu kłam zadać! Teraz, ustępuję jeszcze prośbom pana i staję się winną odpowiadając ci bez wiedzy mego ojca; ale matka moja wie o tём, a pobłażliwość, z jaką mi pozwolenia w tym względzie udzieliła, dowiodła mi jój wielkiej dla mnie miłości i umocniła moje poszanowanie dla woli rodziców, którą niemal zapoznać chciałam. To też, piszę do pana, po raz pierwszy i ostatni. Wybaczam panu nieszczęścia, jakie mi zgotowałeś. Tak, masz

pan słuszność; pierwsza miłość zatrzeć się nie da. Nie jestem już niewinną dziewicą, nie mogłabym być czystą małżonką. Przeznaczenie moje jest mi więc obcym. Ten rok mego życia, któryś pan sobą zappełnił, będzie miał długie, bardzo długie echa w przyszłości! Ale ja cię o to nie oskarżam. Będę zawsze kochaną! powiadasz pan. POCO te słowa? Czyż one uspokoją wzburzoną duszę biednej, samotnej dziewczyny? Czyż nie zamąciłeś mi pan wszystkich tych chwil, jakie mam jeszcze przed sobą, dając mi wspomnienia, które zawsze powracać będą? Czyż Bóg, do którego teraz jedynie należeć mogę, przyjmie tę ofiarę rozdartego serca? Ale nie napróżno zesłał mi On te smutki; chciał mnie zapewne przyzwać do siebie, On, który jest moją jedyną ucieczką! Nic mi już na ziemi nie zostaje. Pan, dla głuszenia smutków masz wszystkie właściwe mężczyznom ambicje. To nie jest wymówka, ale przeciwnie rodzajem pociechy religijnej. Myślę bowiem, że jeśli oboje bolesne teraz dźwigamy brzemię, mnie się przynajmniej cięższa połowa dostała w udziale. Ten, w którym całą moją nadzieję złożyłam i o którego nie mógłbyś pan być zazdrosnym, związał nasze życia i według swojej świętej woli rozwiązać je potrafi. Uważałam, iż religijne przekonania pana nie były oparte na tej wierze czystej i silnej, która nam w znoszeniu cierpienia życia pomaga. Może Bóg raczy wysłuchać gorących i nieustannych modłów moich i zesłać panu światło łaski swojej. Żegnaj cię na zawsze, ciebie, któryś miał być moim przewodnikiem, którego *moim ukochanym* mogłam nazwać bez grzechu, a za którego teraz jeszcze mogę się modlić bez wstydu. Bóg rozrządza życiem naszym; mógłby pana wcześniej niż mnie do siebie powołać, w takim razie, jeślibym sama na świecie została... powierz mi pan swoje dziecko.”

— Te słowa, pełne uczuć szlachetnych, rozwiewały stanowczo wszystkie moje nadzieje — mówił Benassis. — To też, z początku słuchałem tylko głosu bólesci i później dopiero znalazłem w nich ten balsam słodki, jakim ona usiłowała ranę moją zabliznić, z zapomnieniem o samej sobie. Ale w rozpaczy odpisałem jej trochę ostro:

„Pani! Ten jeden wyraz przekonywa cię, iż rzekam się ciebie i jestem ci posłuszny. Jest pewna okrutna słodycz w spełnianiu woli ukochanej istoty, wtedy nawet, gdy ją z jej rozkazu opuszczamy. Masz pani słuszność i ja sam siebie potępiam. Zapoznałem kiedyś poświęcenie dziewiczego serca, dzisiaj sprawiedliwem jest, aby moja własna miłość zapoznaną została. Ale niesądziłem, aby jedyna kobieta, której duszę mą oddałem, wzięła na siebie obowiązek mścicielki. Nigdy nie byłbym przypuszczał, iż znajdzie się tyle surowości, cnoty może, w sercu, które mi się tak tkliwem i kochającym zdawało. Teraz dopiero poznaję potęgę mego uczucia; oparło się ono najdotkliwszej ze wszystkich bólesci! pogardzie, jaką mi pani okazujesz, zrywając bez żalu węzły, które nas łączyły. Żegnaj cię pani, nazawsze! Pójdę z pokorą szukać drogi, na której mógłbym zgładzić winy moje, dla których ty pani, będąca moim orędownikiem w niebiosach, okazała się bez litości. Może Bóg mniej od ciebie okrutnym będzie. Cierpienia moje, cierpienia pełne ciebie, ukarzą serce zranione, które wciąż w samotności krwawić się będzie; bo sercom zranionym cień tylko i milczenie przystoi. Żaden już obraz miłości nie wciśnie się do mojej duszy. Chociaż nie jestem kobietą, pojąłem tak jak ty, pani, że mówiąc: *kocham cię* wiązałem się na całe życie. Tak, słowa te, które po cichu *mojej ukochanej* szepnąłem, nie były kłamstwem; gdybym się zmienił, pogarda pani byłaby usprawiedliwioną. Pozostaniesz więc pani na zawsze bóstwem mój samotności. Miłość i szczerą chęć poprawy są to dwie cnoty, które wszystkimi innymi natchnąć mogą; i choć nas przepaść bezdenna rozdzieli, ty pani będziesz dźwiganiem moich czynów. Choć mi serce napęłniłaś goryczą, nie znajdzie się w niem gorzkich myśli dla ciebie; bo kto chce zacząć dzieło odrodzenia, ten ze wszystkich złych naleciałości duszę oczyścić powinien. Żegnaj mi więc pani, żegnaj, jedyne serce, które kocham na tym świecie i z którego jestem wygnany. Żadne chyba pożegnanie nie mieściło w sobie tyle uczucia i tkliwości jak to, które ja ci, pani, teraz przesyłam i które unosi ze sobą życie i duszę, zamarle na wieki. Jeszcze raz żegnaj mi, pani! pokój tobie, mnie całe nieszczęście.”

Po przeczytaniu obu tych listów Benassis i Genestas patrzyli na siebie czas jakiś, po grążeni w smutnych myślach, których sobie nie wypowiedzieli.

— Po wysłaniu tego ostatniego listu, którego brulion, jak pan widzisz, zachowałem, i który jest dziś dla mnie streszczeniem wszystkich moich zawiedzionych nadziei — mówił dalej Benassis — popadłem w stan nieopisanego odrętwienia. Wszystkie węzły, jakie człowieka z ziemią łączyć mogą, widziałem stargane z zerwaniem tego upragnionego

związku. Trzeba było pożegnać się z rozkoszami dozwolonej miłości i dać uwiędnąć szlachetnym uczuciom, które w sercu mojem rozkwitać zaczynały. Prawdziwie religijni ludzie wzgardzili ofiarą duszy skruszonej, łaknącej tego co piękne, dobre i uczciwe. Najdziwniejsze pomysły i postanowienia miały mną w pierwszych chwilach, ale widok mego syna szczęśliwie je zniweczył. Ukochałem go wtedy jeszcze silniej, mocą tych wszystkich nieszczęść, jakie na mnie spadły, a jakich on był niewinną przyczyną. To dziecko stało się całą moją pociechą. Mając trzydzieści cztery lat mogłem jeszcze z pożytkiem dla kraju pracować; postanowiłem więc zjednać sobie uznanie i wysokie stanowisko, aby blaskiem sławy lub władzy zatrzeć plamę kalającą urodzenie mego syna. Ileż ja mu wzniosłych porywów zawdzięczam, jak myśl o nim ułatwiała mi życie wtedy, gdym się jego przyszłością zajmował. O Boże! — wykrzyknął Benassis — po jedenastu latach nie mogę jeszcze myśleć o tym dniu straszliwym... To dziecko, kapitanie!... to dziecko mi umarło!

Lekarz zamilkł i ukrył twarz w dłoniach, a gdy ją uspokoiwszy się trochę odsłonił, Genestas z głębokim wzruszeniem zobaczył łzy w oczach swego gospodarza.

— Ten cios okrutny ubezwładnił mnie zrazu — ciągnął dalej Benassis. — Później dopiero, gdym się duszą moją z gruntu światowego na inny przesadził, znalazłem w nim ziarna zdrowej moralności i poznałem rękę Boga w moich nieszczęściach i schyliłem przed Nim głowę, głosowi Jego posłuszny. U mnie rezygnacja nie mogła przyjść nagle; gwałtowny charakter mój musiał się uspokoić, musiałem ostatnie ognie namiętności w ostatniej wypalić burzy i wahałem się długo nim wreszcie wszedłem na jedyną drogę, po jakiej katolik iść może. W pierwszej chwili chciałem wszystko samobójstwem zakończyć. Wrodzona melancholia, skutkiem nieszczęsnych kolei życia rozwinęła się u mnie nad miarę; z zimną też krwią zdecydowałem się na ten krok rozpaczny. Mówiłem sobie, iż mamy prawo porzucić życie, skoro ono nas samo opuszcza. Uważałem samobójstwo za rzecz naturalną, wychodząc z tej zasady, iż cierpienia moralne muszą tak samo niszczyć i osłabiać duszę człowieka, jak bóle fizyczne niszczą i osłabiają jego ciało; a zatem, ta istota inteligentna dotknięta chorobą moralną ma prawo się zabić z tej samej racji, z jakiej owca pod wpływem kołowaczyny roztrzaskuje sobie głowę o pień drzewa. Czyż bóle moralne łatwiej się uleczyć dają jak cielesne? Dziś jeszcze o tym wątpię, jak nie wiem, kto jest słabszy, czy ten, który się wciąż ludzi nadzieją, czy ten, który jej nie ma wcale. Samobójstwo zdawało mi się ostatniem przesileniem choroby moralnej, jak śmierć naturalna jest ostatnim momentem choroby fizycznej; a skoro życie duchowe podlega prawom, jakie mu wola ludzka nakazuje, przeto i ustanie jego powinno być zgodne z objawami inteligencji. Ztąd też w tym razie nie pistolet, ale myśl zabija. Zresztą, czyż los, druzgoczący człowieka w najszcześniejszych chwilach życia, nie rozgrzesza go tym samym z winy samowolnego wyswobodzenia się z pod zbyt ciężkiego jarzma niedoli? Ale rozmyślania, jakim się w owych dniach żaloby oddawałem, dalej mnie jeszcze zaprowadziły. Przez pewien czas byłem współnikiem wielkich uczuć starożytności pogańskiej i, szukając w niej nowych praw dla człowieka, mniemałem, iż przy pomocy nowożytnych świeczników głębiej zapuścić się zdołam w ciemne jądro kwestyj, niż starożytni, którzy je w systemata filozoficzne ujęli. Epikur dozwalał samobójstwa. Ustępstwo to było zresztą koniecznym dopełnieniem jego moralności, polegającej na zmysłowem używaniu życia; gdy tego zbrakło, miłem i pożądanem było dla istoty czującej ułożyć się do spoczynku martwej natury. Jeżeli jedynym celem człowieka było szczęście i nadzieja szczęścia, śmierć dla tego, co cierpiał i cierpiał bez nadziei, stawała się dobrodziejstwem; a zadać ją sobie własnowolnie było ostatnim czynem rozsądnym. Czynu tego Epikur nie chwalił, ani nie ganił; mówił tylko robiąc libację na cześć Bachusa: *Ze śmierci nie ma się co śmiać, nie ma też co nad nią płakać*. Moralniejszy i bardziej doktryną obowiązków przesiąkły Zenon, w pewnych przeciwieństwach nakazywał prawie samobójstwo stoikom. Oto, jakim było jego rozumowanie: Człowiek różni się od bydłęcia tem, że rozporządza swoją własną osobą; odejmijcie mu to prawo, a uczynicie go niewolnikiem ludzi i wypadków. To prawo życia i śmierci nad sobą samym jest skutecznym równoważnikiem wszystkich cierpień osobistych i społecznych; toż samo prawo przyznane człowiekowi nad jego bliźnim wyradza tyranję. Nie ma tam władzy, gdzie nie ma nieograniczonej wolności w czynach. Trzeba naprzykład uniknąć poniżających skutków błędu, którego naprawić nie można? Cóż wtedy robić? Człowiek pospolity karmi się wstydem i żyje, mędrzec polyka cykutę i umiera. Co robić, gdy podagra łamie nam kości, lub rak policzek wyjada? Mędrzec nie walczy z temi

chorobami o resztki nędznego życia, ale obrawszy stosowną chwilę odprawia szarlatanów i żegna się na wieki z przyjaciółmi, których swoim cierpieniem zasmucał. Co robić także, gdy się popadnie w ręce tyrana, przeciw któremu z bronią w ręku się walczyło? trzeba się poddać, albo karku pod nie nadstawić: Głupiec nadstawia karku, tchórz poddaje się, mędrzec się zabija. „Ludzie wolni” — wołał ów stoik — „umieście pozostać wolnemi! Wolnemi od namiętności poświęcając je obowiązkom, wolnemi od bliźnich, ukazując im żelazo lub truciznę, po-za którym to puklerzem dosięgnąć was nie mogą, wolnemi od przeznaczenia, oznaczając mu kres, po-za którym nie dacie mu żadnej nad sobą władzy, wolnemi od przesądów nie mięszając ich z obowiązkami, wolnemi od wszelkich trwożliwości zwierzęcych, umiejąc przewyciężyć ten niski instynkt zachowawczy, który tylu nieszczęśliwych do życia przykuwa.” Wydobywszy te rozumowania z filozoficznego stosu starożytnych, mniemałem, że nadam im chrześcijańską formę stosując je do praw wolnej woli, jaką Bóg dał człowiekowi, by go kiedyś przed trybunałem sprawiedliwości swojej mógł sądzić, i powiedziałem sobie: „Będę tam bronił mojej sprawy”. Ale ta myśl postawiła mnie wobec owego tajemniczego jutra śmierci i zachwiane przekonania religijne ozwały się znowu w mej duszy. Wszystko staje się ważnym w życiu człowieka, gdy przy najlżejszym postanowieniu wieczność na szali położy. Gdy ona z całą swoją potęgą owładnie duszą ludzką, dzieje się w niej wtedy coś niepojętego, zda się, jakby już-już stykała się z nieskończonością i pojęcia jej ulegają zupełnej zmianie. Z tego punktu widzenia życie przedstawia się bardzo wielkim i zarazem bardzo małym. Poczucie błędów moich nie skierowało mnie ku niebu, dopóki miałem jeszcze jakieś nadzieje na ziemi, dopóki zajęcia społeczne przynosiły ulgę moim cierpieniom. Kochać, poświęcić się szczęściu kobiety, zostać głową rodziny, nie byłż to szlachetne podniety do tego pragnienia obmycia się z win moich, które mnie dręczyło? Zawiódłszy się na tej drodze, miałem jeszcze jedną: zrobić człowieka z mego syna. Ale, gdy oba te usiłowania wniwecz się obróciły, gdy pogarda i śmierć wieczną żalobą powlokły mi duszę, gdy wszystkie moje uczucia naraz zranione zostały, wtedy nie widząc już nic na ziemi, podniosłem oczy do nieba i zobaczyłem Boga. Wszelako próbowałem uczynić religię współniczką mojej śmierci. Zagłębiałem się w ewangelie i nie znajdowałem w nich żadnego tekstu, któryby wyraźnie zakazywał samobójstwa; ale czytanie to przejęło mnie boskimi myślami Zbawiciela świata. Zapewne, nie mówi On tam o nieśmiertelności duszy, ale opowiada o pięknym królestwie swego Ojca; nie wzbrania nigdzie samobójstwa, ale potępia wszystko, co jest złem. Chwała Jego ewangelistów i prawdziwość ich posłannictwa mniej na tém polega, że ustanowili prawa, jak na tém raczej, że rozsiali po ziemi nowego ducha praw nowych. Odwaga, jakiej człowiek daje dowód w odebraniu sobie życia, wydała mi się wtedy jego własnym potępieniem: skoro ma siłę umrzeć, powinien mieć siłę walczyć; uchylać się zaś od cierpień nie jest siłą lecz słabością. Zresztą opuszczać życie ze zniechęcenia znaczy to samo, co wypierać się wiary chrześcijańskiej, której Chrystus za podstawę dał te szczytne słowa: *Błogosławieni, którzy cierpią!* Doszedłem więc do przekonania, że samobójstwo w żadnym wypadku usprawiedliwionem być nie może; nawet u człowieka, który, w źle zrozumianem pojęciu wielkości duszy, pozbawia się życia na chwilę przed tém, nim mu je topór katowski przetnie. Jezus Chrystus dozwalając się ukrzyżować nauczył nas tém, że powinniśmy być posłuszni wszystkim prawom ludzkim, choćby nawet niesprawiedliwie do nas zastosowanemi były. To słowo „rezygnacya” tak wyraźnie wryte na krzyżu dla tych, którzy święte głoski odczytywać umieją, ukazało mi się wtedy w całej swój jasności. Pozostawało mi jeszcze osiemdziesiąt tysięcy franków; z początku chciałem uciec gdzieś daleko od ludzi i strawić resztę życia, zagrzebawszy się gdzieś na wsi; ale mizantropia, ten rodzaj próżności pod skórą jeża ukrytej, nie jest cnotą chrześcijańską. Serce mizantropa nie krwawi się, ale zabliznia; a moje krwawiło się wszystkimi żyłami. Rozmyślając nad prawami Kościoła, nad źródłami pociechy, jakie w nim dla strapionych biją, pojąłem piękność modlitwy w samotności i postanowiłem oddać się całkowiec religii. Choć postanowienie to było niezachwiane, zostawiłem sobie wszelako wolność wyboru między środkami, jakimi bym mógł dojść do tego celu. Ułatwiwszy się z interesami pieniężnymi, spokojnie opuściłem Paryż. *Pokój w Panu* była to nadzieja, która mnie zawieść nie mogła. Pociągnięty ku regule św. Brunona, przyszedłem pieszo do la Grande-Chartreuse, zatopiony w poważnych rozmyślaniach. Ten dzień był dla mnie uroczystym i ważnym w następstwa. Nie spodziewałem się ujrzeć tak wspaniałego widoku, jaki przedstawia

wiodąca tutaj droga, gdzie na każdym kroku objawia się dziwnie potężna ręka Stwórcy. Te skały zwieszające się nad nią granitowymi zręby, te przepaście, te strumienie szmerzące w ciszy, ta samotność ograniczona wysokimi górami, a przecież bez granic, ta jęj dzika groza złagodzona malowniczymi tworami natury, te stuletnie drzewa i jednodniowe roślinki, wszystko to napęnia powagą i smutkiem. Zaiste trudno-by było śmiać się, idąc pustynią św. Brunona, kędy duch melancholii wszechwładnie panuje. Zobaczyłem wreszcie klasztor kartuzów, przechadzałem się pod jego starymi milczącymi sklepieniami i słuchałem szmeru wody, która pod arkadami kropla po kropli monotonicznie ze źródła się sączyła. Potem wszedłem do celi, w której zamknąć dni moje chciałem, odetchnąłem tym spokojem głębokim, jakiego w niej poprzednik mój kosztował, i ze wzruszeniem odczytałem słowa, które według zwyczaju tych zakonników nad drzwiami swymi nakreślił; wszystkie zasady życia, jakie odtąd wieść chciałem, streszczały się w tych trzech łacińskich wyrazach: *Fuge, late, tace...*

Genestas pochylił głowę, jak gdyby rozumiał.

— Byłem zdecydowany — mówił dalej Benassis. — Ta cela z nagimi ścianami, to twarde łoże, ta samotność przemawiała do mojej duszy. Kartuzi byli właśnie w kaplicy, poszedłem modlić się wraz z nim i tam postanowienia moje pierzchnęły. Kapitanie, nie chcę sądzić Kościoła katolickiego, jestem wielkim ortodoksem i wierzę we wszystkie jego prawa i dzieła. Ale słuchając śpiewu tych starców nieznanego świata i umarłych dla świata, odkryłem w klasztornej głębi rodzaj podniosłego egoizmu. Odosobnienie takie pożytecznym być może tylko dla używającej go jednostki; a i tak nawet jest według mnie długim samobójstwem; chociaż nie potępiam go bynajmniej. Jeżeli Kościół stworzył te groby, są one zapewne konieczne dla niektórych ludzi, zupełnie niepotrzebnych światu. Co do mnie mniemałem, iż postąpię lepiej, jeżeli żal mój i poprawę na użytek społeczeństwa obrócę. Wracając z klasztoru zagłębiałem się w poszukiwaniach drogi, na jakiej mógłbym ten zamiar skutecznie! Już wiodłem w wyobraźni życie prostego majtka, lub oddawałem się na usługi ojczyzny walcząc w ostatnich szeregach, ale życie takie, aczkolwiek pracowite i pełne poświęcenia, nie wydawało mi się jeszcze dostatecznie jak dla mnie użytecznym. Jeżeli Bóg obdarzył mnie pewną umysłową wyższością, to oddać się fizycznym czysto zajęciom nie byłoby tym samym co sprzeciwiać się Jego widokom? Nie byłoby moim obowiązkiem dary rozumu na użytek obrócić? Zresztą, jeżeli mam mówić otwarcie, jest we mnie coś, co się mechanicznej tylko pracy sprzeciwia. W życiu marynarzy nie widziałem odpowiedniej karmi dla tej dobroci, będącej cechą mego charakteru, jak cechą każdego kwiatu jest jego odrębny zapach. Nadmieniałem już panu, że byłem zmuszony nocować tutaj. Wtedy, zdało mi się słyszeć rozkaz Boga we współczuciu, jakim mnie stan tej biednej miejscowości napęlił. Zakosztowałem już okrutnych rozkoszy macierzyństwa; postanowiłem oddać się im całkowicie w obszerniejszym zakresie i stać się siostrą miłosierdzia dla tutejszej ludności opatrując ciągle rany nędzarzy. Widziałem jasno palec boży w tym moim przeznaczeniu, gdy pomyślałem, iż pierwszym poważniejszym popędem mój młodości była skłonność do medycyny, postanowiłem spożytkowywać ją tutaj. Zresztą *sercom zranionym cień i milczenie*, powiedziałem w liście do Eweliny; pragnąłem spełnić to, co sam sobie przyrzekłem. Wszedłem na drogę spokoju i poddania się woli bożej: *Fuge, late, tace* kartuza jest tutaj moją dewizą, praca moja jest ciągłą modlitwą, moje samobójstwo moralne jest życiem tego kantonu, nad którym lubię wyciągać dłoń siejąc nań szczęście i radość, dając to, czego sam nie posiadam. Ciągłe obcowanie z wieśniakami, odsunięcie się od świata przeobraziły mnie całkowicie. Zmienił się także i wyraz mojej twarzy, które słońce opaliło, a czas zmarszczkami poorał. Przybrałem ludową odzież, ludowy sposób wyrażania się i prostacze ruchy. Moi paryscy przyjaciele, lub piękności okolicy, których byłem czyczysbejem, nie poznałyby nigdy człowieka, będącego jakiś czas w modzie, rozmiłowanego w strojach, świecidlach, zbytkach i rozkoszach. Dziś, wszystko to jest mi całkowicie obojętne, jak każdemu, kto do poważnego i jasno określonego celu dąży. Dla mnie tym celem jest koniec życia, nie zrobię nic, coby go przyspieszyć mogło, ale bez żalu położę się, gdy przyjdzie ostatnia chwila, na wieczne niepowstanie. Masz więc pan w całej szczerości obraz wypadków, które obecne moje życie poprzedziły. Nie ukryłem panu nic z moich błędów; były one wielkie, ale wspólne wielu ludziom. Cierpiałem dużo, cierpię jeszcze, ale w cierpieniach tych widzę rękojmię szczęśliwej przyszłości. Jednakowoż, pomimo rezygnacji, są chwile, są widoki, wobec których

jestem bezsilny. Dziś, o mało co nie upadłem pod brzemieniem tajemnych męczarni... przy tobie, kapitanie, i bez twojej wiedzy...

Genestas podskoczył na krześle.

— Tak, kapitanie Bluteau, pan byłeś wtedy przy mnie. Czyż nie pokazałeś mi sam posłania matki Colas, gdyśmy kładli biednego Jasia na łóżku. Widzisz pan, nie mogę patrzeć na dzieci, aby sobie nie przypomnieć aniolka, którego straciłem; możesz więc pojąć, jakich doznawałem cierpień układając to dziecko, na śmierć skazane. Nie mogę bez bólu spojrzeć na dziecko...

Genestas pobladł.

— Nie mogę — kończył Benassis — bo te jasne, niewinne główki przywodzą mi zawsze na pamięć moje nieszczęście i budzą dręczące mnie katusze. Straszno mi pomyśleć, że tylu ludzi dziękuje mi za tę trochę dobrego, jakie tutaj czynię, skoro to dobro jest owocem wyrzutów sumienia. Ty tylko jeden, kapitanie, znasz tajemnicę mego życia. Gdybym tę odwagę do czynu czerpał w uczuciu czystszej niż żalu za grzechy, byłbym bardzo szczęśliwym, ale nie miałbym też nic do opowiedzenia o sobie.

ROZDZIAŁ V. ELEGIE

Skończywszy opowiadanie, Benassis zauważył na twarzy swego słuchacza wyraz tak fraso-bliwy, iż go to uderzyło. Pewien, że go wywołały smutne jego dzieje, zaczął sobie prawie wyrzucać, iż zmartwił pocziwego wojaka i rzekł:

— Ależ, kapitanie Bluteau... Moje nieszczęścia...

— Nie nazywaj mnie pan kapitanem Bluteau — zawołał Genestas przerywając lekarzowi i wstając raptem, w sposób zdradzający wewnętrzne niezadowolnienie. — Nie ma tu wcale kapitana Bluteau, a ja jestem łajdak i koniec!

Benassis z podziwem patrzył na Genestasa, który biegł tam i napowrót, po salonie jak bąk, co wpadłszy nieostrożnie do pokoju, szuka miejsca, którędyby się mógł wydostać.

— Ależ, kimże pan jesteś? — zapytał Benassis.

— A otóż to właśnie — odparł komendant zatrzymując się przed lekarzem, na którego nie śmiał oczu podnieść.

— Oszukałem pana — mówił dalej zmienionym głosem. — Pierwszy raz w życiu skłamałem i jestem porządnie ukarany, bo nie mogę już panu wyjawić powodu ani moich odwiedzin, ani tego przekłętęgo szpiegostwa. Odkąd, że tak powiem, przejrzałem duszę pana, byłbym wolał dostać policzek, niż słyszeć, jak mnie nazywałeś kapitanem Bluteau. Pan możesz mi to szalierstwo darować, ale ja, Piotr-Józef Genestas, któryby nawet dla uratowania życia przed sądem wojennym nie skłamał, ja sobie tego nigdy nie przebaczę.

— Więc to pan jesteś komendantem Genestaszem — zawołał Benassis powstając żywo i biorąc rękę starego żołnierza, którą serdecznie uściskał. — A! panie kochany! tak jak to niedawno utrzymywałeś, byliśmy przyjaciółmi nie znając się jeszcze. Pragnąłem gorąco poznać pana, po tém, co mi o tobie pan Gravier opowiadał. Nazywał cię mężem, godnym zająć miejsce w wizerunkach Plutarcha.

— Nie godzien jestem ani Plutarcha, ani pana — odpowiedział Genestas — i chętnie-bym się wybił. Trzeba mi było wyznać panu poprostu swoją tajemnicę. Ale nie! mnie się zachciało przyjść tu pod maską i wybadywać pana. Teraz wiem, że powinienem milczeć. Gdybym postąpił otwarcie, sprawiłbym panu przykrość, a niech mnie Bóg broni, bym sobie najłżejszy twój smutek miał do wyrzucenia.

— Ależ nie pojmuję cię, komendancie.

— Zostawmy rzeczy tak, jak są. Nie jestem wcale chory, spędziłem miły dzień w towarzystwie pana i pojedę sobie jutro. A gdy pan zawitasz kiedy do Grenobli, znajdziesz tam jednego przyjaciela więcej, i to przyjaciela nie na żarty. Wszystko co do Piotra-Józefa Genestasa należy: i jego kieszka, szabla i krew jest na pańskie usługi. Zresztą nie rzuciłeś pan ziarna na skałę. Gdy dostanę emeryturę, zagrzebię się w jakiej dziurze, zostanę tam merem i będę się starał naśladować pana. Brak mi pańskiej wiedzy, będę się więc uczył.

— Masz pan słuszność. Właściciel, który pracuje nad wykorzenieniem pomyłki w eksploatacy swojej posiadłości, oddaje krajowi takie same usługi, jak najlepszy lekarz; i jeśli ten uśmierza cierpienia pojedynczych ludzi, tamten goi rany ojczyzny. Ale, wyznaję, iż mnie pan szczególnie zaciekawileś. Czy mogę ci być w czém użytecznym?

— Użytecznym — powtórzył komendant wzruszonym głosem. Mój Boże! kochany panie, to, czego chciałem żądać od pana, jest prawie niepodobieństwem! Widzisz pan, wielu już ludzi na tamten świat wyprawilem; ale można zabijać na wojnie, a swoją drogą mieć dobre serce, to też, choć się takim szorstkim wydaję, umiem jeszcze pewne rzeczy odczuć, zrozumieć.

— Ależ mów pan.

— Nie! nie chcę panu dobrowolnie sprawiać przykrości.

— O! komendancie! ja wiele znieść potrafię.

— Panie! — rzekł Genestas ze drżeniem — tu chodzi o życie dziecka!

Czoło Benassisa zmarszczyło się nagle, ale dał znak Genestasowi, aby mówił dalej.

— O życie dziecka — ponowił komendant — które może być jeszcze uratowaném przy ciągłych i troskliwych staraniach. Ale gdzie znaleźć lekarza, zdolnego poświęcić się wyłącznie jednemu tylko pacjentowi? Ma się rozumieć, że nie w mieście! Słyszałem o panu, jako o nieocenionym człowieku, ale lękałem się wszelako, aby te pochwały nie były przesadzone i bym się na ich lep wziąć nie dał. Postanowiłem tedy, sam zbadać tego pana Benassisa, o którym mi tyle pięknych rzeczy prawiono, zanim mu mego malca powierzę. Teraz...

— Dosyć — przerwał lekarz. — Więc to jest pańskie dziecko.

— Nie, mój kochany panie, nie! Aby panu wytłómaczyć tę tajemnicę, musiałbym opowiedzieć ci całą historią, w której nie gram roli zbyt pięknej; ale pan odsłoniłeś mi swoją przeszłość i ja też przed tobą moję odsłonić mogę.

— Poczekaj komendancie — rzekł lekarz wołając na Jacentę, aby mu herbatę podała. — Widzisz pan, wieczorem, gdy wszyscy zasypiają, ja spać nie mogę. Smutki moje i wspomnienia opadają mnie, przygniatając swoim ciężarem: usiłuję się więc otrząsnąć z nich za pomocą tego napoju. Sprowadza mi on rodzaj oszołomienia nerwowego i sen, bez którego bym żyć nie mógł. — Cóż! nie dasz się pan na filizankę namówić?

— Nie — odparł Genestas — wołę już pańskie wino.

— Jacento! — rzekł Benassis do wchodzącej służącej. — Przynies proszę wina i biszkoptów.

— Podchmielimy sobie na noc — dodał zwracając się do gościa.

— Ten napój musi szkodzić panu na zdrowiu — rzekł ten-że.

— Sprawia mi straszne podagryczne bóle, ale nie byłbym w stanie pozbyć się tego nawyknięcia; jest mi ono zbyt słodkiem, bo mi daje co wieczór parę chwil takich, podczas których życie mi nie ciąży. No! słucham pana! Opowiadanie twoje zatrze może silne wrażenie wspomnień, jakie przed chwilą wywołałem.

— Po odwrocie z Moskwy — zaczął Genestas, stawiając pustą szklankę na kominku — batalion mój zatrzymał się w małym polskim miasteczku. Pokupowaliśmy tam konie na wagę złota, jak to mówią, i kwaterowaliśmy tam aż do powrotu cesarza. A no dobrze. Ale muszę panu powiedzieć, że miałem wtedy przyjaciela. Podczas odwrotu nieraz on poświęceniem swoim uratował mi życie; krótko mówiąc był dla mnie jak brat najlepszy, a nazywał się Renard i był sierżantem. Mieszkaliśmy razem w domu, a raczej w szuczurzej norze, z drzewa skleconej, gdzie trudno-by było konia postawić, a gdzie się cała rodzina mieściła. Chałupina ta należała do żydów, którzy w niej trzydzieści sześć handlów naraz prowadzili; zwłaszcza ojciec całej tej gromady, stary, przebiegły żyd, doskonałe na naszych nieszczęściach interesa robił. Ci ludzie żyją w niechlujstwie, a umierają w złocie; taka to już ich natura. Całe to żydowskie gniazdo mieściło się w jednej izbie, brudnej, stęchlącej, wilgotnej. Dzieciaków tam było co nie miara, a między niemi dziewczyna, piękna, jak żydówka, kiedy jest czysta i nie ruda. Miało to siedemnaście lat, oczy czarne jak aksamit, rzęsy czarne niby ogony szuczurów, włosy błyszczące, gęste, że aż ochota brała poigrać z niemi, a białe było przytém jak śnieg, jedno z drugiem piękność skończona i basta! Pierwszy raz zobaczyłem to śliczne stworzenie wieczorem, kiedy wszyscy myśleli, że śpię, a ja sobie z fajką w gębie spokojnie po ulicy chodziłem. Spojrzałem od niechcenia w okno tych żydów i widzę chmarę bachorów, matkę, ojca... wszystko to jadło kolacyę. Przypatrzwszy się bliżej, mimo dymu, jakim stary żyd kurząc knaster całą izbę napełniał, dostrzegłem tę dziewczynę, co świeciła między niemi jak nowa sztuka złota wśród wytartych i zaśniedziałych miedziaków. Ja, mój kochany panie, nie miałem nigdy czasu

zastanawiać się nad miłością; przecież gdym ujrzał tę dziewczynę, zrozumiałem, że do-tychczas tylko ulegałem ciału, a teraz wszystko się we mnie poruszyło i głowa i serce. Zakochałem się więc od stóp do głów, dyabelnie. Stałem na ulicy, paląc fajkę i patrząc na moją żydówkę, dopóki nie zgasła świecy i nie położyła się spać. Ale ja, ani zmrużyć oka nie mogłem, tylko wałęsałem się po mieście, paliłem i dumałem. Pierwszy raz wtedy przyszło mi na myśl ożenienie. Zrana osiodlałem konia i, aby ochłonać trochę, uganiałem się parę godzin po polach jak wściekły, nie uważając, iż prawie ochwaciłem człapaka... Genestas zatrzymał się tu trochę, i patrząc z niepokojem na nowego swego przyjaciela wymówił: — Daruj mi, Benassis, nie jestem oratorem, gadam to, co mi na koniec języka przyjdzie; gdybym był w salonie, krępowałbym się może, ale z tobą na wsi...

— Mów dalej, komendancie — rzekł lekarz.

— Gdym powrócił do domu, zastałem Renarda bardzo zafrasowanego. Myślał, że mnie kto zabił w pojedynku, i czyścił już pistolety, by zadrzeć z tym, co mnie na tamten świat wyprawił. Taki to był gracz. Nie zwlekając zwierzyłem mu się z mojej miłości. Że Renard rozumiał szwargotanie tego tałajstwa, prosiłem go zatem, aby mi dopomógł w porozumieniu się z ojcem i matką i w zawiązaniu stosunków z Judytą. Nazywała się bowiem Judyta. Przez dwa tygodnie byłem najszczęśliwszym z ludzi, bo rodzice mojej pięknej żydóweczki zapraszali nas co wieczór na kolację. Pan znasz się na tych rzeczach, nie będę cię nudził opisem mojej miłości, ale jeżeli nie lubisz palić tytoniu, to nie zrozumiesz nigdy, jakiego się doznaje przyjemnego uczucia, gdy się ćmi spokojnie lulkę w towarzystwie przyjaciela i przysłego teścia, patrząc na swoją księżnę. Miła to rzecz, na honor. Ale muszę panu powiedzieć, że Renard był to paryżanin i jedynek bogatych rodziców; ojciec jego, prowadzący na wielką skalę handel korzenny, wykształcił syna na notariusza, ale konkskrypeya przyszła i trzeba było pożegnać się z kałamarzem. Zresztą mundur leżał jak ulany na tym chłopcu, co miał jeszcze twarzyczkę delikatną jak u panielki i umiał się wszystkim przypodobać. W nim się też rozkochała Judyta, a o mnie dbała jak koń o pieczone kurczęta. I gdy ja, jak waryat jaki patrzyłem na nią i wędrowałem po księżycu, mój Renard, nie napróżno nazwę lisa noszący, kopał dołki pode mną, i tak się dobrze porozumiał z dziewczyną, że się pobrali, tak o to, bez żadnych ceremonij, na któreby zbyt długo czekać im przyszło. Obiecał ją jednak poślubić według praw francuzkich, gdyby ich małżeństwo unieważnić chciano. I unieważniono z pewnością, bo we Francyi pani Renard stała się panną Judytą. Gdybym był wiedział o tém, byłbym zabił mego Renarda, nie dawszy mu nawet zipnąć, ale ojciec, matka, córka i ten łotr mój przyjaciel, wszystko się to układało ze sobą pokryjomu jak złodzieje na jarmarku. I podczas gdy ja paliłem fajkę i uwielbiałem Judytę jak świętość, pan Renard układał schadzki i robił swoje aż miło. Tobie, pierwszemu i ostatniemu, kochany panie, opowiadam tę historią, którą podłością nazywam; nieraz myślałem nad tém, jakim się to dzieje sposobem, że człowiek, któryby umarł ze wstydu, gdyby sobie sztukę złota przywłaszczył, kradnie żonę, szczęście, życie swego przyjaciela bez żadnego skrupułu. Tak tedy, moje ptaszki kochały się i gruchały jak tego potrzeba, a ja wciąż wieczorami patrzyłem w Judytę jak w obraz i jak jaki głupiec robiłem do niej słodkie oczy, odpowiadając na minki téj filutki, któremi mnie otumanić chciała. Ale pojmujesz pan, że im te szalbierstwa nie uszły na sucho. Doprawdy Bóg więcej zważa na sprawy tego świata, niżeli nam się zdaje. Bo słuchaj pan tylko. Nadchodzi rok 1813, a z nim i nowa kampania. Rosyanie walą na nas i otaczają ze wszech stron. Pewnego pięknego poranku przychodzi rozkaz, abyśmy się stawili na polu bitwy pod Lützen o naznaczonej godzinie. Cesarz wiedział dobrze, co robił, nakazując szybki wymarsz. Rosyanie zatarasowali nam drogę. W dodatku pułkownik nasz zabałamucił się żegnając jakąś Polkę o pół ćwierci mili od miasta mieszkającą, i stało się, że awangarda kozaków zacapiła go tuż na wychodnym. Starczyło nam zaledwie czasu na tyle, by dosiąść koni i uszykowawszy się przed miastem wyciąć Rosyanom szarżę kawaleryi, a to dla odpędzenia ich i otworzenia sobie drogi do wymknięcia się nocą. Nacieraliśmy na nich przeszło trzy godziny i dokazywali cudów. Podczas gdyśmy się bili, furgony nasze i amunicya szły naprzód. Mieliśmy ogromną moc artyleryi i wielki zapas prochu niezbędnie potrzebny cesarzowi, trzeba mu więc go było dostarczyć za jakąbądź cenę. — Śmiały nasz opór powstrzymał trochę Rosyan, którzy myśleli, że nas cała armia podtrzymuje. Ale dowiedziawszy się, że mają tylko batalion kawaleryi i niedobitki pie-

choty przed sobą, natarli ku wieczorowi tak silnie, że aż nam się gorąco zrobiło, i kilku nigdy już z téj łaźni nie wyszło. Ja z Renardem byłem w pierwszym szeregu i widziałem go, jak się bił dzielnie strzelając i nabijając broń bez wytchnienia; zdawało się, że jakaś dyabelska siła weszła w niego, a to wszystko ztąd, że myślał o pięknej żonie. Dzięki jemu, mogliśmy się dostać napowrót do miasta, które nasi chorzy do obrony uszykowali, ale Boże zmiłuj się, co to była za obrona. Ja i Renard wchodzimy ostatni w miasto, aż tu kilku kozaków zagradza nam drogę. Przebijamy się, jak możemy. Jeden z tych dzikich już miał mnie na swoją pikę nasadzić; Renard to widzi, rzuca się pomiędzy nas; koń jego, piękna bestya, dostaje w brzuch lancą i pada pociągając za sobą Renarda i kozaka. Ja to widząc, zabijam kozaka, porywam Renarda za ramiona, kładę go przed sobą na konia w poprzek, niby wór ze zbożem i dalej w drogę. Żegnaj mi, kapitanie, wszystko już skończone — powiada do mnie Renard. Nie — mówię — trzeba zobaczyć! Byliśmy już w mieście; zsiadam więc z konia i kładę Renarda na trozcie słomy pod ścianą jakiegoś domu. Miał głowę strzaskaną, mózg mu się z włosami pomieszał, a przecież mówi! O! bo to był zuch nielada. Kwita między nami — rzekł — dałem ci życie, a wziąłem Judytę. Opiekuj się nią i jej dzieckiem, jeżeli je mieć będzie. Zresztą ożeń się z nią. — Panie! w pierwszym napadzie wściekłości zostawiłem go jak psa, ale gdy trochę ochłodziłem, wróciłem. Już nie żył. Kozacy podpalili miasto tymczasem. Przypomniałem sobie Judytę i pobiegłem jej szukać. Porwałem dziewczynę na konia i dzięki szybkości téj pocziwej bestyi doгнаłem batalion, który już był odwrót urządził. Stary żyd wraz ze swoją rodziną przepadł gdzieś jak kamień w wodę, Judyta tylko czekała na Renarda. Ma się rozumieć, nie powiedziałem jej nic na razie. Tak więc, wśród wszystkich klęsk kampanii 1813 roku, trzeba mi było myśleć o téj kobiecie, dawać jej wygodę, pielęgnować, i sądzę, że się nawet nie spostrzegła, w jak oplakany byliśmy stanie. Zawsze tak manewrowałem, aby ją mieć o dziesięć mil przed nami ku Francji. Wreszcie powiła chłopca wtedy, gdyśmy się bili pod Hanau. Byłem ranny w téj rozprawie, co mnie zniewoliło przeleżeć w Strasburgu resztę kampanii. Gdyby nie ten smutny wypadek, byłbym przeszedł do gwardyi grenadyerów, bo cesarz dał mi właśnie awans. Ale, trudna rada, trzeba było kawęczyć w Strasburgu, gdzie także znajdowała się Judyta. Wylizawszy się jako-tako z rany, wróciłem do Paryża, mając na karku kobietę, dziecko, które nie było mojem, a w dodatku trzy żebra złamane. Pojmujesz pan, iż mój żołąd to nie były złote góry. Ojciec Renarda, obrzydliwy sknera, ani chciał słyszeć o synowej, stary żyd przepadł, jak mówiłem; Judyta umierała ze zmartwienia. Pewnego poranku, gdy mi z płaczem zmieniała bandażę, rzekłem do niej: — Judyto! twoje dziecko zgubione. — I ja także — odparła. — Ba! rzekłem — postaramy się o potrzebne papiery, ożenię się z tobą i uznam za swoje dziecko... Nie mogłem dokończyć. A! panie kochany! można zrobić wszystko za takie spojrzenie umierającej, jakiem mi podziękowała Judyta. Poznałem, że kocham ją jeszcze, i od téj chwili przywiązałem się do jej malca. Podczas gdy papiery były w drodze wraz z rodzicami Judyty, którzy się jakoś raptem odnaleźli, biedna kobieta dogorywała przy mnie. Na dwa dni przed śmiercią zdobyła się na tyle siły, że podniosła się z łoża, wystroiła, odprawiła wszystkie potrzebne ceremonie, podpisała wszystkie papiery, a gdy dziecko jej miało już nazwisko i ojca, położyła się na śmierć spokojnie, ja ucałowałem jej ręce i czoło; zamknąłem powieki i tak się moje wesele skończyło. Nazajutrz kupiłem kawałek gruntu, gdzie ją pogrzebano, a sierotkę oddałem na mamki podczas kampanii 1815 r. Odtąd opiekuję się tym smarkaczem, jakby był własnym moim synem; dziadek jego jest zrzuwany i jak opętaniec lata z Persji do Rosji wraz ze swoją famułą. Być może, iż zrobi jeszcze majątek, bo podobno znał się na handlu drogiemi kamieniami. Oddałem mego wychowawcę do kolegium, ale w ostatnich czasach tak się tam męczył nad matematyką, by wejść do szkoły politechnicznej, że biedak rozchorował mi się na dobre. Słabe ma bardzo piersi. Jak doktorzy paryzcy mówią, można-by go jeszcze uratować, gdyby go wysłać w góry i oddać pod rozumną, troskliwą opiekę lekarza, który-by się nim szczerze zajął. Pomyślałem więc o panu i przybyłem tu na rekonesans pańskiego usposobienia i trybu życia. Ale skoro wiem, jak rzeczy stoją, nie zdecydowałbym się narzucić panu tak ciężkiego zadania, pomimo że już jesteśmy przyjaciółmi na całe życie.

— Komendancie — rzekł Benassis po chwilowém milczeniu — przywieź mi dziecko Judyty. Bóg chce zapewne, abym jeszcze przez tę ostatnią próbę przeszedł; niech się więc dzieje Jego wola. Cierpienia moje ofiaruje Temu, którego syn śmierć krzyżową poniósł.

Zresztą doświadczyłem bardzo słodkich wzruszeń podczas opowiadania pana; nie jest-że to pomyślną wróżbą?

Genestas uściśnął żywo obie ręce Benassisa, nie mogąc powstrzymać łez, które zwilżyły jego oczy i spadły na smagławe policzki.

— Czy zatrzymamy to w tajemnicy? — zapytał.

— Tak, komendancie. Ale, cóż to, nie pijesz wina?

— Nie mogę. Już i tak jestem jakby pijany.

— Kiedyż więc mi go przywieziesz?

— Choćby jutro. Jest on już od dwóch tygodni w Grenoble.

— Dobrze zatem. Jedź pan jutro rano do Grenoble i powracaj, oczekiwać cię będę u Gabryni i zjemy u niej śniadanie we czworo.

— Niech i tak będzie — odparł Genestas.

Obaj przyjaciele udali się na spoczynek, życząc sobie nawzajem dobrej nocy. Przedtém jednak, gdy Benassis wchodził już do swego pokoju, Genestas postawił świecę na oknie w sieni i zbliżył się do lekarza.

— Do pioruna — zawołał z naiwném uniesieniem — nie rozstanę się z panem nie powiedziawszy ci, iż jesteś trzecim z kolei człowiekiem, który mi dał do zrozumienia, że tam w górze jest coś! I ukazał ręką niebo.

Benassis odpowiedział na to tylko pełnym melancholii uśmiechem i ścisnął serdecznie dłoń, którą mu Genestas podawał.

Nazajutrz jeszcze przed świtem komendant pojechał do Grenoble, a około południa był już z powrotem na gościńcu wiodącym z miasta ku górze, na której mieszkała Gabrynia. Genestas jechał tym razem nie konno lecz w wózku o czterech kołach, odkrytym i lekkim, w jednego konia zaprzężonym, jakich pełno spotyka się w górzystych tych okolicach. Towarzyszył mu chłopiec chudy i wątły, wyglądający na lat dwanaście najwyżej, choć już szesnasty rok zaczynał. Zanim wysiedli, Genestas obejrzał się dokoła, w nadziei iż ujrzy jakiego wieśniaka, któryby się podjął odprowadzić wózek do domu Benassis'a; ścieżka bowiem prowadząca do mieszkania Gabryni była tak wąską, że podjechać nią było niepodobna. Przechodzący przypadkiem stróż polowy wybawił z kłopotu komendanta, który wraz z przybranym swoim synem zaczął się wspinać piechotą ku miejscu schadzki z lekarzem.

— No, jakże Adziu? nie chciałbyś tak z jaki rok biegać po tych górach; nauczyć się strzelać, jeździć konno, zamiast ślezczyć nad książkami? Patrz, jak tu ładnie!

Adzio objął dolinę spojrzeniem bladém, jak u chorego dziecka, i obojętném, jak zwykle u młodych chłopców, gdy idzie o piękności natury, których jeszcze nie pojmują; poczem rzekł nie przestając iść dalej.

— Jesteś bardzo dobrym, mój ojcze!

Genestasa dotknęła do żywego ta chorobliwa niedbałość i w milczeniu już odbył resztę drogi.

— Słownym jesteś, komendancie — zawołał Benassis podnosząc się z ławki, na której przed domem Gabryni siedział. Ale zobaczywszy Adzia, umilkł i usiadł napowrót, wpatrując się długo w jego bladą, zmęczoną twarz, której piękne, wschodnie rysy nie uszły jego uwagi. Chłopiec ten, żywy obraz matki, wziął po niej cerę nieco oliwkową i cudne czarne oczy o melancholijném inteligentném wejrzeniu. Wszystkie cechy piękności żydowsko-polskiej łączyły się w tój głowie, puklami czarnych włosów pokrytej i nazbyt rozwiniętej w stosunku do wątłego ciała, które ją podtrzymywało.

— Czy dobrze sypiasz, moje dziecko? — zapytał Benassis.

— Tak, panie.

— Pokaż mi kolana.

Adzio, rumieniąc się, odwiązał podwiązkę i pokazał kolano, które lekarz starannie obmacał.

— Dobrze. A teraz mów, krzycz, krzycz mocno.

Adzio zaczął krzyczeć.

— Dosyc. Podaj mi ręce...

Chłopiec wyciągnął białe, miękkie jak u kobiety, błękitnawemi żyłkami zasnute ręce.

— W jakim kolegium byłeś?

- Świętego Ludwika.
- Czy twój prowizor nie czytywał brewiarza po nocach?
- Owszem, czytywał.
- Nie mogłeś więc zasypiać odrazu?

Adzio nie odpowiedział, ale Genestas odezwał się za to:

— Ten prowizor, to zacny ksiądz. On sam mi radził, abym chłopca z kolegium dla poratowania zdrowia odebrał.

— No! — rzekł Benassis, zatapiając przenikliwe spojrzenie w oczach Adzia. Jest jeszcze nadzieja! Zrobimy z niego człowieka. Będziem żyć razem, jak dwaj koledzy, mój chłopcze. Będziem wcześniej chodzić spać i wcześniej wstawać, jeździć konno. Tak, tak, komendancie; po kilku miesiącach nie poznasz swego syna. Gdy mu się żołądek naprawi, co przy odpowiedniem zastosowaniu mleka wkrótce nastąpić musi, wystaram mu się o pozwolenie na broń i polowanie, oddam go w ręce Butifera i będą obaj uganiać się za gizmami! Butifier będzie szczęśliwy! Ja go znam. Poprowadzi cię on, mój chłopcze, aż do Szwajcaryi, przez Alpy, po szczytach gór, po skałach, i za pół roku urośniesz na jakie ćwierć łokcia, będziesz rumiany, zdrow, silny i powrócisz do kolegium, aby się tam dalej kształcić i na człowieka wyrobić. Butifer jest uczciwym chłopcem; możemy mu powierzyć śmiało sumę potrzebną na opędzenie kosztów twoich podróży i polowań; odpowiedzialność, jaka na nim ciążyć będzie, utemperuje go choć na pół roku. Więc i on przy tém zyska.

Twarz Genestasa rozjaśniała się w miarę jak mówił lekarz.

— No, a teraz chodźmy na śniadanie. Gabrynia jest bardzo ciekawa zobaczyć cię — rzekł Benassis klepiąc zlekka policzki Adzia.

— Jakże więc? czy ma zagrożone piersi? — spytał Genestas odciągając lekarza na bok.

— Nie więcej jak ja i ty, komendancie.

— Cóż mu jest zatem?

— Ech! — rzekł Benassis — niedobra chwila na niego przysła, i to wszystko.

Gdy Gabrynia ukazała się na progu domu, Genestas z podziwem zauważył jęj ubiór pełen prostoty i zalotności zarazem. Nie była to już wczorajsza wieśniaczka, ale elegancka Paryżanka; spojrzenie, jakie na niego rzuciła, zmieszało go niezwykle. Spuścił oczy i utkwił je w orzechowym stole, na którym przygotowane były jajka, masło, ciasto pachnące, górskie poziomki. Gabrynia cały pokój przystroiła kwiatami, jakby dla pokazania, że dzień ten był dla niej świątecznym. Na ten widok komendant doznał nieokreślonego uczucia, pozazdrościł tęg górskiej chatce jęj ciszy, woni i uroku, a na mieszkankę jęj zwrócił wejrzenie wyrażające wątpliwość i nadzieję i przeniósł je wnet na Adzia, któremu Gabrynia podawała jajka, krzątać się przy nim dla ukrycia swego zakłopotania.

— Komendancie — rzekł Benassis — wiesz, za jaką cenę doznajesz tutaj gościnności. Musisz *coś wojskowego* opowiedzieć mojęj Gabryni.

— Trzeba naprzód pozwolić panu zjeść spokojnie śniadanie, ale potem...

— Bardzo chętnie — odparł komendant — ale pod warunkiem, że mi panna Gabrynia opowie także *coś* ze swęj przeszłości.

— Ależ, panie — rzekła, rumieniąc się — nic mi się nigdy nie wydarzyło takiego, co-by warte było wspomnienia. Może chcesz jeszcze kawałek tego ciasta ryżowego, kochanezcuku? — dodała, widząc że Adzio nie miał już nic na talerzu.

— Proszę.

— Wyborne jest to ciasto — rzekł Genestas.

— Cóż pan dopięro powiesz na jęj kawę ze śmietanką! — zawołał Benassis.

— Wołałbym przecież usłyszeć opowiadanie naszęj ładnéj gosposi.

— Żle się pan bierzesz do tego — rzekł lekarz. — Słuchaj, moje dziecko — dodał, zwracając się do Gabryni i ściskając jęj rękę — ten oficer, którego tu widzisz, kryje pod surową powierzchownością jak najlepsze serce i możesz z nim z całą swobodą pogawędzić. Zresztą mów lub nie, jak chcesz, nie będziemy nalegać na ciebie. Ale, jeżeli kiedy możesz być zrozumianą, to chyba przez te trzy osoby, z któremi jesteś w tęg chwili. Opowiedz nam o twoich dawnych miłościach; nie zdradzisz tęg obecnych tajemnic swego serduszka.

— Otóż i Marynka przynosi nam kawę. Gdy już panowie będziecie mieć wszystko, co potrzeba, rozpowiem wam o moich miłościach, jak mówi pan doktor. Ale pan

komendant nie zapomni o swojej obietnicy — dodała, rzucając Genestasowi spojrzenie skromne i wyzywające zarazem.

— Byłbym niezdolny do tego — odparł ten-że z uszanowaniem.

— Mając szesnaście lat — zaczęła Gabrynia — byłam zmuszoną, choć czułam się bardzo słabą, żebrać na gościach Sabaudyi. Sypiałam w Echelles, w żłobie pełnym słomy. Oberżysta, który mi dawał ten przytułek, był dobrym człowiekiem, ale żona jego nie cierpiała mnie i wymyślała mi od najgorszych. Przykro mi to było, boć przecie taka niegodziwa nie byłam; mówiłam pacierze rano i wieczór, nie kradłam, zgadzałam się z wolą bożą, a żebrałam, bo nie umiem nic robić, i byłam rzeczywiście bardzo chorą, zupełnie niezdolną do podniesienia motyki lub nawet do zwijania bawełny. Wkońcu żona oberżysty wypędziła mnie ze swego domu, a to z przyczyny pieska. Od najwcześniejszego dzieciństwa pozbawiona rodziców i krewnych, nie zaznałam nigdy spojrzeń życzliwych. Poczciwa matka Morin, która mnie wychowała, umarła; była dla mnie bardzo dobrą, to prawda, ale nie przypominam sobie już jój pieściot; zresztą biedna staruszka zapracowywała się w polu, nic więc dziwnego, że choć mnie lubiła i pieściła, uderzała mnie czasem łyżką po palcach, gdy zaprędko zupę z jój miseczki zjadała. Biedna kobiecina! nie ma dnia, żebym się za nią nie modliła; niech jój tam Bóg da szczęśliwsze życie niż tutaj, a zwłaszcza lepsze łóżko; bo pamiętam, że skarżyła się zawsze na niewygodę tapczanu, na którym sypialiśmy razem. Nie moglibyście wyobrazić sobie, panowie, jak to jest okropnie, gdy się zbiera same tylko obelgi, odprawy i spojrzenia, co jak nożem przesywają serce. Widywałam takich starych nędzarzy, którzy już sobie nic z tego nie robili; ale ja przywyknąć do tego nie mogłam. Każde ostre „nie” do płaczu mnie pobudzało. Co-wieczór wracałam smutniejsza, dopiero modlitwa uspokajała mnie trochę. Na całym świecie nie było ani jednej takiej istoty, któraby mi sercem za serce odpłaciła. Niebo mi się tylko przyjaźnie uśmiechało, to też wtedy tylko czułam się szczęśliwą, gdy wiatr chmury pospędzał z obłoków, a one wisiały nade-mną takie czyste, błękitne! Kładłam się wtedy na ziemi i patrzyłam w nie długo, długo, i zdawało mi się, że jestem wielką panią, że się cała kąpię w tym błękitcie, że się wznoszę co-raz wyżej, wyżej... i tak mi było błogo, tak już żadnego ciężaru nie czułam, jak ptaszek. Ale wracając do moich miłości, powiem panom, że oberżysta miał po swojej suczce prześlicznego pieska. Było-to takie miłe, jakby coś rozumnego, białe z czarnymi łatkami; widzę go zawsze przed sobą. Stworzenie to przywiązało się do mnie, którą każdy odpychał. To też kochałam je całą duszą. Zawsze mu najlepsze kąski dawałam, a gdy wieczorem wracałam do domu, to poczciwa psina wybiegała na moje spotkanie, skakała dokoła mnie, lizała ręce i nogi, nie wstydząc się moich łachmanów i patrzyła na mnie takimi dobrymi, wdzięcznymi ślipkami, że mi się aż na płacz zbierało. Ten mnie przynajmniej kocha, myślałam, głaszcząc dobrego pudelka. W zimie sypiał u moich nóg. Tak mi było przykro patrzeć, gdy go bito, że przyzwyczaiłam go, aby kości po domach nie kradł, i na chlebie, co mu dawałam, poprzestawał. Gdy byłam smutna, stawał przede-mną, patrząc mi w oczy, jakby chciał powiedzieć: Nie martw się, biedna Gabryniu. Gdy jaki podróżny rzucił mi parę groszy, on biegł i podnosił je z kurzu. Codziennie odkładałam trochę pieniędzy, aby uzbierać pięćdziesiąt franków i odkupić go od ojca Manseau. Ale żona jego, widząc, że pies mnie tak lubił, chciała go także do siebie przynęcić; a trzeba panom wiedzieć, że to biedactwo cierpieć jój nie mogło. O, bo to mądre stworzenia! one zaraz przeczują złego człowieka. Miałam sztukę złota zaszytą w pasku od spódnicy, rzekłam więc do ojca Manseau: Mój kochany panie, chciałam panu ofiarować całoroczne oszczędności za pudelka, ale nim go żona pańska weźmie dla siebie, choć nic o niego nie dba, odprzedaj mi go pan za dwadzieścia franków. Nie, moje dziecko — odpowiedział mi na to — schowaj swoje dwadzieścia franków, niech mię Bóg broni, abym miał brać pieniądze od takich jak ty biedaków. Weź sobie pieska, a jeśli żona moja bardzo złościć się będzie — idź z Bogiem. Jakoż żona zrobiła mu taką scenę w domu o tego psa, jakby już nie wiem o co. I wiecie panowie, co jeszcze wymyśliła? Widząc, że pudel tak się do mnie przywiązał i że go sama mieć nie będzie, kazała go otruć. Biedactwo zdechło na moich rękach. O! Boże, jakże też ja nad nim płakałam! Matka rodzona nie mogłaby więcej dziecka jedyne go żałować. Pochowałam go pod jodłą i, siadłszy na tym grobku, powiedziałam sobie, że nie mam już nikogo na tym świecie, że mi się nic nigdy nie uda, że będę zawsze sama, że już w niczyich oczach przyjaźni dla siebie nie zobaczę. Całą noc przesiedziałam tak pod jodłą, prosząc Boga, aby się nade-mną

ulitował. Gdy rankiem na gościniec wróciłam, spotkałam tam dziecko dziesięcioletnie może, które rąk wcale nie miało. Bóg mnie wysłuchał, rzekłam w duchu, bo też się nigdy tak gorąco, jak tej nocy do Niego nie modliłam. Wezmę w opiekę to dziecko, będziemy razem żebrac i może lepiej się nam uda; będę mieć więcej śmiałości, wyciągając rękę dla niego, niż dla siebie. Zrazu malec zdawał się zadowolonym, bo też robiłam wszystko, co chciał; dawałam mu, co miałam najlepszego, byłam jego niewolnicą, a choć mnie dręczył, zdawało mi się to zawsze miłszem, niż być zupełnie samą. I cóż panowie powiecie! jak się tylko dowiedział, że miałam dwadzieścia franków w spódnicy, rozprół ją i ukradł mi sztukę złota, uzbieraną na opłacenie mego biednego pudła, a za którą chciałam potem kazać mszę odprawić. Dziecko bez rąk! to aż dreszczem przejmuje. Kradzież ta zniechęciła mnie do życia więcej, niż wszystko do tej pory. Więc, myślałam sobie, nie mogę kochać nikogo i niczego, aby tej miłości nie oplakać gorzkimi łzami. Pewnego dnia zobaczyłam ładny koczyk francuzki jadący ku wzgórzom Echelles. Siedziała w nim panienka piękna jak Najświętsza Dziewica w obrazku, a przy niej młody panicz bardzo do niej podobny. — Widzisz, jaka to ładna dziewczyna — rzekł on, rzucając mi sztukę srebrnej monety. Pan Benassis tylko zrozumieć może szczęście, jakim mnie ten jedyny w życiu komplement napęłnił; ach! ten panicz nie powinien był rzucać mi pieniędzy. Nie wiem doprawdy, co mi się wtedy stało, ale jakby jakąś niewidzialną siłą pędzona, zaczęłam biedz najkrótszemi ścieżkami ku skałom Echelles, wyprzedzając z wolna pod górę wspinający się powóz. Zobaczyłam znów pięknego panicza, który zdziwił się mocno, że mnie tam zastał, a ja byłam tak szczęśliwa, i tak mi serce biło! Coś dziwnego pociągało mnie ku niemu. Domyślając się, że wysiądą przypatrzeć się kaskadzie Couz, zaczęłam biedz znowu, a gdy się tam powóz zatrzymał, zobaczyli mnie jeszcze raz przy drodze. Wtedy zaczęli mnie rozpytywać; nigdy nie słyszałam słodszy głosu nad głos tego panicza i jego siostry; bo to była jego siostra. Cały rok potem myślałam wciąż o nich, spodziewając się, że powrócą. Byłabym chętnie oddała połowę życia, by tylko tego podróżnika zobaczyć. Zdawał się tak dobrym, tak bardzo dobrym! Ale oto i wszystko, co mi się ważniejszego do dnia, w którym poznałam pana Benassis'a, zdarzyło. Nie wspominam o mojej pani, która mnie wypędziła za to, że jej starą balową suknię włożyłam. Co tam! litowałam się nad nią i przebaczyłam jej z całej duszy, a jeśli mam mówić otwarcie, to powiem, że uważałam się wtedy za coś lepszego od niej, choć byłam żebraczką a ona hrabiną.

— No! — rzekł Genestas po chwili milczenia — jednak Bóg nie opuścił panny Gabryni, bo jej tu teraz dobrze, jak rybce w wodzie.

Na te słowa Gabrynia spojrzała na Benassisa oczyma pełnemi wdzięczności.

— Chciałbym być bogatym! — rzekł komendant.

Po wykrzykniku tym długie zapanowało milczenie.

— Na pana komendanta teraz kolój! — odezwała się wreszcie Gabrynia z przymileciem.

— Owszem — rzekł Genestas, i tak zaczął: — W przeddzień bitwy pod Friedlandem, posłano mnie z raportem do kwatery generała Davousta. Spełniwszy polecenie, wracałem do mego biwaku, aż tu na zakręcie drogi spotykam się oko w oko z cesarzem. Napoleon patrzy na mnie:

— Jesteś kapitanem Genestas? — spytał. — Tak, najjaśniejszy panie. — Byłeś w Egipcie? — Byłem, najjaśniejszy panie. — Nie jedź dalej tędy — rzekł mi — ale weź się na lewo, będziesz prędzej na miejscu. — Nie umiałbym opowiedzieć, z jaką dobrocią wypowiedział cesarz te słowa, on, który tyle miał na głowie, bo całą okolicę obiegał, aby plac boju rozpoznać. Opowiadał to zdarzenie dlatego, by wykazać, jaką-to pamięć miał Napoleon, a także pochłubić się, że byłem z tych, których twarze były mu znane. W 1815 r. wykonałem przysięgę. Gdyby nie ten błąd, byłbym może teraz pułkownikiem; ale nie chciałem zdradzać Burbonów, bo wtedy myślałem tylko o tém, że trzeba bronić Francji i dosyć. Byłem szefem szwadronu grenadyerów w gwardyi cesarskiej i choć mi rana dokuczwała jeszcze nie żartem, kręciłem się jak mogłem w bitwie pod Waterloo. Gdy już wszystko przepadło, towarzyszyłem Napoleonowi do Paryża, a potem, gdy się udał do Rochefortu, poszedłem za nim, pomimo jego zakazu, bo miło mi było czuwać nad nim, by go w drodze jakie nieszczęście nie spotkało. To też gdy przechadzał się tam nad brzegiem morza i zobaczył mnie o dziesięć kroków na straży stojącego: — No cóż, Genestasio — rzekł, przystępując do mnie — żyjemy jeszcze? — Słowa te jak mieczem przeszyły mi

serce. A! ktobądź byłby go słyszał, musiałby zadrżnąć od stóp do głowy. Wskazał mi ręką ten przeklęty statek angielski blokujący port, i rzekł: „Patrząc na to, żałuję, że-m się we krwi mojej straży nie utopił”. Tak — powtórzył Genestas, patrząc na lekarza i Gabrynię — to są jego własne słowa. — Najjaśniejszy panie — rzekłem — panowie marszałkowie, którzy tobie samemu strzelać nie dali i w kocyk wsadzili, nie byli twemi przyjaciółmi. — Pójdź ze mną — zawołał żywo — rzecz jeszcze nie skończona. — Najjaśniejszy panie! — odparłem — poszedłbym chętnie i na koniec świata, ale mam dziecko sierotę, nad którym czuwać muszę; jestem związany. Tak więc, ten smarkacz Adzio przeszkodził mi iść na Świętą Helenę. — Patrz — rzekł mi cesarz — ja ci jeszcze nic nigdy nie dałem, bo nie byłeś z tych, co mają zawsze jedną rękę pełną, a drugą otwartą. Weź tę tabakierkę, która mi w ostatniej kampanii służyła. Zostań we Francji, bądź-co-bądź, jój ludzi dzielnych potrzeba. Służ ojczyźnie i pamiętaj o mnie. Jesteś ostatnim Egipcyaninem z mojej armii, którego na francuzkiej ziemi oglądam. — I dał mi tabakierkę. — Każ wyryć na niej: *honor i ojczyzna* — dokończył — bo te słowastreszczają w sobie dwie ostatnie nasze kampanie. Potem przyszedli ci, którzy mu tu towarzyszyli, i razem z nimi spędziłem tak cały ranek nad morzem. Cesarz przechadzał się tam i napowrót nad brzegiem, był ciągle spokojny, tylko brwi marszczył czasami. Około południa osądzono, że niepodobna mu było puszczać się na morze; Anglicy wiedzieli o jego bytności w Rochefort, trzeba było albo oddać się im w ręce, albo cofnąć się w głąb Francji. Straszny niepokój nas ogarnął, a każda minuta godziną się wydawała. Napoleon znajdował się między Burbonami, którzy-by go byli rozstrzelali, i Anglikami, którzy wcale nie są ludźmi honoru, jak tego dowiedli, rzucając na bezludną skałę nieprzyjaciela, który ich prosił o gościnność. Z tej plamy nie obmyją się nigdy, o! nie. Gdyśmy tak wszyscy byli potrwożeni, nie wiem już kto z cesarskiej świty przedstawia mu porucznika Doret’a, marynarza, który przyszedł zaproponować Napoleonowi sposób dostania się do Ameryki. Jakoż w istocie był wtedy w porcie bryk państwowy i statek kupiecki. — Kapitanie — rzekł Napoleon — jakże się to stać może? — Najjaśniejszy pan — odparł Doret — wsiądźcie na statek kupiecki, ja z kilku oddanemi tobie ludźmi wypłynę na bryku, wywiesimy białą flagę, zaczepimy Anglików, damy ognia, a najjaśniejszy pan przedostanie się tymczasem niepostrzeżenie. — My z panem pójdziemy! krzyknąłem kapitanowi. Napoleon spojrzął po nas wszystkich. — Kapitanie Doret! — rzekł — zostań dla Francji. Pierwszy to raz wzruszonym go widziałem. Poczem dał nam znak ręką i odszedł. Opuściłem także Rochefort, ale wprzód widziałem jeszcze jak wchodził na statek angielski. Napoleon był zgubiony i wiedział o tém. Znalazł się w porcie zdrajca, który za pomocą umówionych znaków powiadamiał nieprzyjaciela o obecności cesarza. Napoleon spróbował więc ostatniego środka, uczynił tak, jak zwykł był na polach walki postępować, poszedł sam do nich, nie czekając, aby oni do niego przyszedli. A! nikt nie mógłby wystawić sobie rozpacz tych, którzy go kochali.

— Gdzież jest owa tabakierka? — zapytała Gabrynia.

— U mnie w Grenobli, schowana w pudełeczku — odparł Genestas.

— Przyjdę ją tam zobaczyć, jeśli pan pozwoli. I pomyśleć, że pan ma coś, czego się cesarz dotykał! Czy miał piękną rękę?

— Bardzo piękną!

— Czy to prawda, że umarł? — zapytała. — Tylko proszę powiedz mi pan *prawdziwą* prawdę!

— Niestety! tak jest,

— Byłam tak małą w 1815 roku, że tylko kapelusze jego dojrzyć mogłam. I jeszcze o włos, co mnie nie zgnetli w Grenobli.

— Wyborna jest ta kawa ze śmietanką — rzekł Genestas, jakby chcąc zmienić przedmiot rozmowy. — Cóż, Adziu, podoba ci się tutaj? Będiesz odwiedzać pannę Gabrynię?

Chłopiec nie odpowiedział. Zdawało się, że nie śmie spojrzeć na młodą gospozię. Benassis oka z niego nie spuszczał, jakby go chciał do głębi duszy przeniknąć.

— Ma się rozumieć, że będzie — rzekł. — Ale teraz wracajmy do domu, muszę jeszcze pojechać gdzieś konno. Podczas mojej nieobecności porozumiesz się komendantcie z Jacentą.

— Pójdziesz pani z nami — zwrócił się Genestas do Gabryni.

— Chętnie — odparła. — Mam nawet oddać coś Jacencie.

Poszli więc wszyscy ku domowi lekarza. Gabrynia, którą towarzystwo rozweseliło, prowadziła ich ubocznymi ścieżkami najdzikszą stroną góry.

— Panie komendancie! — rzekła po pewnym milczeniu — pan mi nic o sobie nie powiedziałeś, a ja-bym tak chciała jakie wydarzenie z wojny usłyszeć. Lubię, gdy pan mówisz o Napoleonie, ale to takie smutne. Gdyby pan był tak dobry...

— Tak, tak — zawołał Benassis — opowiedz nam co przez drogę. Ale coś zajmującego, jak na przykład o tej belce przy Berezynie.

— Bardzo niewiele mam wspomnień — rzekł Genestas. — Są ludzie, którym się wszystko możliwe i niemożliwe wydarza; co do mnie, nigdy bohaterem żadnej historii nie byłem. Ale oto jedyny wypadek, jaki mi się przytrafił: W 1805 roku, będąc jeszcze podporucznikiem, znajdowałem się wraz z wielką armią w Austerlitz. Zanim wzięliśmy Ulm, trzeba nam było stoczyć kilka potyczek, gdzie kawalerya tego się popisowała. Byłem wtedy pod rozkazami Murata, który się w kaszy zjeść nie dawał. Po jednej z pierwszych bitew kampanii, opanowaliśmy okolicę, obfitującą w piękne posiadłości. Wieczorem, regiment mój rozłożył się w parku tuż przy pałacu gdzie mieszkała ładna i młoda hrabina. Ma się rozumieć, idę ulokować się u niej i zarazem przeszkodzić wszelkiemu rabunkowi. Wchodzę do salonu właśnie w chwili, gdy jakiś nicpoń sierżant mierzył do niej z karabina, żądając od niej tego, czego ta kobieta dać mu nie mogła, bo był brzydki jak sam dyabeł. Ja, nie wiele myśląc, podnoszę pałaszem karabin, kula uderza w lustro, a mój sierżant dostawszy ode-mnie w tej-że chwili porządne cięcie rozciąga się na ziemi jak długi. Na krzyk hrabiny i wystrzał wbiega służba i dalej na mnie. — Stójcie! — rzekła ona po niemiecku do tych, którzy mnie chcieli mordować — ten oficer uratował mi życie. Odstąpili zatem a hrabina dała mi piękną chustkę od nosa, chustkę haftowaną, którą mam jeszcze, i powiedziała mi, że będę miał zawsze schronienie na jej ziemi, a gdybym doznał jakiego zmartwienia lub był w kłopotcie, znajdę w niej siostrę i przyjaciółkę; jednym słowem, naprawiła mi tysiąc miłych rzeczy. A była piękna i zgrabniutka jak pieścidełko. Jedliśmy razem obiad i nazajutrz byłem już w niej rozkochany do szaleństwa, ale cóż, trzeba było ruszać dalej, by stanąć w szeregu pod Guntzburgiem. Opuściłem więc pałac, unosząc chustkę na sercu. Zaczyna się bitwa: Kule do mnie! — wołałem w duchu — och! mój Boże, czyż się żadna z pomiędzy tylu dla mnie nie znajdzie! Pragnąłem bowiem zostać rannym, ale tak w jakie poetyczne miejsce, na przykład w ramię, by mózgi wrócić do pałacu i być tam pielęgnowanym, opatrywanym przez moją śliczną hrabinę. Rzuciłem się więc jak wściekły na nieprzyjaciela. Gdzie tam! Kule jakby się uwzięły na mnie. Wyszedłem zdrów i cały z tej przeprawy; trzeba było iść dalej i pożegnać się z hrabiną. Ot i koniec.

W tej chwili też stanęli u drzwi Benassisa, który zaraz wsiadł na konia i odjechał. Gdy powrócił, Jacenta, której Genestas polecił swego syna, już go była rozlokowała w pokoju pana Graviera. Ale jakże się zdziwiła, gdy lekarz rozkazał jej wnieść proste łóżko na pasach do swojej sypialni; a ton, jakim to rozporządzenie wydał, był tak stanowczy, że Jacenta sprzeciwić mu się nie śmiała. Po obiedzie komendant wrócił do Grenobli, zaspokojony ponownymi zaliczeniami Benassisa, co do rychłego wyzdrowienia Adzia.

W pierwszych dniach grudnia, w osiem miesięcy po tych odwiedzinach u lekarza, Genestas został mianowany pułkownikiem oddziału stojącego na kwaterze w Poitiers... Chciał właśnie powiadomić o tym Benassisa, gdy otrzymał od niego list donoszący mu o zupełnym wyzdrowieniu Adzia.

„Chłopiec — pisał lekarz — wyrósł, zmężniał i ma się wyśmienicie. Przez te kilka miesięcy skorzystał tak z lekcji Butifera, że strzela równie dobrze, jak nasz kontrabandyzista; jest zresztą rzeński i zwinny, niestrudzony z niego piechur i jeździec doskonały. Wszystko się w nim zmieniło. On, który mając lat szesnaście wyglądał niedawno na dwunastoletnie dziecko, teraz robi złudzenie dwudziestoletniego młodzieńca. Spojrzenie ma śmiałe i pewne. To już człowiek i człowiek, o którego przyszłości trzeba teraz pomyśleć”.

— Zapewne pojedę jutro do Benassisa i zasięgnę jego rady, co do zawodu, jaki byłby najodpowiedniejszy dla tego chłopca — rzekł sobie Genestas, idąc na pożegnalną ucztę, jaką mu koledzy wyprawiali, bo już tylko dni parę miał pozostać w Grenobli.

Gdy wrócił do domu, służący wręczył mu list, mówiąc, że posłaniec, który go przyniósł, bardzo długo czekał na odpowiedź. Choć oszołomiony licznymi toastami, jakie spełnił w przyjacielskim gronie, Genestas poznał na kopercie pismo przybranego syna, a pewien, że zawiera ono prośbę o zaspokojenie jakiejś fantazyi młodzieńczej, zostawił list na stole i dopiero nazajutrz, gdy mu szampan z głowy wywietrzył, wziął się do czytania.

„Drogi mój ojcie”...

— A filut chłopak — rzekł do siebie Genestas — zawsze mi się przymila, gdy tylko czegoś potrzebuje.

„Dobry pan Benassis nie żyje...”

List wypadł z rąk Genestasa, który dopiero po bardzo długiej przerwie zdołał go wziąć napowrót.

„Nieszczęście to przeraziło całą okolicę, i tém silniej na nas podziało, że jeszcze w wilię tego straszego dnia pan Benassis był zdrów zupełnie. Onegdaj, jakby przeczuwając swój koniec, poodwiedzał wszystkich chorych, nawet najdalej mieszkających, rozmawiał z każdym, kogo spotkał, i każdemu powiadał: „żegnaj cię, mój przyjacielu”. Około piątej po południu powrócił według zwyczaju na obiad. Jacenta zauważyła, że był niezwykle czerwony, jakby siny, ale że było zimno, nie dała mu wody do moczenia nóg, co zawsze robiła, ile razy miał uderzenie krwi do głowy. To też biedaczka od dwóch dni powtarza ciągle zalewając się łzami: „Gdybym mu była dała wody na nogi, żyłby do tej pory.” Pan Benassis był głodnym, jadł dużo i był weselszym niż zazwyczaj. Śmieliśmy się ciągle, a nigdy go śmiejącym się nie widziałem. Po obiedzie około siódmej godziny, człowiek z Saint-Laurent du Pont, przyszedł prosić go do kogoś bardzo chorego. Pan Benassis rzekł do mnie: „Trzeba mi tam się udać, choć nie przetrawiłem jeszcze obiadu i nie lubię trząść się na koniu w takim stanie, zwłaszcza gdy czas jest zimny. To może zabić człowieka.” Pomimo to pojechał. Piechur Goguelat przyniósł po dziewiątej godzinie list adresowany do pana Benassisa. Jacenta zmęczona sprzątaniem poszła spać, oddawszy mi ów list i prosiła mnie, bym przygotował herbatę dla pana Benassisa przy ogniu, który się palił w naszym sypialnym pokoju, bo nocowaliśmy wciąż razem. Poszedłem więc na górę i czekałem jego powrotu. Kładąc list na kominku, spojrzałem na pieczęć pocztową i adres. List był z Paryża, a pismo wydało mi się kobiecém. Wspominam o tém z powodu ważnej roli, jaką ten list w smutnym owym wypadku odegrał. Po dziesiątej usłyszałem tentent konia a potem głos pana Benassisa mówiącego na dole do Mikołaja: — Psie zimno i niedobrze mi jakoś. — Czy może obudzić Jacentę? — zapytał Mikołaj. — Nie, nie — odpowiedział i wszedł na górę. — Przyrządziłem panu herbatę — rzekłem. — Dziękuję ci, Adziu — odparł uśmiechając się. — Był-to ostatni jego uśmiech. Zaraz potem zdjął krawat, jakby mu duszno było. — Gorąco tutaj — rzekł i rzucił się na fotel. — Przyszedł jakiś list do pana — odezwałem się po chwili. — Wziął list, spojrzał na adres i zawołał: — Boże mój! może jest wolną! — Potém pochylił głowę w tył i ręce mu się trząść zaczęły. Wreszcie postawił świecę na stole i rozerwał kopertę. Głos, jakim te zagadkowe słowa wykrzyknął, był tak przerażającym, że patrzyłem na niego uważnie, podczas gdy czytał i widziałem, jak mienił się i łzy mu do oczu nabiegały. Nagle — pada twarzą na ziemię; podnoszę go i widzę, że jest zupełnie siny. — Już po mnie — odezwał się, bełkocząc i czyniąc straszne wysilenie, aby powstać. — Puść mi krew prędko, prędko — krzyknął, chwytając mnie za rękę — Adziu, spał ten list. — I podał mi list, który rzuciłem w ogień. Zacząłem wołać Jacentę i Mikołaja, ale tylko Mikołaj mnie usłyszał, wszedł i pomógł mi położyć pana Benassisa na mojem łóżku. Kochany nasz przyjaciel nic już nie słyszał i nie widział, choć oczy miał otwarte. Mikołaj, jadąc konno po pana

Bordier felczera, rozsiał przestrach po mieście i wnet wszyscy byli na nogach. Ksiądz Janvier, pan Dufau i ci, których znasz, kochany ojcze, przyszli najpierwsi. Pan Benassis był już prawie martwy, nie było już ratunku. Pan Bordier wypalił mu podeszwy u nóg, nie otrzymawszy nawet znaku życia. Był to zarazem atak podagryczny i gwałtowne uderzenie do mózgu. Przesyłam ci, drogi ojcze, wszystkie te szczegóły, bo wiem, z jaką przyjaźnią byłeś dla pana Benassisa. Co do mnie jestem bardzo a bardzo smutny. Mogę powiedzieć, że prócz ciebie, nikogo tak jak jego nie kochałem. Korzystałem więcej z wieczornych z nim pogadań niż z lekcji, nad którymi w kolegium się biedziłem. Gdy nazajutrz rano wieść o jego śmierci rozbiegła się po miasteczku, stał się płacz, lament nie do opisania. Podwórza i ogród przepełnione były ludźmi; nikt tego dnia o robocie nie pomyślał, wszyscy sobie opowiadali, kiedy i gdzie widział kto po raz ostatni pana Benassisa, co on mu wtedy powiedział, co mu kiedy dobrego uczynił; najmniej rozczuleni mówili za drugich, tłumy rosły z każdą chwilą, a każdy go chciał zobaczyć. Smutna ta wiadomość rozeszła się szybko po całej okolicy i nie tylko mieszkańcy kantonu ale i dalszych miejscowości jedną myślą pchnięci zbiegali się na pogrzeb. Gdy się orszak żałobny utworzył, czterech najpoważniejszych w gminie starców poniosło trumnę do kościoła, ale ledwo z największym trudem uczynić to zdołali, bo około pięciu tysięcy osób poklękało na drodze, jakby podczas procesji. Kościół nie mógł wszystkich pomieścić. Gdy się nabożeństwo zaczęło, nastąpiła, pomimo płaczów, taka cisza, że głos dzwonka i śpiewy słyszeć było można na drugim końcu ulicy. Ale kiedy przyszło przynosić ciało na nowy cmentarz, który pan Benassis dla miasteczka otworzył, nie domyślając się, biedak, że pierwszy na nim pochowanym będzie, wtedy powstał wielki krzyk i narzekanie. Ksiądz Janvier łkając odmawiał modlitwy i nikt się nie znalazł, coby łez w oczach nie miał. Pochowano go wreszcie. Wieczorem tłumy się rozeszły, każdy wrócił do siebie roznosząc płacz i żalobę po całej okolicy. Nazajutrz rano Gondrin, Goguelat, Butifer, stróż polowy i kilku innych zaczęli pracować nad usypaniem kopca nad grobem pana Benassisa, kopiec ten jest już skończony, ma wysokości przeszło dwadzieścia stóp, obkładają go teraz darniną i wszyscy w tym biorą udział. Oto są, drogi ojcze, wypadki ostatnich trzech dni. Pan Dufau znalazł testament pana Benassisa otwarty w jego biurku. Użytek, jaki ten zacny człowiek zrobił ze swego majątku, powiększył jeszcze, jeżeli to być może, przywiązanie, jakie dla niego miano, i żał z powodu jego śmierci. Teraz, drogi ojcze, oczekuję pana Butifera, który ten list zaniesie, odpowiadzi twojej i dalszych twoich rozkazów. Czy ojciec kochany przyjedzie po mnie, czy mam się udać sam do Grenobli? Zastosuję się w tym względzie z całym posłuszeństwem do twoich chęci. Do widzenia, drogi ojcze. Całuję z uszanowaniem ręce twoje

Kochający syn

Adryan Genestas.

— No! trzeba mi tam jechać! — zawołał komendant.

Kazał sobie osiodłać konia i udał się w drogę, w jeden z tych poranków grudniowych, kiedy niebo zdaje się szarawą zasłoną pokryte, kiedy wiatr nie jest dość silny, aby mógł posępne mgły rozproszyć, które kłębią się dokoła огоłoconych z liści drzew i wilgotnych domów, nadając im smutny grobowy pozór. Gdy czas jest piękny, milczenie nawet jest wesołym, ale w pochmurny jesienny dzień cisza natury ma w sobie coś martwego. Mgła czepiając się gałązek spadała z nich w kształcie kropel, niby lzy żałobne. Pułkownik Genestas, któremu myśl o śmierci i boleść głęboka ścisnęły serce, odczuwał jeszcze bardziej smutek natury. Mimowolnie porównywał błękitne wiosenne niebo i tę dolinę, którą tak piękną podczas pierwszej swej podróży tędy oglądał, z ołowianymi obłokami i posępną nagością gór odartych z zieloności a nie odzianych jeszcze w białą szatę śniegu. Widok taki okropnym jest dla człowieka idącego na spotkanie świeżego grobu; Genestasowi ten grób zdawał się być wszędzie. Czarne jodły tu i owdzie sterczące na szczytach bardziej jeszcze żałobny cień na całą dolinę rzuciły; to też ile razy objął ją spojrzeniem stary wo-

jak, przychodziło mu na myśl nieszczęście ciążyące nad osieroconym kantonem. Wkrótce przybył do miejsca, gdzie, w pierwszej swój podróży, pokrzepiał się filiżanką mleka. Ujrzawszy dym z komina chatki, w której wychowywały się dzieci szpitalne, przypomniał sobie żywo dobroczynną działalność Benassisa i postanowił wejść, by w jego imieniu dać jałmużnę biednej kobiecie. Uwiązawszy konia do drzewa, otworzył drzwi bez stukania.

— Dzień dobry, matko! — rzekł do starój, którą zastał siedzącą przy ognisku i otoczoną dziećmi — czy mnie poznajecie?

— O, poznaję, kochany panie! Przejeżdżaliście tędy wiosną i daliście mi dwa dukaty.

— Macie, matko! To dla was i dla dzieci.

— Dziękuję, złocisty paneczku! Niech was Bóg błogosławi...

— Nie mnie dziękujecie; zawdzięczacie te pieniądze panu Benassisowi.

Stara podniosła głowę i popatrzyła na Genestasa.

— Ach! — rzekła — choć on nam cały swój majątek zostawił i choć wszyscy jego dziedzicami jesteśmy, straciliśmy największe nasze bogactwo, bo on był błogosławieństwem tego kraju!

— Bądźcie zdrowi, matko! i módlcie się za niego — rzekł Genestas, uderzając z lekka dzieci szpicrutą.

Poczém wyszedł, odprowadzony przez starą i jej drobiazg, dosiadł konia i pojechał dalej. Dostawszy się do miejsca, z kąd szeroka ścieżka wiodła pod górę ku domowi Gabryni, skręcił na nią, ale nie bez wielkiego niepokoju zobaczył, że drzwi i okiennice były pozamykane, jakby w domu pusto było zupełnie. Zawrócił więc znów na gościniec i tam spotkał starego wyrobnika Moreau, który szedł zwolna bez motyki ni żadnych innych narzędzi w świątecznym swém ubraniu.

— Dzień dobry, ojcie Moreau! — zawołał Genestas.

— Dzień dobry panu. A! coś mi się ochapia — rzekł stary po chwili milczenia. — Pan był przyjacielem świętej pamięci naszego pana mera. Ot! czemu to Pan Bóg zamiast jego nie wziął do swojej chwały takiego niedołęgi jak ja? Cóż ze mnie na świecie? Nic, a on tu był radością całego kantonu.

— Nie wiecie, mój ojcie, dlaczego nie ma nikogo u Gabryni?

Stary popatrzył w niebo.

— Która godzina, proszę pana? — zapytał. — Nie widać wcale słońca.

— Dziesiąta.

— Ha! to pewno poszła do kościoła albo na cmentarz. Chodzi tam codzień. Odziedziczyła po nim pięćset liwrów rocznie i dom na dożywocie, ale biedaczka o mało co nie zwaryuje z żalu.

— A wy, ojcie Moreau, gdzież to idziecie?

— Na pogrzeb Jasia, to był mój siostrzeniec. Biedactwo zmarło wczoraj. Ot tak! cherlało to, dopóki żył pan Benassis. Wszystko co młode umiera teraz — dodał Moreau wpół rubasznie wpół żałośnie.

Wjeżdżając do miasteczka, Genestas spotkał Gondrina i Goguelat'a uzbrojonych w motyki i szufle.

— No cóż! starzy kamraci! — krzyknął do nich — spotkało nas nieszczęście, straciłmy go...

— To, to, mój oficerze! — odparł mrukliwie Goguelat — wiemy o tém dobrze. Idziemy po darninę na jego grób.

— Piękne to będzie życie do opowiadania — rzekł Genestas.

— Tak — odpowiedział Goguelat — to był, wyjąwszy bitwy, Napoleon naszej doliny.

Przybywszy na probostwo, Genestas ujrzał przy drzwiach Butifera i Adzia rozmawiających z księdzem Janvier, który zapewne po odprawieniu mszy świętej do siebie wracał. Jak tylko Butifer dostrzegł, że Genestas chce zsiadać, podbiegł przytrzymać mu konia, Adzio zaś skoczył na szyję ojcu, który choć wzruszony tym objawem przywiązania, nie dał tego poznać po sobie i rzekł tylko:

— Tam do licha, tęgi z ciebie chłopiec, mój Adziu, dzięki naszemu biednemu przyjacielowi. Nie zapomnę o twoim mistrzu, Butiferze.

— Ach, panie pułkowniku! — rzekł Butifer — weź mnie pan do swojego pułku. Od śmierci pana mera boję się sam siebie. On chciał, abym został żołnierzem... niech się

stanie jego wola. Wiem, że mówił panu o mnie, więc może pan pobłażliwym dla mnie będzie.

— Zgoda, mój chłopcze! — odparł Genestas, uderzając go po ramieniu. — Bądź spokojny, postaram się dobrze cię umieścić.

— No i cóż, księżę proboszczu — dodał, zwracając się do plebana.

— A! panie pułkowniku, jestem równie zmartwiony, jak wszyscy ludzie w kantonie, ale żywięj jeszcze od nich czuję, jak niepowetowaną jest strata, którąśmy ponieśli. Ten człowiek był aniołem. Szczęściem, że umarł bez cierpień. Bóg dobroczynną ręką rozwiązał życie, które było jedném ciąglém dobrodziejstwem dla nas.

— Czy mogę cię prosić, księżę proboszczu, abys mi towarzyszył na cmentarz? Chciałbym go, że tak powiem, pożegnać.

Butifer i Adzio udali się także za Genestą i proboszczem, którzy szli naprzód rozmawiając ze sobą. O paręset kroków za miasteczkiem, w bliskości małego jeziora, pułkownik zobaczył obszerną przestrzeń kamienistego gruntu otoczoną murem.

— To cmentarz — rzekł ksiądz Janvier. — Trzy miesiące temu on pierwszy pomyślał o złych skutkach wynikających z sąsiedztwa cmentarzy tuż do kościoła przytykających i by zadosyć uczynić prawu, które je każe na miejsca oddalone od mieszkań przemieszczać, sam ten grunt gminie darował. Dziś chowamy tam dziecko; zaczniemy więc od pogrzebania na nim Cnoty i Niewinności. Czyż więc śmierć jest nagrodą? Czy Bóg, powołując do siebie dwie tak doskonale istoty, daje nam tém do poznania, że w młodszym wieku idziemy ku niemu przez cierpienia fizyczne, w dojrzałym przez cierpienia moralne? Ale patrz pan, oto jest wieśniaczy grobowiec, jakiśmu tu tu wzniesli.

Genestas ujrzał wtedy kopiec usypany z ziemi, wysoki na jakie dwadzieścia stóp; nagi on był jeszcze, ale brzegi jego już się zielenić poczynały pod pracowitemi rękami kilku mieszkańców. Gabrynia z twarzą ukrytą w dłoniach siedziała na kamieniach podtrzymujących podstawę ogromnego krzyża z jedliny, pokrytej korą; na nim wryte były ogromnymi literami następujące słowa:

D. O. M.

Tu spoczywa dobry pan Benassis ojciec nas wszystkich. Módlcie się za niego!

— Czy to ty, księżę proboszczu, ułożyłeś ten napis? — zapytał Genestas.

— Nie — odparł ksiądz — położyliśmy tu wyrazy, które powtarzane były od szczytów tych gór aż do Grenoble.

Genestas przybliżył się do Gabryni, która nic nie widząc i nie słysząc tonęła we łzach, i, postawszy czas jakiś w milczeniu, rzekł do proboszcza:

— Gdy dostanę emeryturę, przyjdę tu spędzić z wami resztę dni moich.

Październik 1832 — lipiec 1833

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-lekarz-wiejski/>

Tekst opracowany na podstawie: Honoriusz Balzac, *Komedia ludzka*, Tom V, *Lekarz wiejski*, Nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1881.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-0068-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.